



Andrzej Muszyński

Południe



Andrzej Muszyński

Południe



Wołowiec 2013

południe

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku
elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie
w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i
podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.
Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA
Fotografia na okładce © by TOMEK GOLA / WWW.GOLA.PRO
Copyright © by ANDRZEJ MUSZYŃSKI, 2013
Redakcja MAGDALENA BUDZIŃSKA
Korekty ANNA REWILAK / D2D.PL, AGATA CZERWIŃSKA / D2D.PL
Projekt typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL
Skład MAŁGORZATA POŹDZIK / D2D.PL

Skład wersji elektronicznej: MAGDALENA WOJTAS / [VIRTUALO SP. Z](http://VIRTUALO.SP.Z)
[O.O.](http://O.O)

ISBN 978-83-7536-600-6

Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [Azja](#)
 - [Tarzan cierpi na czerwonym śniegu](#)
 - [Dętka \(ulotne\)](#)
 - [Duch](#)
 - [Autobus \(ulotne\)](#)
 - [Nowe miasto Wschodu. Petycja](#)
 - [Fryzjerzy \(ulotne\)](#)
 - [Pluton. Wykład](#)
 - [Klik \(ulotne\)](#)
- [Maghreb](#)
 - [Szok kulturowy \(ulotne\)](#)
 - [Wiosna. Preludium](#)
 - [Mohamed chciał tylko swoich jabłek](#)

- [Stacja benzynowa, Austria \(ulotne\)](#)
- [Sidi Ifni. Raport z końca świata](#)
- [Tamanghist. Algieria \(ulotne\)](#)
- [Ameryka Łacińska](#)
 - [Oriente boliviano](#)
 - [Arica \(ulotne\)](#)
 - [Atakama. Raport](#)
 - [Adres \(ulotne\)](#)
 - [Apolobamba](#)
 - [Cizba \(ulotne\)](#)
 - [Król komuny. Telenovela nocturna](#)
 - [Entropia \(ulotne\)](#)
 - [Aluna](#)
 - [Kontrapunkt \(ulotne\)](#)
- [Afryka](#)
 - [Skóra \(ulotne\)](#)
 - [Pogranicze](#)
 - [XXL \(ulotne\)](#)
 - [Mukongo](#)

- [Południe](#)
- [Podziękowania](#)
- [Bibliografia](#)
- [Przypisy](#)

Rodzicom

Azja

Tarzan cierpi na czerwonym śniegu

Jak informacja o jej znalezieniu wydostała się na zewnątrz? Tego nie wie nawet Sal Lou, jej ojciec. Zresztą – co to za głupie pytanie? Sal ma teraz większe zmartwienia. Nie zastaję go w domu, jego syn miał wypadek, samochód zderzył się z ciężarówką wiozącą drewno, bale zmiażdżyły chłopaka, z którym jechał. Syna zamknęli w areszcie i żądają trzech tysięcy dolarów kaucji. Sal właśnie wrócił i jest załamany. Trzy tysiące dolarów dla policjanta, który ma dwadzieścia pięć dolarów emerytury miesięcznie, a w domu dwanaścioro gęb do wyżywienia! W tym ją.

No więc, jak ta informacja wydostała się na świat? Trudno odgadnąć. Jednak kiedy dzieje się coś takiego, jest sensacja. Podobne dzieci nazywa się czasem dzikimi. Byli nimi oczywiście Remus i Romulus, Kamala i Amala, hinduskie siostry znalezione w 1920 roku i również wychowane przez wilczycę, czy Natasza Michaiłowa, która do piątego roku żyła z gromadą psów i chodziła na czworakach.

Cały świat obieżyły sensacyjne nagłówki: *Tarzan żyje!*, *Jungle Lady z Kambodży*, *Po osiemnastu latach odnaleziono w dżungli dziewczynę!*. I się zaczęło. Nalot największych stacji telewizyjnych, naukowców i autorów kultowego przewodnika „Lonely Planet”. Wszyscy chcą sfotografować, sfilmować i dotknąć. Jak to możliwe? Dziewczyna osiemnaście lat w dżungli? Sama? Ze zwierzętami?

Sprzeczności

Rozmawiamy przy ławie na podwórzu. Ktoś leży na hamaku, ktoś coś skubie, gdaczą kury. Myślałem, że to wioska w sercu dżungli, a tu asfalt, samochody, sklepy. To właśnie w miejscowości Oyadao mieszka najsłynniejsza Kambodżanka.

Byłem sceptycznie nastawiony do tej historii. Policzyłem, że w dżungli spędziłem w życiu łącznie około ośmiu tygodni i nie jestem w stanie uwierzyć, że drobna dziewczyna przeżyła w tym zielonym bagnie osiemnaście lat. Poza tym słońce za tropikalną sreżogą świeci tak mętnie, jakby zaraz miało zgasnąć, jestem otępiały i wszystko się do mnie klei. Droga ze stołecznego Phnom Penh do prowincji Ratanakiri zajmuje

dwanaście godzin, z czego ostatnie po dziurawym, gliniastym trakcie, który w szczycie pory deszczowej zamienia się w coś, co miejscowi nazywają czerwonym śniegiem. Koła grzęzną w błocie. Banlung, siedemnastotysięczna stolica prowincji, zostaje odcięte od świata.

– Mógłbym ją zobaczyć? – Podnoszę się.

– Chodźcie na górę – zaprasza Soni, jej siostra.

Chata stoi na wysokich palach. Drewniane schody skrzypią, kiedy wchodzimy do ciemnego pomieszczenia na górze.

– To ona – Sal ściera pot z czoła.

Mija mi zmęczenie, rozszerzają się źrenice.

Ciemno. W rogu pokoju stoi drewniana rama łóżka. Obok chyba jakaś mata. W samej ramie na podłodze leży kobieta. Jedna noga wyprostowana, druga zgięta w kolanie, twarz zasłonięta ręką. Czarne włosy, śniada, półnaga.

Powiedziano o tej historii bardzo dużo. Tak dużo, że zaczęły się piętrzyć sprzeczne informacje. Jedni mówili, że dziewczynę znaleziono na polu nieopodal wsi, inni – że w lesie; jedni, że miała oczy czerwone jak wilk i poruszała się na czworakach, inni – że wcale nie. A wszystko to powtarzały najważniejsze światowe media.

Fakty

Trzeba ustalić pierwsze fakty: kiedy i jak zaginęła?

1989 rok, Kuk Phnong, wioska w prowincji Ratanakiri przy granicy z Wietnamem. Kambodża na dobre ugrzęzła w wojnie domowej. Ledwie dziesięć lat temu skończył się terror Czerwonych Khmerów, którzy zaminowali kraj i prowadzą teraz działania partyzanckie. W kraju buszuje bandyterka, korzystając do woli z chaosu i bezprawia. Mnożą się porwania i morderstwa.

Ośmioletnia Rochom Pingieng jest pogodną i uśmiechniętą dziewczynką. Śpiewa, pięknie rysuje i uwielbia wycinać kwiatki z papieru. W najlepsze bawi się z rodzeństwem. Dlatego ma blizny na lewej ręce: brat kiedyś przypadkiem ją skaleczył.

Razem z resztą dzieciarni pasie bydło na łąkach na skraju dżungli. Nie robiłaby tego, gdyby nie umarła jej młodsza siostra. Pogrzeb w Kambodży to nie byle co: trzeba „zachować twarz”

i wyprawić uroczystość z rozmachem. Dlatego ojciec ostatnio cały czas łowi ryby albo płucze złoto, musi spłacić pochówek. Poprosił Rochom, żeby przez jakiś czas zamiast niego zajęła się bydłem. W południe dzieci chowają się w bambusowej chacie na łące, by przeczekać największy skwar. Tamtego dnia jeden z chłopców zauważył przez okienko, że od stada odłączył się bawół. Wysłała za nim Rochom. Czekają. Nie wraca. Zaczynają jej szukać. Znajdują tylko ślady, które giną w błocie.

Czy to możliwe? Spróbuję odpowiedzieć w ten sposób: po kilkunastu krokach w równikowej gęstwinie bez GPS-u i kompasu kompletnie tracę orientację.

Zaczęły się poszukiwania. Rodzice próbują wszystkiego. Wróżki, magowie, ofiary ze zwierząt. Ile?

– Dwa byki. I świny. Ale świń tyle, że ich nie zliczę. I kury – wspomina Sal Lou.

Po roku rezygnują. Dwa lata później przenoszą się do Oyadao.

Trzeba ustalić kolejne fakty: kto, kogo i gdzie znalazł w 2007 roku. Ojciec mówi, że dziewczynę znaleźli w buszu mężczyźni z pobliskiej wioski.

Jedziemy.

Droga do Tein zabiera motorem około pół godziny. Zaraz za Oyadao skręcamy w czerwoną ścieżkę wijącą się przez dżunglę. Wreszcie mam okazję się jej przyjrzeć. Jest inna niż w Afryce i Amazonii: bardziej soczysta, gęsta. Niższe piętra zajmują splecione, zielone zasieki, których wycinanie maczetą musi oznaczać gehennę.

Zmierzcha, gdy dojeżdżamy do celu.

– Możesz go zapytać o tych ludzi? – proszę Bonę, mojego tłumacza, napotykając pierwszego człowieka.

Zamieniają parę zdań.

– Nie ma szans. W ogóle nie rozumie po khmersku. Oni są mniejszością etniczną, mówią po swojemu – wyjaśnia.

Podchodzi ktoś inny. Zna drogę, wskakujemy na motory.

Podjeżdżamy pod chatę. Zsiadamy. Wspinam się po stopniach wyciętych w palu opartym o ganek. Wokół zbiera się tłum tubylców, przyglądają się całemu zamieszaniu.

Gospodarze są nieśmiali, odpalają domowe cygara i każą się rozgościć.

– Panie Mors Kor, jak pan ją znalazł? – pytam.

– Było tak. Poszliśmy we trójkę do dżungli narąbać drewna. Zabraliśmy trochę ryżu na przekąskę, bo to godzina marszu. Doszliśmy na miejsce, rąbiemy, nagle patrzę, a tu z worka zniknął ryż. Zacząłem się rozglądać i po chwili się pojawiła. Przeraził mnie chuda, naga, ciemna.

– Włosy. Jakie włosy?

– Do ramion.

– Na czworakach?

– Nie, normalnie, jak człowiek.

– Czerwone oczy?

– Nie, normalne.

– I co?

– Uciekła.

– I co?

– Poszliśmy do domu.

Blizny

W wiosce opowiedzieli nam, że ludzie już wcześniej widywali w lesie jakąś dziwną istotę, ale zawsze uciekała. Słyszeli, że komuś gdzieś kiedyś zginęła córka, ale to nic nowego. W tych stronach dzieciaki często gubią się w dżungli, zwykle jednak odnajdują się po paru dniach. Czasem giną nawet dorośli. W 2004 roku z dżungli wyłoniło się trzydziestu czterech ludzi. Ukrywali się w niej od czasu obalenia Czerwonych Khmerów, których wspierali. Dwadzieścia pięć lat.

Sal Lou, były policjant, zna prawie wszystkich w okolicy. Jak tylko doszły go słuchy o wypadku, wszedł na motor i pojechał do Tein. Razem z miejscowymi postanowili następnego dnia pójść do dżungli.

W tym samym miejscu w lesie położyli worek z ryżem i zaczęli się w krzakach. Przyszła. Podbiegli, złapali ją. Ojciec spojrział na jej lewą rękę. Była pokryta bliznami.

– To moja córka – oznajmił łamiącym się głosem.

Na ciele dziewczyny zauważył też blizny do złudzenia przypominające ślady po sidłach.

Mamy więc trzy niepodważalne fakty:

W 1989 roku policjantowi Sal Lou zginęła córka.

Osiemnaście lat później mężczyźni z Tein znaleźli w dżungli półdziką istotę.

Ojciec rozpoznał w niej swoją córkę po bliznach na lewej ręce.

Ale co dalej?

Warianty

W dżungli groziło jej niemal wszystko: węże, na czele z kobrą królewską, tygrysy, malaria, głód, upał, chłód, owady, pijawki. Spokojnie można by wymieniać do końca następnej strony. Pytam o zdanie mieszkańców wsi.

– Wierzę, że to prawda – mówi młody chłopak z Oyadao. – Pamiętam, jaką ciemną miała skórę, kiedy ją przywieźli. Nie mam pojęcia, jak przeżyła tam tyle czasu. Nie pytaj...

Spójrzmy na mapę. Jak duża jest dżungla w tym rejonie? Jak długo można iść, nie spotykając nikogo? Nie jest bardzo rozległa. Choć Sal podkreśla, że dwadzieścia lat temu była o wiele większa i dziksza. Od tamtej pory regularnie ją wycinają. Poza tym Rochom mogła zbudować sobie kryjówkę i poruszać się w promieniu kilkunastu kilometrów od niej. Czy człowiek w takiej sytuacji próbuje brnąć przed siebie, czy raczej barykaduje się i oswaja nową, ekstremalną rzeczywistość? Ja pewnie brnąłbym w amoku, aż natknąłbym się na ludzi. A gdyby mi się nie udało? A ośmioletnie dziecko, zagubione, przerażone, po kilku tygodniach poszukiwania drogi do mamy? Kiedy pogodziła się z tym, że zamiast matki będą z nią już tylko pająki, żmije i małpy?

W 2006 roku zgubiłem się w dżungli. Też w Kambodży. Na jedną noc. Dlatego tym trudniej mi pojąć, jak przeżyła, choć wiem, że to możliwe – dżungla daje wszystko, jeśli przestrzega się jej zasad i zna instrukcję obsługi.

Ucieczki i powroty

Na stryżek wchodzi matka, idzie ją nakarmić.

– Lubi makaron – szepcze.

Po powrocie Rochom nie umiała posługiwać się sztucami. Potem robiła spore postępy.

Jednak kilka miesięcy po jej odnalezieniu Sal Lou pojechał do Wietnamu. Teraz nie popełniłby już tego błędu, ale kto to mógł przewidzieć? Wybrał się do czarodzieja, by zapytać, co działo się z jego córką przez osiemnaście lat. Mag nie odpowiedział, ale od tej pory coś zaczęło się psuć. Dziewczyna czuła się coraz gorzej, przez długie okresy nie chciała jeść. Zdierała z siebie ubranie i uciekała do dżungli. W 2007 roku zniknęła na dziewięć dni. Odnaleźli ją w sadzie.

Zabrali ją do szpitala. Próbowwała ucieczki. Dlatego teraz trzymają ją zamkniętą w chacie i nie spuszczają jej z oka.

Najczęściej stoi oparta o ścianę. Wygląda przez okno. Patrzy na sad i kury. Na małe dzieci bawiące się na podwórzu. I na dżunglę za sadem. Często wstaje i kuca obok ramy łóżka, jak teraz, przy mnie. Nagle zrywa się i biegnie w stronę drzwi. Sal krzyczy i łapie ją za ubranie. Rochom wraca pod ścianę, patrzy na nas z wściekłością.

– A może powinniście puścić ją do dżungli? Może tam jej już lepiej? – mówię do ojca.

– A puściłbyś swoją córkę? – pyta zrezygnowany.

Rochom nie opowie nam, co się wydarzyło. Nie mówi. Podobno reaguje tylko na trzy słowa: „mama”, „tata” i „ból brzucha”. Kiedy jest głodna, wskazuje palcem na usta. Wydaje z siebie dźwięki, najczęściej nocą. Nikt jej nie rozumie. W czasie mojego pobytu zaczęła swój dziwny śpiew.

– Ciiiiii! – uciszyłem wszystkich.

Mam na dyktafonie około piętnastosekundowe nagranie. Przesłuchałem je wiele razy. Już nie mam wątpliwości: tak mamrocze małe dziecko, zamyślane, zajęte jakąś zabawką, spokojne, próbujące coś sobie nucić. Ponoć dziewczyna rozpoznaje niektóre słowa z narzecza plemion Jarai, co może sugerować, że spędziła z nimi jakiś czas.

Spogląda na mnie nieśmiało zaczerwienionymi oczami (zmęczonymi ciemnością, płaczem?). Podchodzę do niej, kiedy znów leży na podłodze. Chcę przyjrzeć się jej bliznom. Dotykam jej dłoni. Zupełny brak reakcji. Nie odpycha mojej ręki, nie spogląda na mnie, nie porusza nawet palcami. Po prostu nic. Jej dłoń jest zupełnie bezwładna.

Nikt nie wie, co dzieje się w jej głowie. Czy coś w ogóle pamięta? Może tęskni za małpami i ptakami, za ulubionym jeziorkiem? A może śnią się jej koszmary – nocny trzask dżungli, jej syk i równikowa ciemność?

Włosy

Wielu dziennikarzy wątpiło. Po pierwsze: Tarzan z krótkimi włosami? Świadkowie twierdzili, że gdy ją złapano, miała włosy do ramion.

– To jak to było? – pytam Soni.

– Ostrzygliśmy ją tylko raz! Parę dni temu. Ładna fryzura, prawda? Nawet ją ufarbowałam – uśmiecha się od ucha do ucha.

– Ale jak to możliwe, że w dżungli miała krótkie włosy?

– Miała włosy do ramion. Musiała sama je sobie skracać. Cały czas w nich grzebie i podcina je czymś ostrym. Nawet tu, w domu – odpowiada spokojnie.

Po drugie: badania. W 2007 roku do Oyadao przyjeżdża reporter brytyjskiego „The Guardian”. Proponuje zrobienie badań genetycznych, ale ojciec odmawia.

– Jesteśmy animistami – tłumaczy mi Sal. – Wierzymy w magię. Gdyby ktoś z naszych oddał jakąś część swojego ciała, sprowadziłoby to na wioskę nieszczęście!

Trudno mi ich posądzić o sfingowanie całej historii, o to, że prości i niemal niepiśmienni ludzie wymyślili sobie „Tarzana z Kambodży”, żeby przyjechało do nich BBC, a tłum dziennikarzy zrobił z ich domu zoo. Że Sal Lou, któremu ciągle brakuje na jedzenie, przygarnął wymagającą stałej opieki obcą niepełnosprawną dziewczynę. Nie wiadomo, kto będzie się nią opiekował po śmierci rodziców.

Opowiedziałem Salowi, że prasa posądza ich o kłamstwo, bo nie zgodzili się na badania. Zdenerwował się. Chwycił nóż, podszedł do Rochom, odciął jej pasmo włosów, potem dołożył swoje i wręczył mi dwa kłębki.

– To moja córka, sprawdź.

Ale pozytywny wynik wcale nie musi oznaczać, że dziewczyna faktycznie spędziła osiemnaście lat w dżungli. Mogła przecież przez jakiś czas gdzieś mieszkać, być więziona

(izolowanie ludzi chorych psychicznie nie jest w tych stronach niczym nadzwyczajnym), gwałcona, torturowana (pojawiły się takie hipotezy). Tak naprawdę wiadomo tylko tyle, że znalazła się w dżungli.

Po powrocie do Polski zadzwoniłem do laboratorium genetycznego.

– Proszę pana, żeby zrobić test, musi pan dostarczyć włosy z cebulkami – tłumaczy mi pracownik.

Nie mam! Sal uciął przecież włosy nożem! Łapię za telefon i dzwonię do zaufanego Bony, który mieszka dwie godziny skuterem od Oyadao:

– Jedź po włosy z cebulkami i wyślij mi je kurierem.

Zakończenie

Tydzień później do Polski przylatuje materiał genetyczny. Długo nie mogę znaleźć laboratorium, które bezpłatnie robi dla mnie badania. W końcu sprawą zainteresował się GenMed z Poznania. Badania trwały miesiąc.

Wniosek końcowy zaczyna się tak: „Badanie polimorfizmu DNA nie pozwoliło uzyskać pełnego profilu genetycznego dziecka Pingieng Rochom. Niepełny profil dziecka jest wynikiem degradacji materiału biologicznego lub/i związany jest z obecnością inhibitorów reakcji, co mimo to umożliwiło analizę statystyczną i pozwoliło sformułować wniosek końcowy”.

Dziewczyna jest dzieckiem innych rodziców.

Apel

„Proszę wszystkich dobrych ludzi o zabranie Rochom do kliniki i pomoc w przystosowaniu jej do życia w cywilizacji. Sal Lou”.

Epilog

Na opublikowany w prasie apel nikt nie odpowiedział.

Wyniki badań przekazałem ojcu za pośrednictwem Bony. Zignorował je.

W zaktualizowanej edycji przewodnika „Lonely Planet” po opisie Kambodży dodano ramkę z historią „jungle girl”.

Bona uczy się japońskiego. Twierdzi, że warto. Na japońskich turystach Kambodża jeszcze zbije majątek.

Dętka (ulotne)

Attapu to prowincjonalna, zakurzona miejscina na południu Laosu. Nie miałem ochoty czekać bezczynnie na pozwolenie, żeby wejść w Góry Annamskie, więc pożyczyłem motor. Chciałem podjechać do oddalonej o trzydzieści kilometrów wioski, w której znajdował się jakiś zabytkowy złom po wojnie wietnamskiej.

Ruszyłem – pusta droga, wokół dżungla. Przegapiłem rozjazd i dopiero po jakimś czasie spostrzegłem znak: VIETNAM – 10 KM. Zawracam i pędzę, bo robi się późno. Nadłożyłem dobre czterdzieści kilometrów, a po drodze nie ma nawet co myśleć o stacji benzynowej. Droga jest pusta, nie pamiętam, kiedy minął mnie ostatni samochód. Nagle motor zaczyna się chwiać, staję, obracam się, sprawdzam. Złapałem gumę. Do Attapu zostało mi jeszcze ze trzydzieści kilometrów. Zmierzcha. Nie mam narzędzi. Powoli zaczynam się godzić z perspektywą awaryjnego noclegu – w rowie przy dżungli.

Wtem na horyzoncie pojawia się drgający punkt, zbliża się, wyostrza. Warczący motor. Kierowca staje. Ma na twarzy białą maskę chroniącą od kurzu, widzę więc tylko oczy. To kobieta, tak, na pewno. Na kolanach i na baku wiezie wielki wór. Stawia motor na stopce, podnosi worek i wysypuje mi pod nogi cały stos kluczy, dętek i narzędzi.

Wymieniłem dętkę. Laotanka odjechała. Wieczorem znów kręciłem się po miasteczku. Spostrzegłem, jak jedzie na swoim motorku w przeciwną stronę. Nie zauważyła mnie. Zawróciłem i zacząłem ją gonić, chcąc raz jeszcze jej podziękować, ale zniknęła gdzieś w tłumie ludzi w maskach na twarzy.

2006

Duch

Jest kraj, w którym wielka rzeka raz w roku zmienia kierunek. Zawraca.

W kraju tym nie wypada pytać „dlaczego?”.

„Dlaczego?” w wielu przypadkach może tu brzmieć nietaktownie, nachalnie. Lepiej zapytać „jak?”, „co widziałeś?”, „skąd wiesz?”, by nie urazić rozmówcy i określną drogą poszukać odpowiedzi.

Ale ostatnio wbrew regułom savoir-vivre’u „dlaczego?” powtarza się w tym kraju otwarcie i bez skrępowania.

W 2006 roku powołano tu trybunał, na rozprawy regularnie przychodzi Chum Mey. Wchodzi na środek sali i ściąga buty. Na widowni korespondenci, pół tysiąca widzów – w większości ofiary bestialskiego terroru.

Przydługawe spodnie opadają fałdami na podłogę. Operator zbliża kamerę do jego stóp, sędziowie oglądają je na telebimie.

– Najpierw wyrywali mi paznokcie u prawej nogi. Trzymały się tak mocno, że wykręcali je obcęgami. Potem u lewej – zeznaje Chum Mey.

Jest drobny i leciwy, ale jako jedyny świadek nie boi się spojrzeć oskarżonemu prosto w oczy. Czy ktoś się jeszcze odważy stanąć twarzą w twarz z Duchem?

W trybunale do spraw zbrodni Czerwonych Khmerów w stołecznym Phnom Penh ofiary znów spotykają katów. Jeśli w ogóle wiadomo, kto jest kim.

Chum Mey nie ma przecież pewności, czy wulkanizator, u którego zwykle łąta pękające od tropikalnego upału dętki, nie zamordował jego krewnych, czy jego sąsiad nie rozstrzelał kilku tysięcy ludzi, czy sprzedawca smażonych bananów nie był komendantem obozu tortur.

Nie dowie się tego od nich samych.

Ani od prawie dwóch milionów zabitych.

Nie dowie się od tych, dla których obrady trybunału to rozdrapywanie zagojonych ran.

Nie dowie się z podręczników – w Kambodży przez dziesiątki lat nie napisano o tym ani słowa.

Dlatego zjawia się na każdej rozprawie. Czekał na tę chwilę trzydzieści lat.

Stare khmerskie proroctwo

„Ciemność zstąpi na lud Kambodży. Będą domy, ale nie będzie w nich ludzi, będą drogi, ale nie będzie podróżnych, ziemią władać będą barbarzyńcy bez wiary. Krwi będzie tyle, że sięgnie brzucha słonia. Przeżyją tylko głusi i niemi”.

Aparat

7 stycznia 1979 roku, Phnom Penh. Ho Van Tay wjeżdża w wojskowej kolumnie do miasta. Skwar, na ulicach żywej duszy, bulwar Monivonga przypomina pustynny kanion, w boczne uliczki wgrzyza się zielsko, wszędzie stosy krzesel, garnków, kartonów, maszyn do szycia, materaców, rodzinnych fotografii. Po asfalcie furkoczą tumany banknotów. Z prawej góry zmywarek, lodówek, elektroniki, telefonów i stopionego plastiku, złomowisko samochodów. Wszystko przeżarte rdzą. Do „miasta duchów” wjeżdżają czołgi, żołnierze wieszają flagi. Van Tay przystawia do oka aparat (obiektyw szesnaście milimetrów).

Dzień później. Van Tay jedzie przez miasto wojskowym dżipem. Trafia w dziwne miejsce. Sklep po sufit zapchany prawymi butami, sąsiedni – lewymi. Wóz tonie w niewidzialnej chmurze ciężkiego smrodu. Van Tay zatrzymuje samochód, wysiada, rozgląda się. Miasto ogarnia śmiertelna cisza. Mija wielkie wille, odór staje się coraz silniejszy. Na bramie napis: École Première de Tuol Sleng, liceum. Mury wokół budynków szkoły obszyte drutem kolczastym. Na podwórzu kilka szczurów. Wokół maszyny do szycia, między drzewami hamaki i pranie. Ktoś musiał uciekać stąd w panice. Balkony szczelnie przykrywa druciana siatka, plac szkolny jest zaorany. Wchodzi do środka. Pod stopami chrupie robactwo. Na podłodze w pokojach walają się fotografie, leżą pęknięte telefony, z pootwieranych szuflad sterczą dokumenty, obok chińskiego radioodbiornika – naboje. W drugim pomieszczeniu na ścianie wiszą na gwoździach kajdany i kłódki, na ziemi rozsypany worek wapna, na stole – baty, piły, siekiery, motyki, pały. Dalej jakieś popiersie, portrety. Van Tay uważnie stawia stopy między

kępami czarnych włosów i kałużami przyschniętej krwi. Wszędzie muchy. Smród niesie się od trupów przykutych łańcuchami do stalowych ram łóżek: około dwudziestu, trzydziestu ciał – mężczyźni, kobiety i dzieci. Wszędzie białe czerwie. Czaszki musiały eksplodować od silnego uderzenia, jakby szpadlem.

Zmierzcha. Van Tayowi drżą ręce; przystawia do oka aparat.

Kino objazdowe

Lata czterdzieste, prowincja Kompong Thom. Mały Kang Kek Iev ma radio. Ale ileż można słuchać radia, kiedy jest się małym chłopcem? Gdy przez wieś jedzie kino, Kang drobi stópkami w dół po drewnianych schodach i pędzi pod świątynię. Tam już uciszają dzieci, maty rozłożone, siadać! Przed główną projekcją zawsze pokazują krótszy film: po lewej człowiek z przepaską na oczach i rękami związanymi na plecach, przed nim dwunastu żołnierzy z karabinami. Mówią, że to Khmer Serei, wolni Khmerzy, bandy antykrólewskich rebeliantów rozstrzeliwane przez wojska króla Sihanouka. Kat strzela, zanim do końca wybrzmi komenda.

Król hoduje żmije

Król Sihanouk modernizuje system szkolnictwa. Wcześniej Kambodża po dziewięćdziesięciu dziewięciu latach wyzwala się spod francuskich wpływów. W Kompong Thom na dwieście miejsc w szkołach przypada siedmiuset kandydatów. Czternastoletni Kang jest jednym z wybrańców. Do domu wraca tylko raz na miesiąc – pięć godzin rowerem. Rodzina przysyła mu czasem trochę ryżu. Mieszka u starszego małżeństwa, właścicieli straganu z makaronem, w zamian za pomoc w interesie i pracach domowych. Kang nie gra w piłkę ani nie ogląda się za dziewczynami. Najbardziej lubi porządkować książki na biurku wieczorem przy świeczce – wygładza dłonią zeszyt i pedantycznie układa podręcznik równoległe do krawędzi blatu. Pomaga w nauce kolegom i koleżankom, którym często powtarza: „bądźcie silne i wytrwałe”. Wie, że w Kambodży kobietom jest bardzo ciężko.

Kang ma kumpla – Ho Ngie. Po lekcjach wskakują na rowery i jadą dwa kilometry do centrum informacji rządowej. Czytają gazety, a kiedy oficer nie patrzy, można nawet którąś gwizdnąć. Kang dowiaduje się, że do liceum przyjeżdża Ke Kim Huot, jego ulubiony nauczyciel z podstawówki. Od tej chwili często bywa w jego domu. Kim Huot opiekuje się najbiedniejszymi uczniami – podsuwa im smakołyki, czasem kogoś przenocuje, udziela darmowych korepetycji. Gdyby wieczorem zacząć się pod chatą, w której uczy, można by usłyszeć:

– ...szkoły przenoszą się ze świątyń do nowych budynków, nauczyciele ciężko pracują i żyją skromnie, a mnisi? Jedwabne szaty, bogate świątynie stawiane z datków. Kambodża jest biedna i niesprawiedliwa, niczego nie załatwisz, jeśli nie masz pieniędzy. A świat się wyzwala! Świat nie stoi już w miejscu, ludzie nie wierzą już w karmę, przeznaczenie, Chiny wiedzą i udowadniają, że wola ludzka i wysiłek pokonują wszystkie przeszkody. To wy musicie wziąć sprawy w swoje ręce, wy, młodzi, wykształceni, jesteście nadzieją tego kraju!

Przed reformą króla średnie wykształcenie gwarantowało pracę w strukturach rządowych. W wyniku reformy ze szkół wychodzą zastępy wykształconych młodych ludzi, którym zielony, rolniczy kraj nie daje zatrudnienia.

Król hoduje na swojej piersi żmije.

Duchota

Kang dwuletni kurs maturalny kończy w rok. Dostaje ofertę nauki w prestiżowym Lycée Sisowath w Phnom Penh. Tam zdaje drugi etap egzaminu maturalnego z drugim wynikiem w kraju. Przygląda się stolicy i widzi przepaść między wsią a miastem.

Kang zakochuje się w Kim, siostrze Ho Ngie. Razem rozpoczynają studia na uniwersytecie. Zaręczają się. Zrywają zaręczyny. Kang przenosi się do Instytutu Pedagogiki, którego dyrektorem jest Son Sen, aktywista komunistyczny. Kanga w struktury partii wprowadza profesor Khnay Kim Hour, szef stołecznej komórki partyjnej. Zaprzyjaźniają się. Pewnie wtedy w ich dyskusjach po raz pierwszy pada słowo *czengfeng*, slogan

robiący właśnie wielką karierę w Chinach i nawołujący do nieustannej walki o poprawę stylu pracy, w myśl zasady, że najpierw i najdotkliwiej należy kontrolować swoich, bo to wśród nich lęgnie się złowrogi dla idei wirus.

Konflikt w Kambodży się zaostrza, a księżę Sihanouk, który tymczasem formalnie abdykował na rzecz ojca, przechadza się po czerwonych dywanach, przymilając do ludu. „*Mes enfants*”, moje dzieci – powtarza.

Kambodża ma być samowystarczalna. Księżę nacjonalizuje handel. Dziewięćdziesiąt procent populacji to chłopci. Za ryż więcej płaci im jednak Vietcong niż państwo. Buntują się.

Dla księcia nauczyciele i studenci to wywrotowcy. Sihanouk ma wszakże człowieka do robienia porządku – Lon Nola. Ten namierza wrogów, wsadza ich do więzienia, torturuje, morduje. Prześladowani uciekają do dżungli. Jednym z nich jest niejaki Saloth Sar, nauczyciel wykształcony na Sorbonie.

W 1965 roku Kang otrzymuje certyfikat nauczycielski i rozpoczyna pracę w Skuon – mieście pajaków.

Miasteczko położone na skrzyżowaniu trzech dróg krajowych jest naturalnym przystankiem dla podróżnych. Gdy tylko się zatrzymają, natychmiast oblepiają ich gromady dzieci sprzedających tłuste pająki przypominające tarantule. Rano mężczyźni wychodzą po nie do lasu, wracają koło czternastej, kobiety rzucają je na głęboki tłuszcz. Danie nazywa się *a ping*.

Kang, jak wszyscy, często je jada. Nie prowadzi życia towarzyskiego. Roznosi ulotki i pokazuje chińskie filmy propagandowe. Jeździ na rowerze, ubiera się skromnie, nie pije, nie chodzi na festyny. Mało tego – więcej robi, niż mówi. Zbiera grupę studentów, by pomagać chłopom w polu. Tłumaczy, że biedniejszych i nieszczęśliwszych trzeba wspierać. Takiego człowieka tu jeszcze nie było.

Otrzymuje więc tytuł Manuh Daach Hat, w terminologii Czerwonych Khmerów oznaczający kogoś, kto dla idei poświęci wszystko. Kang wie, że w kraju ścigają i zamykają komunistycznych agitatorów, ale czuje się pewniej niż inni – Czerwoni Khmerzy mają bazę niedaleko Skuon.

W dystrykcie Samlaut rząd odbiera chłopom ziemię, by postawić rafinerię cukrową. Wojsko ma ściągnąć podatki i dopilnować, by wieśniacy sprzedawali cukier państwu, a nie Vietcongowi. Kilku chłopów nie wytrzymało, zabijają dwóch żołnierzy. Książę jest za granicą, ale Lon Nol wie, co robić.

Pali, zabija, głowy każe przywozić do Phnom Penh w dowód, że jego rozkazy są wykonywane. Ginie prawdopodobnie dziesięć tysięcy ludzi.

W kraju robi się coraz duszniej.

W mieście pajaków

Jestem umówiony na spotkanie ze studentem Kanga. Siada na podłodze osadzonej na palach metr nad ziemią, nerwowo pociera gołą stopą o stopę, jest skrępowany. Pytam o Kanga.

– Bardzo dobry nauczyciel, wymagający, surowy, ale nigdy nikogo nie uderzył. Uczył matematyki. Na lekcjach ani razu nie wspomniał o komunizmie. Pomagał dzieciom w nauce, był bardzo cierpliwy. Wszyscy go lubiliśmy, porządny człowiek. Nagle zniknął.

Tajne śniadanie

11 lutego 1969 roku, Pentagon. Trwa wojna w Wietnamie. Na tajnym śniadaniu zapada decyzja: amerykańskie samoloty zbombardują wietnamskie cele na terenie Kambodży (stacjonują tam oddziały Vietcongu, biegnie szlak Ho Chi Minha, którym płynie wsparcie dla komunistycznego Wietnamu). Plan aprobują Nixon i Kissinger. O operacji „Śniadanie” nie informują ani Kongresu, ani opinii publicznej.

Krople z nieba

Bombowce zapuszczają się coraz głębiej na terytorium Kambodży, operacja „Śniadanie” przekształca się w wielką operację „Menu” – po „Przekąsce” przychodzi kolej na „Lunch”, „Obiad” i „Kolację”. Pojedynczy samolot B-52 dźwiga cztery i pół tony bomb, na wysokości dziewięciu kilometrów nad ziemią otwiera „brzuch”. Niebo nad Kambodżą często pokrywa stalowa zasłona chmur – ludzie zwykle nie widzą samolotów. Z chmur lecą czarne krople. W mgnieniu oka rozrastają się do nienaturalnych rozmiarów i walą z hukiem w ziemię. Brytyjski reporter Nic Dunlop: „Dla Nixona i Kissingera Kambodżanie nie

byli nawet abstrakcją, oni po prostu nie istnieli”. Do 1973 roku na Kambodżę spada około dwóch milionów bomb, zabijając do pięciuset tysięcy ludzi (olbrzymie rozbieżności w szacunkach) i dwie trzecie zwierząt hodowlanych. Ziemia wygląda, jakby zaorał ją gigantyczny pług. Połowa ludności wiejskiej ucieka przed bombardowaniami do miast.

Czerwoni Khmerzy głoszą po wsiach: „Obronimy was przed tymi diabłami!”. Obiecują równość, drugi Angkor – powrót do wielkiej chwały średniowiecznego państwa khmerskiego, sięgającego po dzisiejszy Bangkok, do czasów bajecznych świątyń i płodnej ziemi. Przecież nawet Chińczycy mawiali: „obfity jak Kambodża”, a tu co – popiół, zgliszcza, trupy? Niech tylko przegonią tych amerykańskich szatanów i kambodżańskich zdrajców! Są zdyscyplinowani, jest ich wielu, to nasze chłopaki. Jeśli nie oni, to kto?

Sam książę ogłasza z Pekinu przez radio: „Bracia i siostry! Idźcie do dżungli i dołączcie do partyzantów!”.

Tylko że to koniec jego władzy. Od 1970 roku krajem rządzi Lon Nol, który obalił księcia, gdy ten znów przebywał za granicą. Mówi się, że pucz to robota CIA. W każdym razie reżim Lon Nola jest w pełni wspierany przez Amerykanów, do Kambodży zjeżdżają wojskowi doradcy z USA. Lon Nol jest dobrym kandydatem do tępienia czerwonej zarazy.

Najpierw jednak ogłasza amnestię dla więźniów, by złagodzić napięcie po zamachu stanu.

Jednym z nich jest Kang Kek Iev. Wraca do rodziny, ale tylko na dwa tygodnie. Okolica jest wyniszczona walkami. Kang ma mało czasu, żeby wytłumaczyć, co się stało. Kiedy zaczęły się aresztowania, uciekł ze Skuon do bazy Czerwonych Khmerów. Udawał wieśniaka. Aresztowano go po kilku miesiącach. Najpierw siedział w Kompong Cham, potem przeniesiono go do stolicy do więzienia politycznego – łącznie dwa lata za kratami.

Ciekawe, czy wspominał o *tong tin*? To rodzaj samopomocy kredytowej. Grupa ludzi umawia się, że każdy wpłaca do wspólnej kiesy jednakową kwotę, po czym ma prawo pożyczyć całość i spłacić kredyt w umówionym terminie. Może nie chce się przyznać, może to nieprawda? W każdym razie po

miasteczku krążą plotki: wziął kredyt i nie miał za co oddać, wspólnicy zgłosili sprawę na policję. Ludzie mówią, że wszystkie pieniądze przeznaczył na dobrojenie Czerwonych Khmerów. I dał nogę do dżungli.

Rodzinie oznajmia, że wraca do Phnom Penh do pracy. Zaraz po tym wybucha most nieopodal wioski, droga zostaje odcięta.

Kang Kek Iev znika.

Fotografie

Phnom Penh. Przyglądam się czarno-białym fotografiom w muzeum Tuol Sleng:

1. Portrety Czerwonych Khmerów. Dzieci, młodzież, czarne mundury, ciemna skóra, kruczoczarne włosy, twarze zupełnie bez wyrazu.

2. Tłum ludzi, dorośli, dzieci, w spodenkach, klapkach. Stoją przed rodzinnymi sklepikami na chodniku przy drodze, machają, krzyczą, gestykulują, śmieją się, wszyscy się czemuś przyglądają. Na drugim planie szyld: HONDA.

Data: 17 kwietnia 1975.

17 kwietnia 1975

Phnom Penh tonie w morzu słońca odbijającego się w lufach karabinów i blachach zwycięskich czołgów Czerwonych Khmerów. Na ulice wylegają tłumy witające wybawicieli. Ludzie krzyczą, skaczą z radości – „Koniec wojny! Nasi chłopcy!”. Rzucają kwiaty, dzieciaki biegną za czołgami, niektórym udaje się wskoczyć.

Czerwoni Khmerzy w końcu zdobyli stolicę.

Kang przejeżdża przez swoją rodzinną wioskę. Towarzyszy mu troje ochroniarzy-dzieci z AK-47 na ramionach. Zatrzymuje się na noc. Okolicę w mig obiega ekscytująca informacja o jego przybyciu. Wieczorem opowiada zasłuchanym mieszkańcom:

– Nadeszła nowa era, teraz będziemy mieli we wsi i szpital, i szkołę. Wszystkim będzie łatwiej.

Ktoś zaczyna narzekać na ciężkie warunki.

– Nie martwcie się. Angkar Loeu, Najwyższa Organizacja, zapewni wam wszystko, czego potrzebujecie.

(Tajfuny

Kambodżę nawiedzają tajfuny. Zwykle na długo przed huraganem wzburzone niebo wysyła jasne sygnały. Gdy burza cichnie, powietrze rozpromienia czyste, metaliczne światło, wylewające się na ziemię obfitym strumieniem.

Czasem jednak tajfun uderza niespodziewanie po raz drugi, pogrążając wszystko w czarnej otchłani).

Miasta duchów

Kilka dni później dzieje się coś dziwnego. Mieszkańcy stoją gromadnie za wysokim ogrodzeniem, przyglądając się, jak po drugiej stronie do helikopterów w panice wsiadają dyplomaci i korespondenci. Żołnierze ewakuują całe Phnom Penh, ogłaszają, że Amerykanie planują bombardowanie miasta. Powtarzają: „Wróćcie najdalej za trzy dni”. Wszyscy w pośpiechu opuszczają mieszkania, zabierając ze sobą najcenniejsze rzeczy. Ulicami płynie bosy tłum. Pustoszeją wszystkie miasta w kraju.

To nieprawda, że odtąd świat zupełnie nie wie, co dzieje się w Kambodży. Zwiad satelitarny zdradza obłądne ruchy migracyjne. Jeśli ktoś wpatruje się w te zdjęcia, widzi niepojęte sceny.

Z powietrza Kambodża wygląda jak monstrualne bagno, jak środek rozłożystej delty, gdzie suchymi korytami rzek, rozchodzącymi się i łączącymi pośród zielonego dywanu dżungli, płynie mrowie ludzi. Otępiały ludzki korowód staje się z tygodnia na tydzień coraz ciemniejszy od palącego słońca, kurzu i piachu. Skrzypiące wózki, zbutwiałe wiadra i splecione ręce zlewają się w monochromatyczną całość. Strumienie migrujących wpadają na siebie na skrzyżowaniach pomiędzy płatami dżungli i kotłują się w punktach kontrolnych, gdzie rozdziela się rodziny, odbiera rzeczy osobiste i klasyfikuje: tu chłopci, tam inteligencja.

Nocą kraj rozświetla wieniec ognisk rozniecanych przez struchlałych wędrowców.

Ze wspomnień Chum Meya

– Kiedy Czerwoni Khmerzy zdobyli miasto, biegałem jak wariat w kółko z białą flagą. Krzychałem: „Wolność! Pokój! Wiktoria!”.

W ciągu kilku kolejnych dni w mieście wybuchały strzelaniny. Na moich oczach żołnierze zabili trzy osoby. Wyrzucali ludzi z domów.

Mnie z rodziną wysłali do komuny rolniczej na prowincji. Szliśmy piechotą, głodni i spragnieni, w piekącym słońcu. Zamieszkaliśmy w małej chacie. Nie wiedziałem, co z nami będzie, jaki będzie teraz świat.

Codziennie o świcie wysyłali mnie nad staw po wodę. Jednego ranka, brodząc po kolana przy brzegu, nadepnąłem komuś na nogę. To był trup. Ciągłe ich przybywało, dlatego coraz bardziej śmierdziały od nich woda i ryby.

Któregoś razu przyszedł jeden z Khmerów i mówi: „Koło młyna zepsuła się ciężarówka. Napraw ją!”. Angkar dowiedziała się, że jestem dobrym mechanikiem, dlatego odtąd nie musiałem pracować w polu jak miliony innych, których kości zostały tam na wieki. Angkar mordowała inteligentów, ale łagodniej obchodziła się z rzemieślnikami. Mogli im się przydać. Potem przenieśli mnie do Kompong Cham i w końcu do Phnom Penh. Do miasta pozwalano wracać tylko mężczyznom. To było miasto duchów. Przebywała w nim wyłącznie garstka żołnierzy. Wysłali mnie do warsztatu, około trzynastu kilometrów od centrum. O czym tu mówić? Do 1978 roku od rana do wieczora w nieludzkim strachu grzebałem w śrubkach i wajchach. I zastanawiałem się, czy świat będzie już taki do końca. Pamiętam, przyszedł do mnie jeden z kamratów: „Będzie wojna z Wietnamem. Armia potrzebuje mechaników. Zwijaj się”.

Zwrócił moją uwagę pewien detal. Nie pozwolili mi zabrać skrzynki z narzędziami, bez której do tej pory się nie ruszałem. Nie miałem nic prócz dwóch rzeczy: tej skrzynki i nadziei.

A Angkar widziała wrogów wszędzie. Może źle przekreśliłem wajchę?

Wsadzili mnie na lambadę. Tak się mówiło na wozy wojskowe. Skuli mi ręce i zawiązali przepaskę na oczach. Kiedy nic nie widzisz, strach przeobraża się w panikę. Przestajesz myśleć, analizować swoje reakcje, przewidywać, kalkulować.

„Zostawcie wiadomość dla mojej żony, błagam!” – krzyczałem.

„Sukinsynu, i tak cię zabijemy! Zdradziłeś Angkar Loeu. Na co twojej żonie wiadomość?”.

Skopali mnie i gdzieś poprowadzili.

S21

21 lipca 1977 roku. Dzień rozpoczyna się jak zwykle. Do stęchlizny w powietrzu można przywyknąć. Na placu ustawia się do apelu trzystu mężczyzn w czarnych mundurach.

Trzeba iść do roboty. Od kilku miesięcy mają tu takiego jednego, twardą sztukę, nie chce dać się złamać. Dzisiaj znowu trzeba go przycisnąć.

Torturowany znajduje się na tajnej liście komendanta więzienia. Przy jego nazwisku figuruje dopisek, że jest agentem CIA. To Kim Huot, nauczyciel Kanga ze Skuon. Trafił tu za to, że jako senior w hierarchii Czerwonych Khmerów i naczelnik sektora w prowincji Pursat pozwolił ludziom wykonywać ich stare zawody i nie osiągnął normy zbioru ryżu.

Sprawy pilnuje osobiście komendant obozu, niejaki kamrat Duch. Łatwo go poznać, mimo że jak reszta katów nosi zwykły czarny mundur. Chodzi w sandałach zrobionych z dętki, na głowie ma zieloną czapkę w stylu Mao, na szyi luźno przerzuconą czarno-białą chustę, a w kieszeni na piersi – dwa długopisy, jedyny symbol jego rangi. Zwykle trzyma pod pachą plik dokumentów. Pali jednego papierosa za drugim, nigdy nie dopala żadnego do końca, gasi w połowie i odpala następnego. Kopci kotaby, najlepsze, reszta kadry pali kloki i bayony bez filtra albo dopala kiepy po Duchu.

Duch to rewolucyjny pseudonim Kang Kek Ieva.

Zanim trafił do S21, był szefem kilku więzień na prowincji. Ściągnął za sobą najlepszych katów. Cały czas utrzymuje kontakt z przyjaciółmi z przeszłości. To Son Sen, były profesor Ducha, rekomendował go na to stanowisko. Regularnie do niego dzwoni. Son Sen jest teraz ministrem obrony i szefem tajnej policji. Za rok wyda rozkaz zabicia stu tysięcy podejrzanych o spiskowanie z Wietnamem. Żołnierze będą mieli na to sześć dni. Są też inni. Pol Pot – głowa rewolucji, Brat Numer Jeden –

dawniej Saloth Sar, który uciekał do dżungli przed rządowymi represjami. Khnay Kim Hour, były szef stołecznej komórki partyjnej, który wprowadził Ducha w struktury partii, został przywieziony do S21 i rozstrzelany.

Na rozkaz Ducha.

Od dwóch lat Kambodżą rządzi Angkar Loeu, Najwyższa Organizacja Czerwonych Khmerów. Budowa nowego, idealnego społeczeństwa ma nastąpić przez eliminację wrogów. By to osiągnąć, trzeba zerwać wszystkie istniejące więzi społeczne, rozdzielić rodziny, wydać walkę wszystkiemu, co może się kojarzyć z przeszłością – przemysłowi, telefonom, butom, samochodom, banknotom, pralkom, szkołom, szpitalom, bankom. Pojęcie „rzeczy prywatnej” przestaje istnieć. 17 kwietnia 1975 został ogłoszony początek roku 0. Wrogiem numer jeden jest inteligencja, społeczeństwo dzieli się na kategorie, przetrwać mają tylko chłopci albo ci, których uda się reedukować. Kraj izoluje się od świata, utrzymuje stosunki dyplomatyczne z nielicznymi państwami, między innymi z Chinami i Koreą Północną.

W więzieniu politycznym S21 przebywa jednocześnie około tysiąca pięciuset aresztowanych. Siedzą w budynku byłego liceum. Angkar więzi i torturuje w byłych szkołach albo świątyniach: stamtąd nie słychać wrzasków i jęków katowanych. Z S21 nikt nie ma prawa wyjść żywy. Do S21 może trafić każdy, nie wiadomo kiedy i nie wiadomo za co. Do S21 może trafić nawet sam komendant obozu – jak kamrat Nath, który od 1975 do 1976 roku był przełożonym Ducha.

Duch mieszka z żoną Rom kilka kroków od miejsca pracy. Mają trzech ochroniarzy. Na drugim piętrze znajdują się ich surowo urządzone pokoje, udekorowane rzędem portretów: Stalin, Lenin, Marks, Engels, Mao i Pol Pot. Nad fotografiami wiszą dwie flagi – pierwsza z sierpem i młotem, druga – *tung padevat*, rewolucyjna flaga Demokratycznej Kampuczy. Hall na pierwszym piętrze służy jako miejsce spotkań z wyższymi rangą więźniami, których następnie transportuje się do celi. W sąsiednim pokoju znajduje się ciemnia, to tu wywołuje się zdjęcia wszystkich więźniów. Duch ma do dyspozycji kilka

samochodów: starego amerykańskiego forda, chińskiego łązika i parę skuterów.

Zwykle trudno zobaczyć go w ciągu dnia. Lubi pracować nad swoim dziełem – godzinami klasyfikuje i indeksuje agentów i podejrzanych, rozpracowując misterną siatkę wrogów Angkar Loeu. Taktyka jest jasna: dehumanizacja więźniów w oczach katów, których obowiązuje czterdziestodwustronicowy podręcznik tortur. Każdy więzień zostaje sfotografowany, co ułatwi poszukiwania w razie ucieczki. Od tej chwili jest taki jak na zdjęciu – samotny, skruszony i pozbawiony wyjścia. Imiona zastępują numery. Kat wywołuje wroga: winny numer 37, rząd 12, cela 4, budynek C.

Kambodża tonie nocą w lepszej ciemności. W więzieniu całą dobę pracuje generator. S21 jest jednym z niewielu miejsc w kraju oświetlonych jaskrawym światłem. Duch wychodzi zwykle z biura wieczorem i kontroluje pracę podwładnych. Zerka, czy okna i balkony są szczelnie zabezpieczone siatką – więzień mógłby wyskoczyć i popełnić samobójstwo, zabierając ze sobą cenne informacje. Odsyła raporty z poprawkami i żąda większej efektywności. Kaci wiedzą, że jeśli zawiodą, sami zostaną rozstrzelani. Czasem Duch osobiście zabiera się do roboty. Nie bawi się w znęcanie psychiczne, bicie, podpalanie, wyrywanie paznokci. Od razu uruchamia krzesło elektryczne.

Wieczorami zwołuje podwładnych na obowiązkowe zebrania, na których poucza i wytyka błędy. Nocą jeździ czasem do Choeung Ek, na „pola śmierci”. Więźniowie pakowani są na ciężarówkę, masowe egzekucje odbywają się piętnaście kilometrów za miastem.

Ze wspomnień Chum Meya cd.

– Pod stopami poczułem schody. Półpiętro, schody, piętro, schody, zimne mury, półpiętro, schody, drugie piętro. Trzaśnięcie krat. Popchnęli mnie na ziemię. Podłoga była zimna. Ciągle miałem zawiązane oczy, ale czułem i słyszałem, że w pomieszczeniu jest pełno ludzi. Słyszałem wrzaski kobiet, którym odbierano płaczące dzieci.

Dziś, gdy o tym mówię, wiem już, co miało się wydarzyć potem. Wtedy nie miałem pojęcia, co oznacza stuk kroków

strażnika, warkot silnika na zewnątrz.

Modliłem się, by nigdy nie wyczytali mojego imienia i nazwiska, by się okazało, że te słowa nie istnieją, że ktoś taki nigdy się nie urodził, że takich słów nie można zapisać, odczytać, wymówić; by znikły na zawsze, by nikt nie mógł podejść do krat i warknąć: „Chum Mey!”. Bo wyczytanie twojego imienia i nazwiska oznaczało śmierć.

„Chum Mey!” – echo rozniosło się po celi. Ktoś jęknął. Pewnie jednocześnie z bólu i ulgi.

Prowadzili mnie długo korytarzami, aż weszliśmy do jakiegoś pokoju. Rzucili mnie na podłogę. Odsłonili mi oczy. Zobaczyłem krew na podłodze, bardzo dużo krwi, wiązkę batów zawieszonych na ścianie, krzesło elektryczne, maszynę do pisania. Przesłuchiwał mnie bezpośrednio niejaki Tith. Nic nie wiem o tym człowieku.

Zaczęli przesłuchanie. Najpierw spytali o imię i nazwisko. Potem przeszli do sedna sprawy.

„CIA? KGB?”

Płakałem.

„Skurwysynu! Czy myślisz, że Angkar aresztowała cię za niewinność?” – szczekali.

Łkałem: „Jestem niewinny!”

Jeden z nich chwycił drąg i zaczął mnie nim okładać. Urwali mi palec. W końcu posadzili mnie na krześle elektrycznym. Dwa razy straciłem przytomność.

„Jak się przyznasz, damy ci spokój” – powtarzali.

Do dziś w archiwach zachował się protokół mojego przesłuchania. „Zmarnował zbyt wiele materiału, jego grupa złamała zbyt wiele igieł, spalił paski w maszynie”. To były przestępstwa, za które groziła śmierć.

Podąłem sześćdziesiąt cztery nazwiska, wiele z nich zmyśliłem. Katowali mnie tak, że wypowiedziałbym każde słowo, którego by zażądali. Dla nich wszyscy byli wrogami, nawet bezzębni starcy i niemowlaki.

Nie jestem bohaterem. To boli do dziś. Modłę się codziennie za tych wszystkich niewinnych, za tych, którzy w tych samych

okolicznościach podali moje nazwisko, i za tych, których sam wydałem.

Spaliśmy w celi blisko siebie, ciało przy ciele. Rozmowy były zakazane, ale rozmawialiśmy – nocą, szeptem. Jedynym tematem był warkot ciężarówki, która w regularnych odstępach przyjeżdżała i odjeżdżała: „Jedzie, wraca, już tu są, ciekawe, kogo przywieźli, zapalił, zgasła”. Wiedzieliśmy, że milknący w oddali silnik cichnie jak życie wieszonych w niej ludzi. Było nas tak wielu, a byliśmy najsamotniejszymi ludźmi na świecie. Nie mogliśmy sobie pomóc, byliśmy przykuci do metalowych prętów przy podłodze. Jeśli poruszyliśmy się, a nie zapytaliśmy wcześniej strażnika o zgodę, byliśmy potwornie bici. Załatwialiśmy się do puszek po nabojach, zresztą najwyżej dwa razy na miesiąc – dostawialiśmy dziennie tylko dwie łyżki zupy, które często jedliśmy, siedząc w kucki obok trupów. Bez żadnych wyrzutów. Byliśmy dzikimi zwierzętami. Wpatrywaliśmy się w sufit i czekaliśmy, aż spadnie nam do ust jakiś robak.

Torturowali mnie dwanaście dni i dwanaście nocy. Okazało się, że potrzebują mechanika. Mój fach znów mógł uratować mi życie. Pracowałem w więziennym warsztacie, naprawiając maszyny do szycia, spod których wychodziły czarne mundury dla Czerwonych Khmerów.

Wtedy jeden jedyny raz widziałem w S21 Ducha. Wszedł do warsztatu z dwoma uzbrojonymi ochroniarzami. Nie przyglądałem się im. Nie śmiałybym spojrzeć mu w oczy. Zobaczyłem go ukradkiem, drżąc ze strachu.

7 stycznia 1979

Od kilku dni załoga S21 żyje w stanie podwyższonej gotowości. Dochodzą sygnały, że do miasta zbliżają się Wietnamczycy.

Rano kadra zasiada do śniadania. Nagle na niebie pojawia się wietnamski F-111. Duch rozdaje strażnikom pistolety, dzieli ich na grupy i wysyła na zwiad; biegną w kierunku bulwaru Monivonga, czają się za murami – ulicami jadą wietnamskie czołgi i otwierają ogień.

Powodem wietnamskiej inwazji jest konflikt graniczny z Czerwonymi Khmerami. W jednym z czołgów jedzie Van Tay, wietnamski fotoreporter, który nazajutrz odkryje w mieście duchów S21 – największą tajemnicę Czerwonych Khmerów.

Duch znika.

Ze wspomnień Chum Meya cd.

– 7 stycznia byłem w warsztacie, gdy usłyszałem za murami strzelaninę. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Pobiegłem w stronę kwatery głównej i zobaczyłem strażników z bronią, szykujących się w popłochu do ucieczki.

Żywych więźniów w panice dobijali na miejscu, tych, których nie zdążyli zabić, wytargali za ubrania na ulicę. Zebrali jakieś pięćdziesiąt osób i poprowadzili nas w kierunku pół śmierci. Musieliśmy przejść nieopodal pobliskiego więzienia Prey Sar. Gdy doszliśmy, poczułem ciężki odór trupów. Wtedy w uwolnionym stamtąd tłumie dostrzegłem swoją żonę z dziećmi. Wsadzono ich do Prey Sar mniej więcej wtedy, kiedy mnie aresztowano.

Duchowi wszystko wymknęło się spod kontroli. Zabił kilku swoich podwładnych. Zapanował chaos. W nocy razem z innymi więźniami udało nam się uciec. Byłem jednym z dwunastu ocalałych z S21. Byłem wybrańcem Boga.

Szliśmy przed siebie. Spotkaliśmy po drodze ciężarną kobietę. Była wyczerpana. Daliśmy jej wszystko, co mieliśmy – bluzę i kramę¹.

A potem...

Wybaczcie łyzy, nigdy nie mogę ich powstrzymać, kiedy o tym mówię.

To był świt, szerokie pole. Byliśmy w grupie.

„Niech kobiety idą pierwsze” – ktoś powiedział.

Żona z dziećmi była już mniej więcej pośrodku pola, gdy ukryci nieopodal Wietnamczycy otworzyli ogień. Krzyczała: „Uciekaj! Uciekaj! Nie biegnij tu! Zabiją cię!”. Widziałem, jak pada na ziemię po serii z cekaemu. Jak ginie moje dziecko. Wietnamczycy najpierw uratowali mi życie, a potem zabili moją rodzinę.

Pewnie myślicie sobie teraz: „A ja co bym zrobił?”. Może myślicie sobie: „Ja bym nie uciekał, ja bym biegł pod kule, do żony”. Nie wiem, co byście zrobili. Ja padłem na ziemię i półprzytomny czołgałem się przez krzaki. Potem szedłem trzy noce przez dżunglę. Była pełnia księżycy, a ja miałem przed oczami tylko mrok. W dzień chowałem się w buszu. Nic nie jadłem. Panicznie bałem się ludzi. Wreszcie spotkałem na drodze starszą kobietę.

„Skąd jesteś?” – zapytała. „Z Phnom Penh...” „Jesteś sam?” „Sam”. „Dokąd idziesz?” „Do Phnom Penh...” „To nie w tę stronę! Idziesz dokładnie w przeciwnym kierunku!”

Zawróciłem. Po kilku dniach dobrnąłem do miasta, do którego wracali z całego kraju pierwsi ocaleni, głównie ostrzyżone do gołej skóry kobiety, niemo ciągnące za sobą w przeraźliwym skrzypieniu kół resztki dobytku: kury, drągi, skrzynki. Czasem człapał za nimi chudy wół.

W kraju nie było waluty, środkiem płatniczym był ryż. Ludzie jak popadło zajmowali puste domy. Gdy dotarłem do swojego mieszkania, było już zajęte.

Siadłem na krawężniku i złapałem się za głowę. Świat wirował.

Musiałem wszystko zacząć od nowa.

Cały naród musiał zmartwychwstać.

Czarne szyby

Po inwazji Wietnamczyków Kambodża pogrążyła się w chaosie i walkach wewnętrznych. Czerwoni Khmerzy prowadzą działania partyzanckie i zaminowują kraj. Nowe władze są w pełni uzależnione od komunistycznego Wietnamu. Amerykanie i ONZ uznają Czerwonych Khmerów za jedyne reprezentantów Kambodży. W Tajlandii i Wietnamie powstają obozy dla milionów uchodźców. Przed atakami Wietnamczyków chroni Khmerów armia tajska. Rannych wozi do szpitala w Bangkoku w samochodach z przyciemnianymi szybami. Ieng Sary, jeden z liderów Khmerów, zostaje dyplomatą przy ONZ, jego córka uczy się na najlepszych uczelniach w Stanach.

W wojennej zawierusze nie wiadomo, kto jest kim.

Duch trafia do obozu dla uchodźców w Tajlandii, gdzie uczy się angielskiego. Zostaje nauczycielem matematyki.

Mimo że jest pod formalnym parasolem Czerwonych Khmerów, ma świadomość, że wie za dużo. Za niezniszczenie dokumentów S21 grozi mu eliminacja. W 1986 roku zostaje wysłany przez Son Sena do Chin, ma pracować w Instytucie Języków Obcych. Chińczycy dowiadują się jednak o jego funkcji w S21. Zrywają kontrakt, Duch wraca do Tajlandii.

Ung Pech, jeden z ocalałych z S21, jedzie do Oświęcimia, gdzie ma się nauczyć, jak założyć muzeum ludobójstwa. W Phnom Penh powstaje pod jego kierownictwem muzeum Tuol Sleng – w budynkach byłej katowni z naścienną mapą Kambodży ułożoną z czaszek i kości ofiar.

Reporter

W 1989 roku do Kambodży przyjeżdża Nic Dunlop, dziewiętnastoletni brytyjski fotoreporter. Wcześniej natknął się na numer „National Geographic”, w którym obok fotografii magicznych świątyń Angkoru i rajskiej dżungli zamieszczono zdjęcia masowych grobów. Nie daje mu to spokoju.

Odwiedza muzeum Tuol Sleng i z niedowierzaniem przygląda się tysiącom fotografii więźniów i katów obok stosów butów i włosów. Na jednym z nich człowiek w czarnym mundurze przemawia do mikrofonu. Nic wie już wtedy, że to Duch.

Bajarz

Początek lat dziewięćdziesiątych. Phkoam, typowa khmerska wieś: mała wysepka w morzu soczystej zieleni u stóp niewielkiego wzgórza, skromne chaty na palach wkomponowane w gęstwinę bananowców i palm.

Na jednym z podwórek chłopiec ze związanymi rękami stoi pośrodku narysowanego kijem okręgu.

– Jak wyjdiesz za tę linię, to się przekonasz! – krzyczy starszy człowiek.

Kiedy chłopiec próbuje uciec, mężczyzna bije go batem.

– Jeszcze raz i cię wychłostam na śmierć! Za Pol Pota zawiadomiłbym Angkę i by cię zabrali! – Duch ma problemy z najstarszym synem. Szczeniak kłamie, kradnie motory

z sąsiednich wsi i nieustannie łąduje się w tarapaty. Duch surowo traktuje też swoich uczniów. Mimo że jest jednym z najlepszych nauczycieli w wiosce i daje darmowe korepetycje, przechodzą ich ciarki, kiedy wpada w szal.

– Jest przerażający – mówią.

W 1991 roku pod sztandarem ONZ przybywa do Kambodży wojsko z misją zaprowadzenia pokoju i „budowy politycznie neutralnego podłoża pod demokratyczne wybory” (jest wśród nich między innymi sześciuset sześćdziesięciu sześciu polskich żołnierzy). Duch decyduje się wracać. Osiedla się z rodziną w Phkoam.

Ich dom jest skromny, ale mają trzy poletka, motor, kilka krów i sklepik z lekarstwami. Rom lubi plotkować, najczęściej z Soi Sarong – sąsiadką z naprzeciwka. Z Duchem raczej nie pogadają, bo jest mrukiem. Ale sąsiadka nie powie o nim złego słowa – grzeczny, pomocny, sprzeda na kreskę leki, da pożyczkę bez odsetek, w ogóle – w porządku człowiek.

Najmłodsze dzieci uwielbiają, kiedy tata wieczorami opowiada im bajki i robi śmieszne miny.

Nie ma we wsi lepszego bazarza.

Nawrócony

Listopadową nocą bandyci atakują dom Ducha. Zabijają Rom i ranią jego samego, łąduje w pobliskim szpitalu. Po kilku dniach wychodzi. Do dziś nie wiadomo, czy był to zwykły napad, czy próba morderstwa. Duch zabiera dzieci i przenosi się do Svay Cheak.

Po śmierci żony zmienia się nie do poznania. W Battambang chodzi na msze do pastora Christophera Lapela. Zwykle siada w tylnej ławce, smutny i zrezygnowany.

– Czy możemy zamienić kilka słów? – Któregoś razu podchodzi do niego po nabożeństwie.

Siadają przy stole.

– Nigdy nie zaznałem pokoju w moim życiu – zaczyna. Chwila ciszy. – Zgrzeszyłem. Naprawdę zgrzeszyłem, to wielki grzech. Nie sądzę, żeby bracia i siostry mogli mi go kiedykolwiek wybaczyć.

– Każdy zgrzeszył. Musisz być silny. Nie ma takiego grzechu, którego nie można wybaczyć – tłumaczy pastor.

Duch odtąd z wielką skrupulatnością studiuje Biblię. Teraz już zawsze siada w pierwszym rzędzie. Przyjmuje chrzest w rzece. Uczęszcza na kurs przygotowawczy i wreszcie sam zostaje pastorem; z wielkim entuzjazmem nawraca kolejne osoby. O Bogu mówi bezustannie. Planuje wybudować kościół.

W Kambodży znów wybuchają walki. Duch ucieka z rodziną do obozu uchodźców Ban Mua Muang w Tajlandii, którym opiekuje się ARC – Amerykańska Organizacja Pomocy Uchodźcom. Szybko okazuje się, że wiedza Ducha czyni go naturalnym kandydatem na stanowisko kierownika do spraw zdrowia – mówi po angielsku, francusku, tajsku, szkoli ludzi na temat metod irygacji i zagrożeń sanitarnych, koordynuje pracę kilku departamentów, bardzo ciężko pracuje.

Jest powszechnie szanowaną osobą.

Obsesja

1998 rok. Ludzie szukają swoich rodzin, zaginionych, zabitych. Nic Dunlop od dziesięciu lat regularnie przyjeżdża do zmaltretowanej Kambodży.

Nikt nie wie, co stało się z Duchem. Mówi się, że został zabity albo że pracuje dla jednej z organizacji pozarządowych. Od dwudziestu lat nie zrobiono mu zdjęcia. Po prostu zapadł się pod ziemię.

Dunlop ogląda złożenie broni przez ostatni oddział Czerwonych Khmerów w Anlong Veng. Z miesiąca na miesiąc otwierają się kolejne regiony kraju. Można swobodniej wyruszyć w teren i fotografować powojenną rzeczywistość.

Od jakiegoś czasu trawi go obsesja: znaleźć Ducha. W tylnej kieszeni spodni cały czas nosi jego fotografię. Jeździ po kraju i rozpytuje ludzi.

W którymś momencie trafia na zebranie członków jakiejś organizacji pozarządowej, omawiają plany odminowania kraju. Podchodzi do jednego z nich. Rozmowa dotyczy głównie problemu min i niewybuchów. Człowiek w koszulce z logo ARC na piersi przedstawia się jako Hang Pin. Mówi, że mieszka w okolicy, jest nauczycielem matematyki i pracownikiem obozu

dla uchodźców. Dunlop wyciąga z kieszeni fotografię. Wbija go w ziemię. Nie ma wątpliwości – wielkie uszy, zepsute zęby, krótko przycięte włosy.

Hang Pin to Duch.

Udaje mu się go sfotografować. W czasie kolejnego spotkania przeprowadza z nim wywiad dla „Far Eastern Economic Review”. Duch zostaje zidentyfikowany i aresztowany. Okazuje się, że nazwisko Hang Pin nosi od powrotu z Chin w 1986 roku.

Rok później Dunlop otrzymuje nagrodę dziennikarską Uniwersytetu Johna Hopkinsa za wytropienie i wskazanie opinii publicznej komendanta obozu śmierci S21 w Phnom Penh.

Kang Kek Iev – Duch – Hang Pin, choć jak Bóg występował w trzech osobach, w 1999 roku zostaje aresztowany.

15 kwietnia 1998 roku w swojej bazie w Anlong Veng umiera na wpół obłąkany Pol Pot. Rok wcześniej wydał rozkaz zamordowania Son Sena, którego podejrzewał o zdradę. Mordercy zabijają przy okazji całą jego kilkunastoosobową rodzinę.

Ze wspomnień Chum Meya cd.

– Po 1979 roku znów zacząłem pracować jako mechanik. Ożeniłem się. Musiałem ułożyć sobie życie. I zapomnieć? Nie, tego nie zapomnę do końca życia. Płacę każdej nocy, łzy lecą mi mimo woli, gdy słyszę słowa „Czerwoni Khmerzy”, które przypominają mi o losie mojej rodziny. Jestem człowiekiem chorym psychicznie.

Od tej pory, tak jak wam to dziś opowiadam, na każde zawołanie staję przed trybunałem i w szczegółach opisuję, do czego jest zdolny człowiek na tym świecie. To mój obowiązek – by nie dopuścić do czegoś takiego w przyszłości. To mój obowiązek.

Gdyby nie interwencja Wietnamczyków, każda z kilkudziesięciu osób, których nazwiska podałem, trafiłaby do więzienia, torturowana podałaby nazwiska kolejnych kilkudziesięciu osób, te znów kolejnych, a za rok, dwa wszyscy

Kambodżanie byliby wrogami, wszyscy trafiliby do S21 i cały naród zginąłby w budynku byłego liceum.

Dziś mam osiemdziesiąt lat, cieszę się, słysząc warkot motorów, krzyki dzieci, hałas klaksonów na ulicy. Możecie mnie spotkać w muzeum Tuol Sleng. Jestem tu codziennie, choć nie pracuję jako przewodnik. To mój o-bo-wią-zek. Zwykle noszę spodnie w kant podciągnięte wysoko na brzuchu, mam trochę białych, rzadkich włosów i, jak mówią, wiecznie szklące się oczy. Podchodzę do was, turystów, uśmiecham się i zagaduję: „Dzień dobry, jestem Chum Mey”, opowiadam wam z pomocą tłumacza o tym, co zrobili mi tu trzydzieści lat temu, i widzę w waszych oczach, jak zaczynacie rozumieć, że te pręty, druty, krzesła elektryczne, puszki na odchody i kilkanaście tysięcy zdjęć przerażonych twarzy to nie fikcja; że muzealne eksponaty tak jak ja były świadkami jednej z największych zbrodni ludzkości.

One już milczą.

Ja jeszcze mówię.

Duchy

Seria z kałacha na *shooting range* za miastem kosztuje w miejscowych agencjach turystycznych czterdzieści dolarów. Odkąd na drodze położyli asfalt, łatwiej tam dojechać. Forma relaksu po obejrzeniu ośmiu tysięcy czaszek zebranych w stupie muzeum Cheung Ek. O dziewiętnastej prawie w każdym hostelu projekcja *Pól śmierci* dla turystów. Atrakcji cała masa – puby, karaoke, skutery, haszysz.

W końcu jadą do Tuol Sleng i wałęsają się po dziedzińcu. Miejscowe dzieciaki pokrzykują i ścigają się na rowerach, wycieczkowicze ciągną przez słomki coca-colę.

Z góry obserwują ich uważnie roje ptaków, skryte w koronach drzew. Niektórzy twierdzą, że to duchy zamordowanych Kambodżan.

Gdy się jednak do nich zbliżyć, pierzchają w popłochu.

Epilog

Trybunał do spraw zbrodni Czerwonych Khmerów skazał Ducha na czterdzieści lat więzienia. Oskarżony do dziś pali trzy

paczki papierosów dziennie. Na rozprawy stawia się z pedantycznymi notatkami.

Wkrótce po nim na ławie oskarżonych zasiedli kolejni przywódcy reżimu.

2009

Autobus (ulotne)

To autobus. Jeszcze tajski, w drodze do Kambodży. Zapchany do ostateczności: w przejściu stoją dwa rzędy obróconych do siebie plecami pasażerów. Co trzeci, czwarty w buddyjskich pomarańczowych szatach. To mnisi. Nikt nie rozmawia. Wszyscy beznamiętnie spoglądają przez okna, ciągle mijamy starannie przystrzyżone murawy, po których biegają patyczkowaci chłopcy o miedzianej, lśniącej skórze, w getrach białych jak kokos. Oczy zamykają się same, zbiera się na copołudniową monsunową ulewę.

Nad głowami pasażerów wiszą powgniatane pudła starych telewizorów Sanyo, z których bezustannie płyną krzyki, wizgi i tępe odgłosy rozłupywanych głów. Po serii wściekłych kopniaków wyprowadzonych przez jednego z bohaterów i rzuceniu ofiary na metalowy słup następuje powietrzna akrobatyka i jednocześnie kulminacja akustycznej męczarni. Wrzask z głośnika rozsadza mi czaszkę. Reszta pasażerów wpatrzonych w monotony pejzaż ani drgnie. Spoglądam znów na ekran. Wszystkie walczące smoki i tygrysy leżą pokotem na ziemi. Biorę głęboki oddech z nadzieją na ulgę, lecz następuje niespodziewany zwrot akcji: jeden z fajterów podnosi się z trudem, chwije się, ale siłą woli dźwiga się jednak, gdy tymczasem z tyłu skrada się niepostrzeżenie niewidzialny dotąd agresor i oburącz wali go w głowę patelnią, której brzdęk i otepiające podzwonne nie wzruszyły na pokładzie nikogo prócz mnie – obcego.

W tym autobusie Azja, a ściślej azjatyckość (południowo-wschodnia), ukazała mi się w całej swojej psychologiczno-socjologicznej rozciągłości, której krańców nie sposób objąć ani wzrokiem, ani tym bardziej europejskim rozumem: opanowanie, skromność i serdeczny uśmiech miłych, uniżenie kłaniających się ludzi, którzy zdolni są zarazem do największego barbarzyństwa: wbijania bambusowych prętów w brzuch jeńca, do wszystkiego.

Haing Ngor² w książce *Survival in the Killing Fields* pisze: „Karma, czyli karma, to infekcja, która skaża nasze narodowe dusze”. To los, przeznaczenie podyktowane czynkami w poprzednim wcieleniu. Jaka rola i pozycja społeczna przypadną nam w kolejnym życiu, zależy od tego, jakimi ludźmi jesteśmy dziś.

W Kambodży karma rozumiana jest również jako rodzaj zemsty, brutalnej i okrutnej, nieproporcjonalnej w stosunku do pierwotnej krzywdy. Zemsta, żywiona złem i gniewem, potrafi nieujawniona dojrzewać w człowieku latami. Ofiara i krzywdzący mogą przez długie lata utrzymywać przyjazne stosunki. Ngor przywołuje historię policjanta, który ukradł chłopu kurę. W rewanżu chłopci przypuścili atak – na cały garnizon.

Król Sihanouk w jednej ze swoich przemów do ludu: „Potrafimy się uśmiechać, ale umiemy też zabijać”.

Nowe miasto Wschodu. Petycja

Do władz, ekonomistów, przedsiębiorców, obrońców praw człowieka, ludzi:

Przeżywamy boom.

Boom widoczny jest na każdym kroku: skupują ziemię, stawiają nowe osiedla, hotele, restauracje. Drogi, po których wczoraj stąpały bawoły, pokrył asfalt. Boom oswoił strach: przyjeżdżają do nas z daleka, wracają do domów i zachęcają znajomych: Kambodża jest *cool*. Boom najlepiej ilustrują ceny ziemi: w ciągu ostatniej dekady wzrosły jedenastokrotnie. Spotkacie też dziś w Phnom Penh biznesmenów z wielu krajów: Ameryki, Rosji, Iranu, jednak przede wszystkim z Chin. Siedzą wieczorami w pubach nad Mekongiem, w białych, lnianych spodniach, sandałach albo japonkach, palą papierosy, piją whisky. Jest bajecznie tanio. Korzystają z usług prostytutek. To zwykle nieletnie dziewczynki. Rano szeleszczą gazetami: szukają ofert sprzedaży ziemi pod swoje inwestycje. Tłumaczą, że na Zachodzie nie opłaca się już inwestować. Tu – prawdziwa gratka.

Kambodża wychodzi z ery ciemności, bogaci się, cywilizuje, goni tygrysy.

Tyle oni.

Teraz my.

Jesteśmy z Phnom Penh. Mieszkamy nad jeziorem Boeung Kak. Nasze miasto – rozłożone nad wodami Mekongu, spokojne, z wytworną architekturą kolonialną, pełne szerokich, słonecznych bulwarów i eleganckich restauracji – nazywano przed zagładą perłą Azji. Jezioro Boeung Kak – perłą w perle.

Uwielbiają je turyści. To ich mekka.

Nasze dzieci pracują w położonych nad nim – jeden przy drugim – hostelach, knajpach, pralniach i kafejkach internetowych. Turyści – wysocy, zwykle blondyni, różowe, białe skóry, piękni. I bogaci, bardzo bogaci. Na śniadanie – bagietka z bekonem (dwa dolary), kawa, soki. Już się nauczyliśmy – serwujemy im *continental breakfast*: jajko, marmolada, chleb. Tuk-tuki – trójkołowe taksówki – czekają pod drzwiami. Wieczorami przywożą im nasze dziewczyny. Jest

haszysz. Kiedy podpływamy na naszych łódkach pod hotelowe molo, podglądamy, jak leżą w hamakach, piją piwo, grają w bilard. Z głośników leci Bob Marley, palą trawę.

Boeung Kak to nasz dom.

Dzieli nas jednak mur.

Nie dziwimy się zatem, że do nas nie zagładacie. Musielibyście się najpierw zaciekawić, co jest po drugiej stronie. A mur jest bardzo wysoki. Trzeba się wspiąć, by nas zobaczyć. Tak, u nas jest brudno – ale nie z naszej winy.

Boeung Kak daje nam ryby i wodorosty.

Boeung Kak daje nam chłód.

Boeung Kak jest rezerwuarem w razie powodzi.

26 sierpnia 2008 roku o dziewiątej rano nad brzegiem stanęły buldożery. W stronę jeziora wytrysnęły strumienie piasku, który wypychał wodę. Zmieszała się ze ściekami i zalała nasze domy. Pływały w niej martwe szczury.

Runął pierwszy dom.

Do naszych drzwi zapukali obcy mężczyźni. Pokazywali papiery: dużo pieczętek i podpisów. Oznajmili, że na miejscu Boeung Kak stanie Nowe Miasto Wschodu. Nie zrozumieliśmy. Wyjaśnili: to miasto w mieście – wielkie centrum handlowe z kinami, restauracjami i salonami wszelkich usług.

A co z nami? Wysiedlenie. Ale za rekompensatą: osiem i pół tysiąca dolarów amerykańskich na rodzinę, zastępcze mieszkanie w Dangkao albo prawo pierwokupu lokalu w Nowym Mieście Wschodu.

Osiem i pół tysiąca dolarów przy dzisiejszych cenach nie starczy na mieszkanie. Nikogo z nas nie stać na pierwokup. Dangkao to slumsy.

Zebraliśmy się. Postanowiliśmy walczyć. Zaczęły się pogrożki. Grożono nam śmiercią.

Na teren jeziora nie wpuszczają dziennikarzy. Pokrywa je teraz warstwa piachu, Boeung Kak jest zatęchłym bajorem. Nie wchodźcie tam, ryzyko – piaski są grząskie, można się zapaść na zawsze.

Wszystko wyjaśnimy wam my.

Powierzchnia jeziora: sto trzydzieści trzy hektary. Plan: wysuszyć dziewięćdziesiąt procent. Aktualna cena ziemi: dwa tysiące dolarów za metr kwadratowy. Koszty wykonawcy: łączna suma odszkodowań dla czterech tysięcy rodzin – trzydzieści cztery miliony dolarów, opłaty za wieczyste użytkowanie – siedemdziesiąt dziewięć milionów dolarów. Zakładany zysk – minimum dwa miliardy dolarów.

W lutym 2007 roku kambodżańska firma Shukaku podpisuje z rządem umowę użytkowania wieczystego jeziora i jego nabrzeży (na nich mieszkamy). Jej właścicielem jest senator Leo Ming Kim, członek partii rządzącej premiera Hun Sena.

Pół roku później do Phnom Penh przyjeżdża delegacja z Chin: Quin Guangrong, gubernator prowincji Yunnan, oraz reprezentanci firmy Yunnan Southeast-Asia Economy and Technology Investment Industry. Podpisują umowę na budowę Nowego Miasta Wschodu.

Prawo nieruchomości z 2001 roku stanowi, że jeziora należą do sfery publicznej – nie można ich sprywatyzować.

W sierpniu 2008 roku inwestorzy łamią więc prawo.

W 2009 roku sąd apelacyjny oddala naszą skargę.

Syn właściciela Shukaku oznajmia, że postęp zawsze ma skutki uboczne.

18 października 2010 roku otrzymujemy akt eksmisji. Mamy siedem dni na opuszczenie mieszkań.

Tak, to prawda: nie są naszą własnością. Zajęliśmy je po zagładzie, gdy wróciliśmy do Phnom Penh z obozów pracy, miasto było puste. Czerwoni Khmerzy zniszczyli wszystkie katastry.

Wystosowaliśmy apel do społeczności międzynarodowej.

Amnesty International stwierdziło łamanie praw człowieka.

Wyszliśmy na ulice. Byli ranni.

Runęły kolejne domy.

Wciąż walczymy.

Przyjeżdżajcie, ale zagłądajcie za mur.

Fryzjerzy (ulotne)

Fryzjerzy. Spowiednicy, doradcy, kusiciele, rozjemcy, bywało – szare eminencje. Gdzieś pomiędzy skórą głowy a opuszkami ich zręcznych palców zachodzi intymna reakcja. Obcy za naszą zgodą dotyka najważniejszej, a w wielu kulturach nietykalnej części ciała.

Lubię chodzić do fryzjera, gdy jestem w podróży. To rodzaj praktycznego przyzwyczajenia: sposób na oswojenie obcego miasta. U fryzjera dowiem się, dokąd warto pójść, a gdzie jest zbyt niebezpiecznie. Z kim rozmawiać, a kogo unikać. Po półgodzinie u fryzjera zaczynam poruszać się po nieznanym terenie pewnym krokiem.

Dlatego poszedłem do fryzjera w portowej Antofagaście, pełniące funkcję pompy dla strumienia narkotyków płynącego z pobliskiego Peru. Clara widziała i wiedziała wszystko. Zresztą w jej zakładzie pracowało jeszcze pięć Chilijek, zamieniających lokal w melodyjny, roztrajkotany teatr. Ich oczy i uszy nie pozwalały prześlizgnąć się najmniejszemu strzępkowi informacji. Między podcięciem lewego baka a beczynnym podtrzymywaniem opadającej głowy następowała długa latynoska kanonada, przerywana jedynie na moment rutynowym, werbalnym odruchem: „*Marquar?*” – cieniować, czy nie? – po czym znów wsłuchiwałem się w piękną kobiecą chrypkę.

Puerto Suárez, zakurzone, boliwijskie pueblo przy bagnach Pantanal, tuż przed granicą z Brazylią. Typowe latynoskie pogranicze. Przemytnczy, kurz, Indianie, Latynosi, Murzyni, kontrabanda, nie-wiadomo-kto, nie-wiadomo-po-co i lepiej-nie-pytaj. Od fryzjera dowiedziałem się, dlaczego od rana nie mogę kupić żadnej gazety.

– Do Puerto Suárez nie dojeżdżają gazety – wyjaśnił Pedro.

One dolatują. I to z solidnym opóźnieniem. Moja podróżna męka lądem z Santa Cruz, ostatniego przysiółka miejskiej cywilizacji, przez Pantanal aż tutaj trwała przecież ponad dwadzieścia cztery godziny.

W Makokou poszedłem do fryzjera z ciekawości, bo nigdy nie strzygł mnie Afrykańczyk. Murzyni strzygą się często i starannie. Najwięcej uwagi fryzjer poświęca perfekcyjnemu wyrównaniu linii nad czołem. Afrykanie zwykle nie noszą grzywki. Gęste włosy zbijają się w puszystą warstwę, którą należy pedantycznie wyprofilować. Włosy od czoła musi oddzielać wyraźny, ostry kontur. Co tu deliberować: dobry afrykański fryzjer robi dobry kontur. Byłem pierwszym białym, którego strzygł ten Gabończyk.

Prawdziwe seanse fryzjerskie odbywają się na arabskich medynach. Seledynowe, popękane klitki wypełniają woń arabskich olejków i kępy kruczoczarnych włosów, a strzyżenie i golenie jest jedynie pretekstem do politycznych polemik i roztrząsania sporów. W Marrakeszu strzygłem się o zmierzchu blisko placu Dżemaa el-Fna, z którego przebijał się przez mury cowieczorny huk i gwar. Byłem jedynym, może ostatnim klientem. Arab biegał koło mnie, jakby się paliło. W ciągu kwadransa cena wzrosła z wyjściowych czterech do piętnastu dirhamów, bez mojej wiedzy. Był

przekonany, że ma rację. Zrobiła się draka, słowa odbijały się od ścian wąskiej ulicy, łączyły ze sobą, pęczniały i wydawało się, że to my krzyczymy coraz głośniej.

A w Kambodży też po prostu nie mogłem się powstrzymać. Jechałem pożyczonym skuterem przez całe ulice fryzjerów, pokryte warstwą ściętych włosów. Kram koło kramu, lustro obok lustra, dwa rzędy po dwóch stronach jezdni. Po raz pierwszy w życiu ostrzygłem się zupełnie na łyso. Fryzjer golił mi głowę, tocząc miarowo po skórze chłodny fryzjerski wałek, płynnie i bezboleśnie ściągający pasma włosów, przekazując mi przy tym cenne informacje. Strzyżenie przypominało błogi masaż. Wokół roznosił się obezwładniający zapach spirytusu. Na pożegnanie fryzjer oznajmił, że teraz przypominam łysego jak kolano króla Sihanouka.

2009

Pluton. Wykład

Jeśli są państwo gotowi, zacznijmy.

Pułkownik Peter Willers, wcześniej w Iraku, w Czadzie, od kilku lat w Kambodży.

Kambodża, jak państwo wiedzą, dotknięta w latach 1970–1997 wieloma konfliktami zbrojnymi, należy do najbardziej zaminowanych państw na świecie. Pod tym względem ustępuje jedynie Afganistanowi i Angoli. Szacujemy, że w ziemi wciąż leży od czterech do sześciu milionów min. Od zakończenia wojny zarejestrowano blisko sześćdziesiąt tysięcy ofiar min lub niewybuchów. Spójrzmy na wykres. Liczba ta systematycznie spada od 1999 roku, kiedy w Kambodży podjęto akcję odminowywania. Do 2005 roku jest ciągle wysoka, po czym gwałtownie maleje. Dlaczego? O tym za chwilę.

Sporządzono wiele specjalistycznych map Kambodży obejmujących obszary zaminowane lub te, na których miny i niewybuchy zalegają z dużym prawdopodobieństwem. Według jednej z nich (z 2002 roku) obszary te obejmują czterdzieści sześć procent powierzchni kraju. To nie do końca prawda. W prowincji Siem Reap, gdzie pracuje podległa mi jednostka, przeprowadziliśmy staranne badania, z których wynika, że miny i niewybuchy zalegają jedynie na dziesięciu procentach powierzchni wskazanej przez mapę. Przewidujemy, że po roku 2012 w Kambodży wskaźnik wypadków spowodowanych eksplozjami min lub niewybuchów spadnie do zera.

Dziś większość nieoczyszczonych pól minowych znajduje się na pograniczu z Tajlandią. Miejscowi doskonale wiedzą, by omijać je z daleka. Naturalnie to również wynik prowadzonych przez nas akcji edukacyjnych.

Przez nas, powiadam. Uściślijmy. Organizacją koordynującą misję odminowywania kraju jest CMAC, Cambodian Mine Action Centre, istniejąca już, uwaga, od 1992 roku. Pamiętajmy, że wówczas trwały jeszcze działania zbrojne i aktywna była partyzantka Czerwonych Khmerów.

Jeśli spojrzymy na kolejny wykres, zorientujemy się, że siedemdziesiąt jeden procent prac przeprowadzono w ostatniej

dekadzie. Dowodzi to znacznego postępu technologicznego. Od 2000 roku CMAC odnalazło i zneutralizowało 348 967 min przeciwpiechotnych, 6419 min przeciwczołgowych oraz 942 601 różnego rodzaju niewybuchów. Szacuje się, że CMAC otrzymało do tej pory od lokalnych społeczności około trzydziestu sześciu tysięcy wniosków o interwencję. CMAC oczyściło z min i niewybuchów około pięciuset kilometrów kwadratowych ziemi, co stanowi blisko czterdzieści osiem procent terenu wymagającego odminowania. Pozostałą częścią zajmują się międzynarodowe organizacje humanitarne.

Zobaczmy, jak wygląda proces oczyszczania ziemi. Jest niezwykle mozolny. Oto fotografie.

Zaczynamy od wywiadu wśród miejscowej ludności. Często informacje te są jednak niewiarygodne. Wielu ludzi żyje pośród min, lecz boi się – jest to obawa nieuzasadniona, ale cóż możemy zrobić? – że ich usuwanie spowoduje konieczność wysiedlenia mieszkańców.

Drogę detektorom i obsługującym je ludziom zagradza bowiem busz. Bywa bardzo gęsty, często jest to bambusowy las, który niezwykle szybko odrasta. Busz jest dla nas poważną przeszkodą. Trudno było przyśpieszyć proces odminowywania, stosując metody tradycyjne – maczetę, kosy. Z pomocą przyszły nowoczesne maszyny, ufundowane głównie przez Japończyków. Ich pojawienie się oznaczało rewolucję. Znamy już zatem przyczynę nagłego spadku liczby ofiar po 2005 roku.

Gdy teren jest wykarczowany, pracownik krok po kroku, ściślej centymetr po centymetrze, sonduje ziemię w poszukiwaniu metalu. Gdy usłyszy charakterystyczne „pi-pi!”, przystępujemy do procedury. Nie musi być to przecież mina. Ba, zwykle nie jest to mina, tylko rura, gwóźdź czy nawet puszka coca-coli. Jeśli stwierdzimy jednak, że to mina, wykopujemy ją i neutralizujemy. Wykopujemy miny produkcji sowieckiej, wietnamskiej, niemieckiej, czechosłowackiej.

Proszę jednak pamiętać, że olbrzymim problemem w Kambodży są również niewybuchy: według szacunków – zalega ich w ziemi około czterech milionów. Nigdy nie wiemy, które mogą eksplodować. Są przykrą pozostałością po wojnie

wietnamskiej. Zrzucili je na Kambodżę Amerykanie – Czerwoni Khmerzy nie posiadali floty lotniczej. W Kambodży wykopuje się około tysiąca dwustu niewybuchów miesięcznie. Problem dotyczy jednak głównie terenów na wschód od Mekongu, które najbardziej ucierpiały w trakcie wojny wietnamskiej.

Prowadzimy na tym polu również liczne działania edukacyjne: wielu Kambodżan, szczególnie na prowincji, bieda zmusza do handlu złomem. Nie trzeba tłumaczyć, czym to się kończy. Wystarczy ruszyć na prowincję, by zobaczyć, jak wielu ludzi pozbawionych jest rąk i nóg.

Większość pracowników, proszę to zanotować, rekrutujemy spośród miejscowej ludności, albo, uwaga – byłych Czerwonych Khmerów. To również rodzaj resocjalizacji. Pomagają nam często specjalnie wyszkolone psy.

To jednak nie wszystko. Proszę sobie wyobrazić, że wiele domów na prowincji stoi na polach minowych! Tak, pośród min.

Wynika to z faktu, że ziemia w Kambodży jest dobrem niezwykle pożądanym – egzystencja około osiemdziesięciu procent populacji zależy od uprawy roli. Przeciętna rodzina posiada nie więcej niż pół hektara ziemi. Ktoś z dwoma, czterema hektarami jest uważany za osobę majątną – część zbiorów może przeznaczyć na sprzedaż. Ziemia jest więc przedmiotem wielu sporów, zwłaszcza że Czerwoni Khmerzy zniszczyli dokumenty dotyczące własności.

Proces odminowania nie kończy się zatem z chwilą wydłubania z ziemi ostatniej miny. Następuje po nim etap przygotowania ziemi do zasiedlenia i pod uprawę. Nazywamy to polityką rozwojową – miny są bowiem przeszkodą w rozwoju tego kraju. Bywa, że ziemię otrzymują pracownicy naszych plutonów. Według obowiązującego prawa okres zasiedzenia trwa pięć lat. Rzeczywistość jest jednak o wiele bardziej skomplikowana. Nawet po tym okresie pojawiają się osoby zgłaszające roszczenia do ziemi.

Zapewne odwiedzili już państwo legendarne świątynie Angkor Wat. W Kambodży podobnych zabytków jest o wiele więcej. Wiemy, gdzie są – zostały odkryte – jednak dostępu do

nich, zarówno dla archeologów, jak i turystów, bronią rozsiane wokół nich miny. Pracujemy również nad tym.

Rośnie nasza wydajność. Nie mierzymy jej liczbą wykopanych min, tylko przeczesanych metrów kwadratowych: czasem pracownik spędza na danym obszarze wiele dni i niczego nie znajduje. Koszt oczyszczenia metra kwadratowego wynosi obecnie około trzydziestu pięciu centów. Obniżamy go na wiele sposobów. Unikamy zatrudniania zbyt wielu ekspertów z zagranicy.

Przewidujemy, że Kambodża definitywnie pozbędzie się problemu min w ciągu kolejnej dekady.

Działania szóstej jednostki, którą kieruję, w prowincji Siem Reap są znakomitym przykładem owocnej współpracy niemiecko-kambodżańskiej. Tyle informacji teoretycznych. Resztę zobaczą państwo w terenie.

2009

Klik (ulotne)

Mam bzika.

Robię to, kiedy nikogo nie ma. Żeby był spokój, żeby nikt mi nie przeszkadzał, nie zadawał pytań. Siadam wygodnie w fotelu. Sprzątam biurko. Przyciszam radio, wyłączam telewizor. I wreszcie. Klikam – „uruchom”. Z głośników wartka muzyka. Klik. Jestem.

To program National Geographic Society gromadzący na kilku płytach DVD sto dwadzieścia lat publicystycznej działalności Towarzystwa. Wszystkie numery magazynu, począwszy od października 1888 roku.

Tekst prawie w ogóle mnie nie interesuje – z wyjątkiem podpisów pod fotografiami. Najpiękniejsze są te proste, wypełnione kadry, objawiające wątpliwość: a więc to wszystko prawda. Dwudziesty wiek obnażony do trzeciego, czwartego, najdalszego z planów, do białej kości.

Search. Albania. Klik. Pojawiają się wszystkie materiały, które ukazały się na jej temat w historii magazynu. Albania 1982? Czy 1992? Najpierw 1982. Klik. „Albania, samotnie przeciw światu”, czerwone flagi, Gjirokastër, transparent: „Wszystko zawdzięczacie Enverowi Hoxhy”, komunizm, izolacja, propaganda, rżysko, *bufe*, bunkry, girlandy papryk w oknach, Jezioro Ochrydzkie, śniadzi chłopcy w granatowych cajtach, furgonetka, „dziennikarze odwiedzają ten kraj niezwykle rzadko”. Czysto. *Search.* Klik. 1992. „Albania otwiera się na świat”. „Tirana – najbiedniejsza stolica Europy”. Autobus. Rejestracja: TR 00 270. Trzeci, Czwarty Świat? Robotniczy, z powybijanymi szybami, z blachą rozprutą przez rdzę, wygiętą przez starość, z wystającymi ludzkimi głowami, z wiszącymi nad jezdnią robotnikami uczeponymi lewej flanki wozu: schodów, uchwytów, zaczepów i ram. Przechylają wóz dramatycznie na jedną stronę. Dokąd jechał? Gdzie wysiedli pasażerowie? Nie wiemy. Może w porcie. Ten statek to jest zdjęcie. Ludzki rój oblepił kołyszące się na wodzie, pordzewiałe żelastwo. Po czterdziestu latach stalinizmu brakuje wszystkiego. „Pracownicy uniwersytetu w Tiranie chcą zaprosić specjalistów z USA na konsultacje. Ale – jak mówi zastępca rektora – nie wiedzą, jak nawiązać z nimi kontakt”. W ogóle nie trzeba czytać. Dalej. Klik. *Search.* Kolumbia. 1940. Klik. Tam wiozą pierwszy transport do Auschwitz, a tu jak na Księżycu. Orzeszki, kawa i krwiste steki. Kolorowe zdjęcia, ochrowe starówki, chłopcy w pruskich mundurach i znów: ani jednego śmiecia, jakby ich jeszcze nie wymyślili. 1970. Klik. Cartagena – perła kontynentu. Miasto się bawi. Ani jednej reklamy. Zdjęcia kolorowe, ale jeszcze blade. Medellín – trupy. Dziecko nad rozkrwawionym, śniadomlecznym ciałem. Pierwsze symptomy białego prochu. Bogota. Stolica odnowiona i odświeżona, budowa infrastruktury. 1968 rok – pierwszy przyjazd papieża do Ameryki Łacińskiej. Klik. Lata dziewięćdziesiąte: horror na zdjęciach, błoto na mundurach, *paramilitares*, *guerrilla*, kokaina, zabójstwa, piekło, błoto, brudna zieleń. Taką mam moc, taką mam władzę. Klik. *Search.* Poland. Klik. 1914. Polska podzielona. Klik. 1917. Klik. Polska zdewastowana. Klik. 1939. Reporterka pedałuje przez

II Rzeczpospolitą. Warszawa, a potem od razu góralskie serdoki, bundz, Żydzi, Nowy Targ, czarno-biało, słonecznie. Granica z Rumunią. Klik. 1958. Kolorowe zdjęcia, „Polska otwiera się na świat”. Miasta prawie bez samochodów, parę sztuk. Skórzane sandały na rzemienie. Jakies wiktuały z importu, drożyzna. Defilada na stadionie. Dzieci na czołgu. Klik. 1989. „Nadzieja, która nigdy nie umiera”. Religa na taborecie po skończonej operacji, przeszczep serca. Wycieńczony asystent w kącie sali. Klik. *Search*. Kambodża. Klik. 1964. Klik. „Kambodża: neutralny róg Indochin”. Wrażenie sielanki. Nawet robotnicy się uśmiechają. Budda, ceremonia, święty ogień. Phnom Penh. Ulica: riksze rowerowe, białe koszule, smętna, tropikalna codzienność. Gdzie są śmieci? Klik. 1982. Klik. „Kampucza budzi się z koszmaru”. Młode, smukłe dziewczęta idą ulicą Phnom Penh. W przeciwną stronę jadą mężczyźni na rowerach. Na poboczu trzy piętra pomiażdżonych samochodów. Furgonetka oblepiona pasażerami w turbanach. Sterty kredowych kości wystających z ziemi. Klik. *Search*. Wenezuela. Klik. 1972. Klik. Petrobonanza. *Machos* rzną w karty i liczą pesos. Lśniące cadillaki na fabrycznej taśmie. Smukłe wieżowce wokół świeżo skopanej ziemi. Klik. 2006. Klik. Czerwona koszula. *Aló presidente*. Chávez. Rewolucja boliwariańska. Nadzieje po latach zgnilizny. Ale jednak zgnilizna. Mokradła, brudna zieleń. *Hasta la victoria siempre*. Klik. 2011. Człowiek. Łysy. Chávez. Rak. Klik. *Search*. Kosowo. Klik. 2000. Klik. Karawana trumien. Klik. *Search*. Tunezja. Bourgiba. Klik. *Search*. Kambodża. Czerwona koszula. Klik. *Search*. Albania. Wszystko zawdzięczacie. Klik. Chávezowi. *Search*. Kolumbia. Żydzi. Klik. *Search*. Poland. Krwiste. Klik. Steki. *Search*. Tunezja. Klik. Bundz. *Search*. Trumien. Klik. *Search*. Kambodża. Klik. Krwiste. Klik.

2011

Maghreb

Szok kulturowy (ulotne)

Hiszpania – ale już przecież „czuć Afrykę”.

Ceuta – ale już „jak w Maroku”.

Tłum na granicy – „stratują”.

Maroko – „jądro ciemności”.

Dwadzieścia taksówek – „dwieście taksówek”.

Kierowca bez zęba – „kierowca bezzębny”.

Głośne radio – „ogłuchliśmy”.

Miasto białe – „śnieżnobiałe”.

Ciasnota – „nie przebrniesz”.

Pusta medyna – „labirynt grozy”.

Taniec – „trans”.

Zaniedbany dworzec – „Czwarty Świat”.

Naganiacz – „bandyta”.

Prowadzi do taksówki – „chce nas okraść”.

Targuje się – „chce nas zabić”.

Krzyczy – „krzyczą”.

Kopie mnie w nogę – „kopią mnie w głowę”.

Przyjeżdża radiowóz – „akcja policji”.

Wyjeżdżamy z miasta – „ucieczka”.

Jest gorąco – „płoniemy”.

Wiosna. Preludium

Uwielbiam Maghreb za wiosnę. Ciągnie mnie tam wtedy jak pszczołę w ul. Gdy jestem w Maghrebie i idzie wiosna, przestaję myśleć o polityce, bieżących obowiązkach i ludziach w ogóle. Zapominam o tym, co powinienem usłyszeć i zobaczyć. Gdy w Maghrebie idzie wiosna, przestaję się martwić swoją niekompetencją, tym, co muszę jeszcze przeczytać, i tym, czego jeszcze nie rozumiem.

Gdy w Maghrebie idzie wiosna, chcę być sam. Przychodzi tam bardzo wcześnie – w lutym. W październiku kończy się lato, potem trzy miesiące dni chłodnych, zimnych lub mroźnych (nie zapominajmy – jesteśmy na pustyni), w lutym wszyscy chodzą jeszcze w kurtkach albo katanach, wieczorami wciąż zimno jak w psiarni – w piecach tu nie palą, ludzie drżą pod hałdami koców i skórzanych derek – ale bądźmy szczerzy: idzie wiosna. W Marrakeszu ściany riadów ciepłe i szorstkie jak bochen razowego chleba. W dolinach pędzą wartkie potoki, oazy kwitną i lśnią mineralną zielenią, gdy wysoko w górach – tytanowa biel. To gdzieś stamtąd, gdzieś z tych śniegów Atlasu, ciągnie ten wietrzyk, żadne tam sirocco, harmattan, tylko miękki, katalizujący powiew wiosny.

Luty – siedemnaście stopni na plusie. Południe. Mężczyźni przychodzą pod Café Medina. Nabijają cybuchy. Z ekspresów bucha para. Mężczyźni wylegają na zewnątrz, na place i ulice. Plecy oparte o nagrzone mury, twarze do słońca, gołe pięty nieśmiało na bruku, potem więcej, wreszcie całe, na wierzch, na przewietrzenie, na zzuty but. Kurtki już rozpięte. Mały palec odgięty, na serdecznym *petit* sygnet, mała czarna, jedna, druga, mendel chłopca wypuścił dym, jadaczki w ruch, charknięcia za przerywnik, trajektorie słów, na przestrzał, na kontrę, na lewo, na prawo, w górę, za siebie, w przód, do boku, nie przewiesz, nie zdzierzysz, szczekotają, krzyczą, ale cóż się dziwić – idzie wiosna.

Nastąpi jeszcze przełom, powszechna dezorientacja, która potrwa kilka dni. Widok ten powtarza się co roku, wywołując zawsze tyle samo zdziwienia i rozbawienia: jedni noszą jeszcze puchowe kurtki, inni wskakują już w spodenki i podkoszulki

z krótkim rękawem. Lecz nikt dłużej nie wątpi, wszystko jest jasne i ja czuję to w powietrzu: w Maghrebie idzie wiosna.

2011

Mohamed chciał tylko swoich jabłek

Część I: Po

1

Strażnik rzucił gaśnicę na ziemię i zamarł w bezruchu.

Mohamed przeraźliwie zawył, płomienie ogarnęły mu plecy. Dopiero Szandlija Abidi, dopiero ona, biedna sprzątaczką, zerwała się z taboretu, ściągnęła z masztu flagę Tunezji i nakryła nią płonącego. Ale ogień błyskawicznie strawił cienki materiał. Płonąca kula toczyła się po jezdni. Z okolicznych kawiarni przybiegli ludzie, gasili go płaszcami i szmatami. Mohamed zatoczył się po raz ostatni i upadł. Czarne ciało leżało na środku drogi i dymiło. Przenieśli je na chodnik, ułożyli prostopadłe do jezdni i czekali. Dzwonili przez komórki i oglądali ludzką spaleniznę. Byli wstrząśnięci – w Sidi Bu Zajd zdarzyło się to pierwszy raz. Po kwadransie przyjechał ambulans. Sprawdzili: jeszcze żył. Tylko straganiarze, tylko oni już wiedzieli, biegali po ulicy jak opętani i krzyczeli:

– Mohamed Bouazizi się spalił! Zhańbili go! On zrobił to dla nas wszystkich!

Porzucili wózki z towarem i do wieczora nie odchodzili spod siedziby gubernatora. Najpierw przekrzykiwali się w nieładzie. Złapali się wreszcie pod ręce i ustawili w szeregu. Za nimi gromadził się tłum. Strażnicy po drugiej stronie ogrodzenia stali jeszcze niewzruszeni, tak jak zwykle: ręce za plecami, głowa do góry. Milczeli. Ale tego dnia, 17 grudnia, ulica już wrzała.

Chciała zemsty.

2

Odtąd zbierali się codziennie rano na placu pod budynkiem poczty, nieopodal miejsca wypadku. Przedtem o tej porze szli zwykle do kawiarni. Pili kawę, gapili się przed siebie albo w telewizor. Teraz gromadzili się na ulicy i dyskutowali. Co robić? Co teraz robić? Nie można stać i gadać. Trzeba coś zrobić. Żądać ukarania winnych, wyjść na ulice i pokazać gniew – żeby wiedzieli, żeby się wreszcie bali.

Demonstracja zaczyna się codziennie pod bramą gubernatorstwa, płynie w dół ulicy Burgiby i wraca. Tutaj tłum

idzie całą szerokością drogi, od ściany do ściany, rozlewa się leniwie między stolikami na chodniku – ludzie witają się ze znajomymi, ściskają ręce, całują. Tu znają się wszyscy. Ci, co idą, namawiają tych, co jeszcze siedzą, klepią ich w plecy.

– No, chodźże, jak możesz teraz siedzieć?

Jest tu sporo takich, co wołają się tylko przyglądać. Boją się: kto wie, jak to się wszystko skończy? A jak wróci stare – będą sadzać krzykaczy po aresztach. Ale tamci patrzą im głęboko w oczy, gestykulują i nalegają:

– Nie możesz tu teraz siedzieć, jak wszyscy idą!

Dołączają i biorą się za ramiona. Krzyczą:

– Precz z korupcją, precz z hańbą, precz z kłamstwem! Dość upokorzeń! Pomścimy Mohameda!

O tym, że rewolucja jest blisko, wiedziały dużo wcześniej dwie osoby.

Aмерыkański ambasador w Tunezji Robert F. Godec w tajnych depe szach ujawnionych przez portal Wikileaks relacjonował Waszyngtonowi sytuację w kraju: „Afiszowanie się rządzących z bogactwem i ciągle plotki o korupcji dolewają oliwy do ognia. Ostatnie protesty w rejonie Kafsy wskazują na rzeczywiste wzburzenie społeczeństwa. Korupcja jest problemem, o którym wszyscy wiedzą, ale nikt nie ma odwagi mówić publicznie”.

W listopadzie, półtora miesiąca przed samospaleniem Bouaziziego, w eleganckim hotelu Ksar Dijafa w Sidi Bu Zajd odbyła się konferencja, na którą zjechali urzędnicy z ministerstwa i miejscowa elita. Debatowali o szansach rozwoju gubernatorstwa, jedli daktyle i wypalili stosy papierosów. Raport końcowy przygotował Hamdi Lazhar, dyrektor miejscowego urzędu pracy. Schował go głęboko do torby i prawie nikomu nie pokazał. Wniosek był jeden: jest tak źle, że pora się bać.

Lazhar ma w swoim rejestrze bezrobotnych trzy tysiące ludzi z wyższym wykształceniem – informatycy, bankowcy, prawnicy. Błąkają się po ulicach albo łapią byle czego. Ci, którym się udało, pracują w recepcjach hoteli albo czyszczą cybuchy szisz. Bezrobotny Tunezyjczyk może nosić modne

dżinsy, białe adidas, mieć nażelowane włosy i dziewczynę w Kalifornii. Bo beznadzieję trzeba kamuflować. A kto się przyzna, że pracuje w zawszonym hotelu? Że marznie, bo zimą tu nie grzeją, a nocami mróz? Trzeba się przykryć dwoma kocami, a i tak nad ranem ma się dreszcze i siąka się nosem. Człowiek z dyplomem, architekt wewnątrz, za sto dwadzieścia dolarów miesięcznie zbiera brudne szklanki w zadymionych barach. Dawniej chodzili jeszcze do siedziby partii RCD (Zgromadzenie Demokratyczno-Konstytucyjne), to tam decydowano o wszystkim. Kładli na stół życiorys i list motywacyjny.

– Czy pan rozumie? Mam wyższe wykształcenie, znam angielski i francuski. Mam na utrzymaniu cały dom, siostra potrzebuje pieniędzy na studia, matka chora, ojciec nie żyje. Czy pan jest człowiekiem? Niech pan pomoże mi znaleźć pracę, ja chcę wykonywać swój zawód.

Za biurkiem mówili, żeby czekać. To się czekało, wydzwaniało, błagało. Potem pracę dostawała córka szefa RCD, bratanek, szwagier. Wracali do domów i mówili:

– Mamo, nie mam pieniędzy, nie ma pracy.

Było im wstyd, bolała ich głowa.

3

Sidi Bu Zajd, położone w głębi lądu, zawsze było na szarym końcu. Należało raz do jednego gubernatorstwa, raz do drugiego, zawałidroga i kula u nogi. Parę zaśmieconych ulic wśród spalonej słońcem ziemi i kaktusów. Trochę rolnictwa, ale nie za dużo. Nic, tylko omijać.

W 1973 roku utworzono dla miasta i okolic odrębne gubernatorstwo. Założenie na szczeblu centralnym było jasne: stanowiska w lokalnych urzędach mogą piastować tylko ludzie z zewnątrz, żeby uniknąć korupcji. Urzędnicy przychodzili jak na zesłanie: nic ich nie interesowało i mało wiedzieli. Brali łapówki, ilekroć się dało, bo emerytury tu marne. W połowie lat dziewięćdziesiątych odwiedził Sidi Bu Zajd prezydent Ben Ali. Zajrzał tylko na chwilę, w zasadzie to przejeżdżał. Powtarzał frazesy: praca i rozwój, nadzieja w młodych. Urzędnicy przygotowali dla niego plik dokumentów. Wynikało z nich, że

sytuacja w regionie wymaga pilnej interwencji. Ale Ben Ali wyjechał, zanim zdążyli mu je wręczyć. Nie lubił takich miejsc.

Płasko, nuda i bida. Często śmierdzi, szczególnie jak palą plastikowe śmieci. Wolał swoje królewskie rezydencje nad morzem, baldachimy i złote zegarki. Tam, w Kartaginie i Al-Hammamat, było życie: tarasy na urwistych klifach, widok na lazurową zatokę i pełnia władzy. Jak za Hannibala. Kiedy się tyle ma, wypada się hojnie dzielić. Dostawali krewni, dzieci i znajomi: fabryki, holdingi, ziemię. A młodzi przecież lubią ekstrawagancję: zięć Alego Sachr Materi trzymał w willi swoją maskotkę – małego tygrysa o imieniu Pasza. Szaleństwo: lody i mrożone jogurty zamawiali w Saint-Tropez. Imed, bratanek prezydentowej, w 2006 roku zlecił kradzież z wybrzeży Korsyki jachtu Beru Ma wartego trzy miliony dolarów. Fant zwrócono, sprawę załatwiono pod stołem. Ben Ali ścisnął się z Sarkozyem, Amerykanie przymykali na wszystko oko, bo Ben Ali walczył z islamistami.

Poprzednik Ben Alego, Habib Burgiba, rządził krajem od uzyskania przez Tunezję niepodległości w 1956 roku (wcześniej była kolonią francuską). Burgiba – mąż Francuzki – porównywany był do Atatürka. Tak jak on wprowadził reformy poprawiające sytuację kobiet i laicyzujące kraj. Nie tolerował jednak nikogo, kto zagrażał jego pozycji. A zagrażało wielu: opozycja, związki zawodowe i – najbardziej – fundamentaliści religijni. Burgiba wyznaczył człowieka do tępienia islamistów: absolwenta francuskiej akademii wojskowej, szefa sił bezpieczeństwa, byłego ambasadora w Polsce (1980–1984) generała Zin al-Abidin Ben Alego. W 1987 roku naród odetchnął: konsylium lekarskie orzekło, że osiemdziesięcioletni Burgiba jest niezdolny do sprawowania władzy.

Część historyków twierdzi, że do takiego orzeczenia przekonał medyków sam Ben Ali, wówczas już premier, który zaraz po tym – zgodnie z konstytucją – przejął władzę prezydencką. Z początku budował fundamenty demokracji (wielopartyjność, amnestie dla więźniów politycznych, zakaz stosowania tortur), stawiał z pozoru solidne filary (utworzenie

z państwami regionu Unii Maghrebu Arabskiego, wspólne manewry z NATO), otworzył w tunezyjskim domu okno na świat. Dopiero wtedy pokazał swoje prawdziwe ja. Wygrażał pięścią, prześladował opozycję, gwałcił prawa człowieka, fałszował wybory, nie wypuszczał z więzień fundamentalistów.

Ale europejscy biznesmeni zakładali w Tunezji kolejne szwalnie: bo miało być tanio i szybko. Ci z dyplomami, jeśli mieli szczęście, znajdowali w nich pracę – informatycy, bankowcy, prawnicy przy taśmie. Ben Ali budował dla gości z Zachodu kurorty. Przyjeżdżali tłumnie i im się podobało: tanio, ciepło i egzotycznie. Powtarzali: Arabowie, a tacy normalni, prawie jak my, z cywilizacji. Po kurortach włóczyli się Tunezyjczycy i przyglądali się bogatym. Podrywali blond dziewczyny; mówili im, że jest super, ale wiedzieli, że dalej tak być nie może.

Ben Ali zakazał mówić głośno o polityce. Nie słyszał więc, że w ludziach od dawna się gotuje.

4

Gdy Sidi Bu Zajd po samospaleniu Mohameda wrzało, Tunezyjczycy złapali za komórki. Dzwonili i zamieszczali filmy w internecie. Szamseddin Abidi, dwudziestodwuletni architekt wnętrz, wrzucił kilkanaście. Jego znajomym na Facebooku był dziennikarz Al-Dżaziry. To ona jako pierwsza obwieściła światu: w Tunezji wybuchła rewolta.

Tunezyjczycy lubią Al-Dżazirę, bo mówi prawdę. Siadali przed telewizorami i nie dowierzali. Al-Dżazira powtarzała: „Tunezyjczycy wyszli na ulice, żądają głowy Ben Alego”. Uwierzyli: jest rewolucja.

Protesty ogarnęły inne miasta, takie jak Regueb, oddalony o pięćdziesiąt kilometrów od Sidi Bu Zajd.

Był 9 stycznia 2011 roku, niedziela. Ludzie wyszli na ulice, bunt ogarnął już cały kraj. W Regueb przekonują: Ben Ali wysłał do miasta snajperów, bo nie mogli przecież strzelać miejscowi policjanci. To małe miasteczko, wszyscy się znają, nie wybaczyliby im. Poza tym ludzie widzieli i kręcili filmy komórkami: było ich trzech – jeden wszedł na maszt telefoniczny, drugi na dach budynku, trzeci mierzył

bezpośrednio z ulicy. Strzelali z kilkuset metrów do tych, którzy z manifestacją nie mieli nic wspólnego.

Rauf Kaddusi, dwadzieścia osiem lat, pochodził ze wsi, malował w mieście konstrukcje budowlane, trafili go w brzuch.

Mohamed Dżabolli, dwadzieścia cztery lata, przyjechał z Kafsy w odwiedziny do pradziadka. Wstrząsnęła nim śmierć Raufa, tego samego dnia poszedł na jego pogrzeb, kula trafiła go, kiedy wnosili ciało do meczetu. Zostawił córkę i żonę.

Manel Bullagi, dwadzieścia sześć lat, wracała ze znajomymi z wizyty u sąsiadów. Rozwiedziona, zostawiła dwójkę dzieci. Młodsze, czteroletnie, nie rozumie, co się stało, starsze, siedem lat, jest z babcią w Sidi Bu Zajd, nie śpi, płacze.

Nizar Slimi, dwadzieścia dwa lata, zbierał oliwki, żeby utrzymać rodzinę. Wiadomości o jego śmierci nie przeżył dziadek, umarł dwadzieścia cztery godziny później. Matka straciła w ciągu dwóch dni ojca i syna.

Mudah Klifi, dwadzieścia pięć lat, pracował na stacji benzynowej, tego dnia miał wolne, zabili go, kiedy wracał z chlebem ze sklepu. Matka od jego śmierci prawie nic nie mówi.

Ben Ali się przeliczył. Po kraju niosła się wieść o męczennikach rewolucji. Mieszkańcy Sidi Bu Zajd i okolic w marszu wolności zmierzali do Tunisu. Ben Ali w telewizyjnym przemówieniu wzywał do opanowania. Było za późno. Rozwścieczony tłum szalał.

14 stycznia zebrało się pod budynkiem ministerstwa spraw wewnętrznych czterdzieści tysięcy ludzi. Ben Ali rozwiązał rząd i ogłosił nowe wybory, ale tłum nie ustępował. Prezydent nie ufał policji, w której miał wielu wrogów. Zażądał interwencji wojska. Do stolicy wjechało kilka jednostek. Odmówiły użycia siły przeciwko protestującym. Można się było tego spodziewać: kilka dni wcześniej Ben Ali zdymisjonował naczelnego dowódcę generała Raszida Ammara za odmowę stłumienia innego protestu. Politykę prezydenta krytykowali głośno nawet członkowie RCD. Czuli, że jego czas dobiega końca. Wiedzieli, że ktoś będzie musiał go zastąpić. Ben Ali został sam.

Tego samego dnia prezydent uciekł jak szczur do Arabii Saudyjskiej, z pistoletem w ręce. Wcześniej zniknęła znienawidzona przez Tunezyjczyków prezydentowa – Lejla Trabelsi, kiedyś fryzjerka (ludzie plotkują, że pracowała we Francji jako prostytutka). Ponoć zabrała ze sobą półtorej tony złota. Bank tego nie potwierdził, ale ulica dobrze wie: właśnie tak było. Rabusie grabili rezydencje kliki Ben Alego. Wynosili najnowsze plazmy, kartony z pornografią i rzymskie kolumny. Opowiadali o windach w jednopiętrowych willach i najnowszych modelach porsche. Sikali na marmurowe posadzki. Zarznęli tygrysa Materiego. Palili i grabili jak Rzymianie Kartaginę.

5

To jest plan.

Wejść do Café Samarkand – będą sami mężczyźni, głośno i siwo od dymu. Podejść do telewizora, nacisnąć czerwony przycisk, zapadnie cisza. Wszyscy spojrzą na nas. Zapytamy:

– A co wy w ogóle macie z tej rewolucji?!

Ktoś się odważy? Ja się nie odważę. Pytajmy ostrożnie, każdego z osobna. Odpowiadają:

– Rewolucja? No, rewolucja jak rewolucja... Otwórz oczy, patrz.

Trawniki.

W Maghrebie zieleń to przywilej. Trzeba ją bez przerwy podlewać, bo pustynne słońce wypala ją w mgnieniu oka. Jest zarezerwowana dla urodzonych w oazach albo dla bogaczy. W Sidi Bu Zajd luksus przebywania na trawniku można było kupić. Haracz trafiał do kieszeni władz. Rzadko stać było na niego nawet właściciele kawiarni. A dziś, kto pyta o pozwolenie? Zabiera się o poranku stoliki i krzesła, przenosi na trawnik i wygodnie rozsiada, ba, jak kto ma ochotę, można się wyłożyć jak długi, przykryć czapką i uciąć drzemkę.

Mury.

Ograbiony gmach RCD w Sidi Bu Zajd mieszkańcy nazwali „domem ludu”. Na budynkach przy głównej alei, noszącej imię byłego prezydenta Burgiby, napisali sprejem: ulica Mohameda Bouaziziego.

Chusty.

Źle widziane za Ben Alego, dziś kobiety znów je zakładają. Ludzie bez obaw chodzą do meczetów. Wcześniej ryzykowało się inwigilację, bezpieczeńę na głowie, problemy w pracy.

Solidarność.

Dotąd sąsiad unikał sąsiada, panowała podejrzliwość i nieufność. Rewolucja wskrzesiła relacje międzyludzkie. Tunezyjczycy poznają się na nowo.

Swoboda.

Można mówić do woli, głośno i o wszystkim. Najlepiej przy kawie. Jeśli w Sidi Bu Zajd, to koniecznie w Café Samarkand. Stali bywalcy nie podają adresu domowego. Pisz na Café Samarkand, a trafi do adresata. Siadaj i słuchaj, bo dziś jest o czym słuchać. Idą zmiany: premier Ghannuszi wymienił wszystkich ministrów. Ale przecież sam jest człowiekiem starego reżimu. Podobno kontaktuje się telefonicznie z Ben Alim. Prawa strona stolika: dać mu czas, nie można zrobić wszystkiego od razu. Lewa: wyciąć wszystkich, do zera. Telewizor musi grać na *full*, aż bolą uszy. Al-Dżazira nadaje z Egiptu: kiedyś oni oglądali nas, teraz my ich. W Kairze demonstruje milion ludzi, Mubarak musi odejść! W Sidi Bu Zajd prorokują: skończy pies jak Ben Ali. Demonstracje w Libanie, Syrii, Jordanii. Świat arabski budzi się i walczy o godność.

6

– O, zobacz tego – pokazują mężczyznę na ulicy. To jest właśnie symbol korupcji! Właśnie z takimi walczy nasza rewolucja!

Kroczy pewnie – wysoki, barczysty, dostoyny, pod krawatem, długi płaszcz, lśniące buty, okulary. Ale nagle co? Ci z kawiarni go popychają, szarpią się, kłócą! Ktoś ich rozdziela, dostoyny mężczyzna odchodzi i czym prędzej zmyka. Odwraca się, krzyczy i grozi jeszcze palcem.

Symbol korupcji dla bywalców Café Samarkand siedzi w płaszczu nawet w biurze. Koło czterdziestki, białe zęby, nie tak jak ci z dołu: żółte kły, czarne dziury. Czerwieni się ze złości i mówi wprost:

– Ze śmieciami nie siedzę.

Śmiecie to nieroby, siedzą cały dzień i chleją kawę. Wypisują bzdury na Facebooku. Robią z Bouaziziego męczennika, a to głupi wypadek, jego prywatna sprawa. Jak człowiek ma coś w głowie, to się z takimi nie zadaje.

Tym bardziej doktor turystyki, uniwersytet w Lozannie, pierwszy Tunezyjczyk z takim fachem, rodzice lekarze. Tłumaczy:

– Jakby ktoś pana zaczepiał na ulicy, proszę się powołać na mnie, mój kuzyn jest szefem miejscowej policji.

I podstawił pod nos wizytówkę: *directeur général*, spółka Gamouda. Przyjechał do Sidi niedawno, nikt go tu nie zna i nie mają prawa go oceniać.

– Obowiązki gonią – mówi dalej – praca od rana do wieczora. Tu chodzi o zazdrość, to zapyziałe miasteczko, boją się, że obcy ukradnie im pracę. A ja mam tylko małą klitkę, dwa laptopy i kilka biznesów na głowie.

Spółkę założyło dwóch adwokatów z Sidi Bu Zajd.

– Ich nie obchodzi rewolucja. Ma być wynik, zysk na koniec miesiąca. A rewolucja to zastój w biznesie, straty. Wie pan, ile straciłem dziś przez protesty? Tysiąc dolarów w jeden dzień! Pan widzi, przychodzą do mnie pracownicy hotelu i proszą o wypłatę. Mówią: „Przecież jest rewolucja, chcemy swojego”. A ja tłumaczę: „Jest rewolucja, nikt nie ma pieniędzy”.

Chyba że wózkarze na ulicy. Ci mają teraz raj. Ludzie dyskutują, żyją w stresie, a jak jest stres, to się szybciej chrupie. Orzeszki, chipsy i popcorn idą jak nigdy. Wieczorami na ulice w Tunisie wylega tłum. Nagle okazało się, że ludzie mają dużo do powiedzenia, potrafią logicznie argumentować, dużo wiedzą. Manifestują kobiety, chcą równych praw. Podchodzą oponenci, kłócą się, zaczyna się bójka, nie wiadomo kto z kim. Tu wystarczy iskra i już draka gotowa. Policja puszcza gaz, ludzie piszczą, uciekają spomiędzy stolików, rozlewają kawy i piwa. Nad miastem bez przerwy krążą helikoptery, protestujący blokują ulice. Kłótnie wzniesają zwolennicy Ben Alego, puszczają nerwy, łatwiej oberwać. Jakiś motorzysta na zakorkowanej ulicy zajechał komuś drogę, już goni go chmara chłopaków, skaczą przez puste kartony, łapią go za kurtkę

i trzask w głowę, raz, drugi, trzeci, rozpęd i kopniak w koło. Motor się przewraca, robi się zbiegowisko, rozdzielają ich, ale gdzie tam – część rozdzielających zaczyna się szarpać z napastnikami i ich pomocnikami, druga – z atakowanym i jego obrońcami, aż w końcu do miejsca awantury dobiegają żołnierze i rozdzielają zwaśnionych.

To też bez zmian. Przed wojskowymi ciągle ma się respekt. Jak wszystko runie, tylko oni zrobią porządek. Zawsze byli po stronie ludzi, inaczej niż policja, z tymi nigdy nic nie wiadomo. To armia namówiła Alego do uciezki. To armia obstawia opuszczoną przez poprzednią ekipę siedzibę gubernatora w Sidi Bu Zajd. Zwykle wielkie chłopy, grube dłonie, czarne okulary i wygolone głowy, karabiny na plecach. Takim można uścisnąć rękę, zrobić sobie razem zdjęcie, podstawić dzieciaka dwa metry do góry:

– No, niech dziecko da żołnierzowi buzi.

7

W Sidi Bu Zajd pokazują sobie najsłynniejszą fotografię w kraju: Ben Ali w szpitalu w Tunisie nad łóżkiem umierającego po samospaleniu Mohameda. Wkrótce obaj mieli odejść. Mohamed zmarł 4 stycznia. Pod dom Bouazizich podjechał rządowy samochód. Rodzina pojechała na spotkanie z Ben Alim. Do środka weszły matka i siostra. Pamiętają tyle: złoto, blichtr, rozmawiali koło dziesięciu minut, obiecał pomoc. 14 stycznia uciekł z kraju.

Matka Mohameda dostaje zastrzyki, jest chora. Przykrywa się kocem i patrzy w telewizor. Mówią o jej synu: męczennik, bohater, rewolucjonista. Bunt rozlewa się na inne kraje arabskie. Ona jeszcze bardziej naciąga koc na twarz.

Trzymają jego wózek na pamiątkę. Chciał go kupić jakiś krezus z Jemenu. Mało kto wie, że Mohamed pożyczył go od wujka. Jeszcze mu go nie oddali, a ten się zastanawia: sprzedać czy zostawić? Rodzinę odwiedziła od grudnia ponad setka ekip dziennikarskich, wizyty od rana do wieczora, czekają w kolejce, fotografują. Matka już nie płacze przed kamerami, straciła głos. Mówi jeszcze:

– Ja mu już wybaczyłam, Allah mu też wybaczy, choć nie lubi samobójców.

W Café Samarkand plotkują, że rodzina się pokłóciła, pewnie o pieniądze. Może się brat kłóci z ojczymem? Może o odszkodowanie od państwa? Może o co innego?

Straganiarze, kumple Mohameda, są wściekli. Nie chcą tu już dziennikarzy, to po pierwsze. Mass media ukradły naszą rewolucję! Co my z tego mamy? Filmują mój wózek i wyjeżdżają, a ja dalej sprzedaję mandarynki. Świat arabski wygra z dyktatorami i upokorzeniem i zwycięży nasza rewolucja, żadna jaśminowa, ale rewolucja straganiarzy z Sidi Bu Zajd, rewolucja Mohameda Bouaziziego!

Część II: Przed

Matka zajrzała o świcie do pokoju Mohameda. Spał na materacu razem z młodszym bratem, prostopadle do siebie, głowa przy głowie. W garnuszku obok łóżka leżały gumowe kulki, którymi często się bawili. Piały koguty.

Tak trudno się zwlec z łóżka o tej porze. Ziąb, oczy się kleją. Trzeba wstawać, takie życie. Skrzeczą te kanarki jak najęte. Trzy klatki ojczym powiesił na ganku, spokoju nie dają. Matka już wstała, parzy kawę. Gra radio. Jest 17 grudnia 2010 roku, piątek. Mówią jak zwykle o bzdurach. Zwiększyli budżet dla sportu i kultury; do Tunisu przyjechali premier Kataru i egipska delegacja w celu umocnienia wzajemnych stosunków. Wreszcie coś do rzeczy: tej zimy ludności doskwierają chłody. Ben Ali kazał wysłać potrzebującym koce, ubrania i ciepłe posiłki. Chociaż tyle.

Mohamed wyrzwał na podwórze. Dzień zapowiadał się cudnie. Promienie słońca odbijały się od białych budynków i raziły w oczy. Na ścianie suszyły się kiście czerwonej papryki, które mama przyniosła z pola.

Zbierał się do wyjścia, kiedy matka zawołała:

– Synu, ty sobie dziś odpocznij, dziś piątek, święto, zostań w domu!

Odpowiedział:

– Mamo, przecież ci mówiłem, dostałem wczoraj taniej towar, idę na dwie godzinki. Sprzedam, co mam sprzedać,

potem idę do meczetu i wracam do domu.

Przez ostatnie trzy miesiące znów dużo się modlił. Raczej w domu, bo do meczetu niebezpiecznie. Miał wrócić na obiad, może na grillowaną rybę z jajkami, jego ulubione danie. Mógł zostać i leżeć przed telewizorem, w piątki się przecież odpoczywa. Ale znajomi wiedzą: był diabelnie ambitny i honorowy. Uważał się za odpowiedzialnego mężczyznę, dwadzieścia sześć lat na karku, dbał o rodzinę. Harował od dziesiątego roku życia. Siostra zdaje maturę, potrzebuje pieniędzy na studia, brat jest stolarzem, nie zarobi wiele, matka tylko dorabia w polu, a gotuje dla całej rodziny. Ojciec nie żyje. Pracował na budowie w Libii. Poszedł po dniówce na spotkanie ze znajomymi i nagle się przewrócił. Atak serca, ciało sprowadzili do Sidi Bu Zajd, Mohamed miał wtedy trzy lata. Mama wyszła za brata ojca.

Ciężko się idzie, jak się spało cztery godziny. Oczy szczypią, nogi jak z waty. Żeby dostać najlepszy towar, koczuje się w hurtowni pół nocy. Chłopi zwożą owoce i warzywa do rana. Trzeba się targować, tu bez targowania nie ma życia. Mohamed ma z nimi niezłe układy. Kiedy nie ma pieniędzy, dostaje towar na kredyt. Ufają mu: jest uczciwy i charakterny. Zawsze oddaje, nie to co inni.

Wózek z towarem trzyma w wynajętym magazynie, za opłatą. Pcha go do centrum, półtora kilometra. Z górki trzeba hamować, bolą stawy, pod górę ciężko wtoczyć. Warzywami raczej nie handluje. Musiałby pchać dwa wózki, bo marchewki do mandarynek nie pasują. Albo mieć samochód. Tak, marzenie: zarobić na własnego vana. Nie kupił nawet motorka ani roweru, odkłada na auto. Trzeba też płacić za wózek, który wynajmuje od wujka Salaha. Taki wózek na własność to wydatek przynajmniej trzystu dolarów. Skąd wziąć tyle forsy? Bank daje tu kredyty tylko tym, co mają pieniądze albo znajomości. Banda złodziei. Wujek pożycza też wagę, wszystko razem za dwanaście dinarów tygodniowo. Przy dobrych wiatrach Mohamed zarobi dziennie dziesięć, piętnaście dinarów. Ceny zmienne, zależy, za ile się kupiło od chłopów.

Handel do wieczora, potem pchanie wózka do hurtowni, koczowanie, parę godzin snu i od nowa.

Nauczyciele Mohameda mówią: dobry chłopak, załatwiał owoce ze zniżką, uśmiechnięty, ugodowy. Nie zdał nawet matury. Nie miał mobilizacji do nauki, ale kto tu ją może mieć? Kończysz studia i siedzisz na bezrobociu. Wolał handlować owocami, niż rejestrować się w urzędzie pracy. Nie miał czasu na piłkę, internet ani na dziewczyny. Tyle co wpaść do sklepu u Riada pod domem i kupić marlboro lighty spod lady, z Algierii, bo tańsze.

Szedł aleją Burgiby, gdy nagle zjawili się oni.

Starzy znajomi, policjanci. Tacy czują, że mogą tu wszystko. Podjeżdżają czarnymi dżipami i trzaskają drzwiami. Ich skórzane kurtki błyszczą w słońcu. Poprawiają czapki i podciągają paski. Wybierają ofiarę. Przyjechali po łapówkę. Wszyscy straganiarze ich opłacają. Spróbuj się postawić:

– Z czego ja będę teraz żył, co będą jeść moje dzieci?

Odpowiedzą:

– Idź i kradnij.

Tego dnia znów padło na niego. Pytają o licencję na handel, choć dobrze wiedzą, że nikt jej tu nie ma. W zasadzie nie wiadomo, co mówią przepisy. Chyba jedno: dajcie mi człowieka, a znajdzie się na niego paragraf.

Jest ich kilku, mężczyźni i kobieta – Fedia Hamdi. Koło czterdziestki, wredne babsko, wszyscy tak mówią. Jak się uprze, to nie odpuści. Konfiskują mu owoce i wagę. To już któryś raz w tym miesiącu. Stracił ponad sześćset dinarów. Protestuje, krzyczy, zaczynają się kłócić i szarpać. Hamdi uderza go z otwartej dłoni w twarz. Mężczyźni przewracają go na ziemię. Z apteki wybiega jego wujek. Uspokaja sytuację, ale mundurowi zabierają towar. Mohamed nie może ochłonąć: kobieta uderzyła go w twarz na środku ulicy, przy wszystkich!

Wpada w szal. Porywa pusty wózek i pędzi pod urząd miejski. Krzyczy:

– Oddajcie mi mój towar!

Nikt nie reaguje. Idzie pod siedzibę gubernatora. Staje przed ogrodzeniem naprzeciw wartowników. Z tyłu siedzi na

taborecie starsza kobieta, sprzątaczką. Mohamed łapie za pręty bramy i krzyczy:

– Chcę spotkania z gubernatorem!

Odmawiają. Zostawia wózek pod bramą i biegnie do sklepu. Kupuje butelkę benzyny. Wraca i wylewa ją na siebie. Wyciąga z kieszeni zapalniczkę. Przystawia do pleców. Krzyczy pierwszy raz:

– Jeśli nie oddacie mi owoców, to się podpale!

Odpowiada echo.

Drugi:

– Jeśli mi nie oddacie, to się podpale!

Bez skutku. Trzeci raz. Cisza. Odpala zapalniczkę.

Teraz wszystko w rękach strażnika na warcie. Stoi najbliżej, zrywa się przytomnie i biegnie do holu po gaśnicę. Płomienie trawią ubranie Mohameda. Strażnik staje przed nim. Może teraz zrobić swoje, jest jeszcze czas. Skończyłoby się na poparzeniach i szpitalu. Powinien przypomnieć sobie instrukcję: zerwać plombę, wyciągnąć zawleczkę, nacisnąć dźwignię. Zachować zimną krew i ugasić zarzewie rewolucji.

Ale nie umiał obsłużyć gaśnicy.

2011

Stacja benzynowa, Austria (ulotne)

Z auta wysiada brodaty mężczyzna o arabskich (berberyjskich?) rysach i w północnoafrykańskim stroju (luźne spodnie typu pumpy, wzorzysta koszula). Za nim reszta pasażerów – żona, brat (?), dzieci, jedno, drugie, piąte, mniejsze, większe, mniejsze; krzyczą, gestykują, wyciągają bagaże: stołki, szmaty, walizki, kubły, worki, siatki, pudła, rozciągają wielką płachtę na złożone obok wozu stopy bagażu i przymocowują ją do dachu, budując zaimprovizowany namiot; uszczelniają go, poprawiają i ładują się wszyscy do środka: ojciec, matka, brat (?), dzieci: mniejsze, większe, mniejsze, włączają, wyłączają, piszczą, skaczą, wypychają, wpychają, tłuką, tarmoszą.

Przed autem góra bagaży. A bagażnik jak zaczarowany – pełny, nabity po sam sufit, jakby nic z niego nie ubyło; zdaje się, że byłoby w stanie upchać w nim dowolną liczbę przedmiotów, a on dalej by się nie przepełnił.

Tłumy Arabów i Berberów wyjeżdżają z Afryki do Europy za chlebem. Pracują w fabrykach, na budowach, w gastronomii. Europeizują się, dostosowują. Co roku (najczęściej w sierpniu) wracają na wakacje do swoich domów w Maghrebie – do glinianych lepianek w Dżanacie, do slumsów w Casablance, pustynnych namiotów pod ergiem Chigaga. Ledwie ruszą w drogę, już wracają do swoich nawyków. Jak ta rodzina na parkingu – bez skrępowania rozbijająca pod austriacką stacją benzynową swoje nomadyczne schronienie.

W Maghrebie, jak i w całej Afryce (ale już niekoniecznie w Azji czy Ameryce Łacińskiej), w środkach transportu rzuca się w oczy ciasnota. Do jednego starego mercedesa becзки, niezwykle popularnego w Maroku, potrafi wsiąść dziewięć osób, do gabońskiego busa z jedenastoma miejscami siedzącymi – dwadzieścia cztery osoby, na pakę ciężarówki w Nigrze – niepoliczalna chmara ludzi i towarów zlewających się w zakurzoną, napęczniałą masę. Skąd ten mus (potrzeba?) tak niekomfortowego, ekstremalnego tłoku?

Nasuwa się łatwa odpowiedź: bo jest mało samochodów, dziennie dwa autobusy na krzyż, więc wszyscy podróżują stłoczeni. Ale to nieprawda – w Maroku czy Egipcie zdecydowanie jest czym jeździć.

Przez Saharę od wieków podróżowano w karawanach złożonych z setek ludzi i wielbłądów. W grupie bezpieczniej – łatwiej było schronić się przed burzą piaskową za zaporą wielbłądzich garbów, odstraszyć bandytów, znaleźć wodę, nie zgubić drogi, okiełznać narwanego wielbłąda. Z biegiem lat karawany zostały zastąpione przez ciężarówki i samochody. Ale nie zmieniły się przyrost naturalny, tradycyjne więzi klanowe i rodzinne, a w wielu rejonach normą pozostaje poligamia. Jak trzeba jechać na jarmark – to z rodziną. Trzeba więc zabrać żonę, bo tylko ona umie nakryć do stołu, a jak się zabiera tę pierwszą, to trzeba zabrać i drugą, bo inaczej się obrazi, a do tego dzieci, te z tą pierwszą i te z tą drugą, no a przecież komu by przyszło do głowy, żeby dziewięćosobową rodzinę wsadzać w dwa oddzielne samochody? Chyba jakimś dziwakiem.

Sidi Ifni. Raport z końca świata

1

Jeśli ktoś twierdzi, że historia się skończyła, ba, że właśnie materializuje się najprawdziwszy koniec świata, powinien przyjechać do Sidi Ifni.

Jest siedemnasta i nad białe jak szkielet miasto napływa znad Atlantyku tafla mgły, rozbijając się w końcu o pustynne wzgórze. Nie widać zza niej słońca, a jedynymi żywymi istotami na olbrzymiej plaży pod czarnym klifem są grający w piłkę chłopcy. Między bramkami wyoranymi piętą w piachu wyglądają, jakby rozgrywali pośpiesznie ostatni mecz świata. Na horyzoncie, dokładnie za nimi, majaczy zjawa wielkiego statku. Jest zwrócona dziobem w kierunku Hiszpanii, rufą w kierunku Mauretanii, ale mam wrażenie, że w ogóle się nie porusza, bo żaden ruch nie ma już sensu.

Tak, ci, co chcą zobaczyć martwy czas, powinni przyjechać do Sidi Ifni, żeby potem głosić: „Sprawdziliśmy! Tam nie dzieje się już nic, tam zaczyna się koniec”.

Jest ramadan i miasto umarło. Nie wałęsają się nawet psy. Trwa biały dzień, nikt nie pije, nie je, nie pali, choć miliony wąsatych palaczy trawią nikotynowe konwulsje. Uśmiercają swoje ciała i żądze, rozpalają pragnienie żalu.

Jest ramadan i pojawia się pytanie o granice. Niezbadana liczba muzułmanów przestrzega postu, bo wierzą, że to mądry zamysł Allaha: przez miesiąc oczyścić organizm, ćwiczyć silną wolę, stawać się lepszym. Większość muzułmanów przestrzega postu, bo tak trzeba, bo tak jest zapisane, bo tak robią wszyscy. Bo inaczej – kara, wstyd, napiętnowanie.

2

Jest dziewiętnasta i zaczyna się cowieczorna rewolucja, uroczyste zmartwychwstanie.

Allaaaaaaah akbar! – muezini wzywają do modlitwy. Krzyk niesie się wskroś miasta. Na jednym z placów przy plastikowych stołach siedzi setka mężczyzn nieruchomo wpatrzonych w talerze soczystych ryb, duszonych warzyw, pożywnych, gęstych zup i srebrzących się cebrzyków z miętową herbatą. Czekają. Modlitwa ucicha, zachodzi słońce, Allah

zamyka oczy. Mężczyźni łapią za łyżki i noże, odpalają papierosy, wypalają połowę naraz i wybuchu kulinarna orgia.

Jest noc i po tym wieczornym śniadaniu z domowych nerek wypełzają strojni w białe sukna mężowie, żony i dzieci. Ciągną ulicami w dół, w kierunku oceanu. Będzie mi się wydawać, że wszyscy zmierzają w jedno miejsce, w jakiś punkt zbiorowego zbawienia albo samobójstwa, kiedy nagle zobaczę, że rozchodzą się w boczne uliczki, budząc do życia skamieniałe miasto.

Jest noc i Allah nie patrzy. Czuć świeże perfumy. Na promenadzie nad skrajem klifu zbierają się młodzi i starzy. Popijają kawę, mleko z syropem z granatu, rozmawiają. W ciemnym zaułku młodzi muzułmańscy chłopcy flirtują z młodymi muzułmańskimi dziewczętami. Kiedy wyjdą na deptak, raczej się rozejdą, chłopcy dołączą do ciemnych, zwartych grup, dziewczynki małymi stadkami będą nieśmiało krążyć w ich pobliżu. Mężczyźni spacerują, trzymając się za ręce, bo tutaj to wyraz przyjaźni i szacunku. Kobiety spoglądają i szepczą. Bryza znad oceanu w nocnym powietrzu niesie się jeszcze szybciej. Ludzie toną w mlecznej mgłę. Jest zimno i wieje, ale miasto kipi.

Tak, do Sidi Ifni w ramadan powinni przyjechać ci, którzy twierdzą, że raz zastany porządek będzie trwał na wieki. Jeśli jednak koniec świata kiedykolwiek nastąpi, jestem pewien, że zacznie się w Sidi Ifni. Śmierć będzie tu długa, ale najłagodniejsza z poznanych.

3

Czwarta rano, na pustej drodze stoi autobus. Za paręnaście minut odjedzie do Marrakeszu. Będzie jechał dziewięć godzin w dusznym upale. Ciężki pot i wachlowanie się gazetami. Ukrop, zapach spalin, postoje w czerwonych miasteczkach, targ berberyjskich górali, osły, zapach osłów i ślepiec na osle. Teraz autobus jeszcze jest chłodny, ale tylko z zewnątrz, w środku powietrze jest ciężkie i zatachłe. Po drugiej stronie ulicy mężczyźni rozkładają dywany. Piętnastu. Jeden przy drugim, równoległe do autobusu. Padają na kolana, ukazując wpatrzonym przez szyby pasażerom białe podeszwy gołych

stóp. Składają pokłon Allahowi – oby podróż była bezpieczna. Starzy i młodzi, tradycyjne dzellaby i błyszczące dresy, przed dywanami rządkiem skórzane pantofle i pospolite adidas.

4

Plac przed meczetem Kutubija, centrum Marrakeszu. Meczeta Kutubija jest wysoki i słynny, leży nieopodal placu Dzema el-Fna, równie wielkiego i słynnego. Wracam z wieczornego spaceru po medynie i widzę tłum ludzi, niemal wszyscy ubrani na biało. Śniadzi, pociągłe twarze, pachnący.

Biała rzeka płynie w jednym kierunku, nurt jest spokojny i jednostajny, można z łatwością wyróżnić prąd żeński i prąd męski, oba wpływają na plac przez bramki w zaporze barier, nurt żeński tylko na chwilę miesza się z nurtem męskim, po chwili wraca do swojego koryta, aż dwie rzeki zastygają w dwie gładkie tafle. Nie robią nic niezwykłego – modlą się. Dojrzałe kobiety w nikabach odsłaniających tylko oczy, młode dziewczynki w eleganckich hidżabach, smukli chłopcy w swoich pierwszych dzellabach, wąsaci ojcowie, zwykle grubszy, choć dostojni i dumni.

Po drugiej stronie barier my – nieliczni i rozproszeni, skóry różowe i bladoczerwone, dużo brzydoty. Przyglądamy się, podpieramy brody, przestępujemy z nogi na nogę, pstrykamy fotki. Ręka sama wędruje na spust migawki: tyle śnieżnej bieli! Płomienna cegła meczetu! Żywa mozaika, białe tkaniny, czarne czupryny, białe tkaniny, czarne czupryny, czarne na dół, białe do góry, czarne do ziemi, białe do nieba, białe, czarne, białe, czarne. Dyscyplina, porządek, harmonia. Kiedy naraz krzykną: „Allah akbar!”, przeszyje nas strach, choć nie damy go po sobie poznać. Poczujemy się mali i bezbronni. Będziemy nerwowo wypełniać pustkę w głowie, w odruchu samoobrony szukać wytłumaczeń, uspokajającej prawdy: to my jesteśmy nowocześni, a oni zacofani.

Ale znajdziemy tylko wyslizgany spust migawki.

Kiedy skończą, będą wracać do domów, zupełnie na nas nie patrząc – ojcowie i synowie, matki i córki.

2010

Tamanghist. Algieria (ulotne)

Im bliżej równika, tym większy marazm, powszechny mózół myślenia o tym, co jutro, pojutrze. Ludzie patrzą przed siebie mętym wzrokiem. Nie sposób odgadnąć, czy pogrążając się w rutynowym niebycie, skupiają wzrok na czymś w oddali, czy na czymś tuż przed nimi. Rozleniwienie narasta chyba odwrotnie proporcjonalnie do liczby pór roku, które wymuszają oczekiwanie na zmiany, uczą przewidywać, zapobiegać, skłaniają do działania. Tu kontemplację mętnej i rozlazłego „dziś” przerywa jedynie szurnięcie klapkiem, warkot odpalanego skutera, rzadkie pojawienie się klienta w ulicznej garkuchni. Myślenie o nieistniejącym „jutro” jest w zasadzie tak bezsensowne jak kontemplacja „dziś”, które na dobrą sprawę też mogłoby nie istnieć.

2006

Ameryka Łacińska

Oriente boliviano

1

Wiele bym dał, żeby znów pojechać do Puerto Suárez. Ale nie wiem, czy zdobędę się jeszcze raz na taką podróż.

Wtedy znalazłem się tam z konieczności. Musiałem wrócić z La Paz do Rio de Janeiro – lądem, bo na bilet lotniczy już nie starczyło. Cztery tysiące kilometrów w poprzek całego kontynentu.

Zaczynamy w sercu Andów, na wysokości trzech i pół tysiąca metrów nad poziomem morza, jest śnieg i mróz, po czym powoli zjeżdżamy prosto w tropiki, na rozległą nizinę, gdzieś po drodze przekraczając najważniejszą polityczną granicę dwóch Boliwii: andyjskiej – indiańskiej i biednej, i tropikalnej – białej i bogatej (złoża gazu). Kilka dni przed moim przyjazdem w Santa Cruz zadyma. Postulat: separacja. Bogate niziny nie chcą się dzielić z wiecznie biednymi Andami. W radiu wrze, cały autobus trajkocze tylko o tym. Ta niewidzialna umowna granica, którą miniemy tej nocy, obowiązuje na całym kontynencie: Andy, Amazonia i *la costa* – wybrzeże. Być może ten podział jest ważniejszy od bieżących klasyfikacji politycznych i administracyjnych. Każda z trzech krain to zupełnie inny świat, nawet jeśli leżą na terytorium jednego państwa. Zwykle autochtoni bardziej utożsamiają się ze swoimi kulturowymi pobratymcami z gór czy z dżungli niż z rodakami przypisanymi przez prawo.

Tę drogę warto też pokonać lądem, dla świtu.

Rano autobus zatrzymuje się w przydrożnej garkuchni, pasażerowie wychodzą na śniadanie. Na zewnątrz pierwsza myśl: nadzy ludzie, kontrast. Wczoraj okutani swetrami, cajtami, andyjskim poncho. A tu gołe, śniade brzuchy, fioletowe pępki, rozbujane pośladki, popękane pięty. Powietrze nadziane organicznym posmakiem, wibrującą esencją, która jeszcze teraz, w przyjemnym chłodzie świtu, uszczęśliwia, rozwiewa sen i zmęczenie. Oblegają mnie rozwrzeszczane, rozbrykane dziewczynki, szczerzą zęby i wciskają mi w ręce plastikowe kubki z czerwoną, ciepłą galaretką z owoców, których nazwy nigdy nie zapamiętam.

2

Santa Cruz i dalej na wschód. Na dworcu panuje latynoski chaos informacyjny. Okazuje się, że wbrew wcześniejszym zapewnieniom nie ma już w ogóle miejsc w pociągach. Ale jeżdżą autobusy.

Przy okienku ultimatum – wytrzeszczone oczy kasjera, poważna sprawa: *amigo*, mamy ostatni bilet, jedziesz czy nie? Jutro rano będziesz w Puerto Suárez. *Sí*, pociąg wygodniejszy, ale trzeba rezerwować z wyprzedzeniem.

To jest, *amigo*, typowy autobus na pogranicze. Ma popękane szyby, koła od ciężarówki i efektownie podniesione podwozie, ale nic dziwnego, bo zaraz za miastem asfalt się kończy i nie pojawi aż do samej Brazylii. Tłuczemy się nocą przez amazońską puszcę.

Wnętrze do wysokości siedzeń zapełniają wielkie, białe wory, być może z kontrabandą, po których w czasie postojów stąpają albo przesuwiają się na klęczkach zgarbieni sprzedawcy mydła i powidła. Spektakl zaczyna się jednak dopiero, gdy na scenie – na przedzie pojazdu, przy kierowcy, twarzą do pasażerów – staje on.

To jest Ameryka Łacińska. Nigdzie na świecie nie obejrzysz takiego monodramu obwoźnego handlarza. Z początku przysypiasz, twarze pasażerów – znużone, spocone. Nie, myślisz, ten człowiek niczego nie sprzeda.

Ale to czarodziej, mag, chodzący TV market z worem pełnym magicznych ziół i medykamentów skutecznych na wszystko – od hemoroidów po porost włosów na piersiach.

Staje przed pasażerami, kłania się uniżenie i rozpoczyna kanonadę. Mówi melodyjnie, śpiewnie, wartko. Lud patrzy otepiały. Chyba nic z tego nie będzie. Czarodziej jednak nie przestaje. Stop. Wyjmuje pierwszy rekwizyt – inkaski krem z macicy perłowej na tysiąc i jedną chorobę!

– Proszę, obejrzyjcie, otwórzcie, tak, śmiało! Posmarujcie się! – Puszczą w obieg cudenka.

Autokar stoi i warczy. Poruszenie wśród *pasajeros*. Z rąk do rąk, z rzędu do rzędu wędrują maści i pudełeczka. Nieśmiałe komentarze, wachania i smarowania. Czarodziej dalej swoje,

podnosi głos, gestykuluje, wyjmując z torby kolejne. Jest! Zgłasza się pierwszy chętny – w środkowym rzędzie, po prawej, przy oknie. Wysoki handlarz nie podejmuje jednak do klienta – przejście zapchane. Banknoty suną więc jak po sznurku z ręki do ręki ponad fotelami. Jest drugi, trzeci, czwarty – już pół autokaru wyciąga pieniądze, przelicza bolivianos i posyła zwitki banknotów po złożonej z ludzkich dłoni trakcji, śledząc uważnie ich los, aż trafią do rąk wodzireja. Ten wprowadza już w obieg kolejne wynalazki, przelicza bolivianos, wydaje resztę, zachwala towar. Autokar przypomina bazar z dziesiątkami pośredników: krzyżują się szlaki wymiany waluty, ktoś nie dosłyszał, ktoś się pomylił, ktoś kogoś szturcha. Wreszcie hit dnia: *pomada de coca*, maść z koki! Więc w końcu i ja krzyczę: „Kupuję!”. Patrząc, jak pudełeczko przechodzi z ręki do ręki, raz po raz tracę je z oczu. Przeliczam szybko pieniądze. Nie mam drobnych. Odbieram towar. Czarodziej cały czas trajkuje i co chwila na mnie zerka, pilnując, żebym zapłacił. Puszczam w tango bolivianos. Śledzę je wzrokiem – są, dotarły, czarodziej tasuje banknoty i śle przez autokar moją resztę, lewa, prawa, pojawiają się i znikają, jest, mam! Prawie cały autobus kupił maść z koki na reumatyzm. Smród.

– *Adiós!* – handlarz żegna podróżnych.

Autokar rusza przez *oriente boliviano*.

3

Z nudów można na przykład zagadnąć sąsiada o *ruta de la muerte* – drogę śmierci. W andyjskiej części kontynentu co chwila trafia się na jakąś z nich. Pochłaniają tyle ofiar, że nie sposób nazywać je inaczej.

Najbardziej znana *ruta de la muerte* zaczyna się niedaleko La Paz. Przez Boliwijczyków jest uważana za najbardziej niebezpieczną drogę na świecie, o co konsekwentnie i zajadle kłócą się Ekwadorczycy, którzy twierdzą, że nie ma bardziej ryzykownych dróg niż te przez ekwadorskie Andy.

Gdy liczba ofiar zbliżyła się do stu rocznie, zamknięto ją dla ruchu publicznego. Teraz kwitnie tam turystyka rowerowa (długi, imponujący zjazd), a po ulicach La Paz paradują turyści ubrani w koszulki z napisem „Przeżyłem drogę śmierci”.

Z Santa Cruz do Puerto Suárez, na pogranicze, jeździł też przez wiele lat pociąg śmierci – Expreso Oriental.

Zagajony sąsiad – Pedro – o pociągu śmierci wie wszystko. Wspólnie ustalamy kryteria, które musi spełnić pociąg, by określić go tym mianem (wszystkie rzecz jasna spełniał Expreso Oriental):

Podróż nim grozi zmiżdżeniem przez współpasażerów, bo połowa z nich, nawet zgodnie z najmniej restrykcyjnymi przepisami, nie powinna była się tam znaleźć.

Pociąg wlecze się przez największe na świecie bagna, na których gnieźdzą się chmary komarów z rozkoszą dobierające się do dostarczonych im pod nos dawców świeżej krwi.

Pociąg regularnie zatrzymuje się pośrodku bagien – nie wiadomo dlaczego i na jak długo – a komary sprowadzają coraz liczniejszych towarzyszy.

W nocy jest tak zimno, że nie można zasnąć, a...

...w dzień tak gorąco, że ludzie wychodzą z siebie albo...

...na dach, gdzie *de facto* siedzi już większość podróżnych, bo...

...w środku przemyca się tony kontrabandy, więc...

...po jakimś czasie chcesz wyskoczyć przez okno, chyba że...

...już tam jesteś, bo pociąg się wykoleił, co zdarza się tu zadziwiająco często.

– Ale Expreso Oriental już nie jeździ, *amigo*. – Szczerzy zęby Pedro. – Najpierw zabronili ludziom wchodzić na dach, bo ciągle stamtąd spadali i pożerały ich krokodyle. A potem wybudowali nowoczesną, szybką kolej.

Tylko że na nią nie ma biletów.

4

Noc, lepki, nieprzyjemny sen, powykręcany kręgosłup. Otwieram oczy, bzyczy mucha.

– *Mierda*, gówno – szepcze Rodrigo i łapie ją w garść.

Za oknem sino, słyszę rejwach. Wszyscy wychodzą, przecieram oczy. Nasz wóz zakopał się w błocie, połowa kół w bagnie, ale już widzę, że nie tylko my, bo za nami i przed nami autobusy z kołami ciężarówek tworzą sznur oblepionych

błotem mechanicznych potworów z girlandą zielska na szybach.

Akcja ratunkowa trwa dwie godziny.

Gdy wracam na pokład, po raz pierwszy pytam kierowcę:

– *Amigo*, czy dojedziemy na czas?

Siedzi w samych majtkach. Odpowiada ruchem dłoni – jakby wkręcał żarówkę. Czytaj: albo dojedziemy, albo nie dojedziemy, ale raczej nie dojedziemy, a jak mnie jeszcze raz zapytasz, to odpowiem to samo, więc już mnie nie pytaj, *mañana...*

Koło południa, to jest dobre kilka godzin po planowanej godzinie przyjazdu, zaciekawilo mnie jego samopoczucie: prowadził całą noc.

Zatrzymaliśmy się na postój w San José, pueblu otoczonym selwą. To właśnie wtedy zobaczyłem ten worek. Stał obok przekładni biegów. Duży, pulchny, jak na owies – z liśćmi koki. Przystanąłem. Wybrał ze środka słuszną garść, włożył do ust, pogryzł, po czym jednym ruchem języka wsunął papkę pod skórę policzka. Koka – to ona trzymała go w pionie.

A więc San José. Sklep. Jakieś oranżady, papierosy, wódka i wory ze świeżą, pachnącą koką. Jej żucie zwalcza objawy choroby wysokościowej – *soroche*, jest lekiem na wiele dolegliwości, powodem do zmartwień grup antynarkotykowych (z dwóch kilogramów koki wytwarza się gram kokainy), dumą Indian i pierwszego w Ameryce prezydenta indiańskiego pochodzenia – Evo Moralesa.

5

Tak, wieczorem dojechaliśmy do Puerto Suárez. Autobus miał dwanaście godzin opóźnienia. Przysiągłem sobie wtedy, że ostatni raz wybrałem się w taką przejażdżkę.

Wokół Pantanal, bagna monstra, jedno z największych siedlisk krokodyli na świecie. Śpię w drewnianej chatce tuż nad wodą. Nocny szelest puszczy koi. Rano idę szukać kawy. Wokół jeszcze sennie, unosi się czerwony kurz. Z naprzeciwka idzie chudy chłop w kapeluszu. Grafitowy, zawadiacki wąs. Niesie termos z kawą. Mówi, że brazylijska.

Arica (ulotne)

W Arice porządny deszcz pada dwa, trzy razy na sto lat. Niektórzy, szczególnie starcy – ci rzadko opuszczają swoje wioski – wodę spadającą z nieba widzieli jedynie w telewizji.

Nie lubię takich miejsc. Miasto do późnego przedpołudnia tonie w ponurej mgle znad oceanu. Gdy spojrzysz w niebo, nie wiesz, czy jest bezchmurne, czy całe pokryte stalową taflą mgły. Brakuje jakiegokolwiek kontrastu. Błady ocean nie odcina się od piaskowego lądu. Pożółkłe domy pokryte pustynnym nalotem zlewają się z urwistymi zboczami, w które się wgryzają. Zwrotnikowe słońce niemal nie daje cienia. W końcu robi się tak jaskrawe, że odbijając się od jasnych murów, pogrąża miasto w mętnej poświacie, rozlewającej się ospale po szerokich ulicach. Wszystko jest senne i chandryczne, bez wyrazu. Wiezorami robi się zimno. Stara Indianka w rękawiczkach bez palców wciska mi gumy do żucia. Zachodzące słońce rozpuszcza żółtą, jaskrawą bryłę kościoła. U jej stóp cienie trojga dzieci trzymają się za ręce i nieznacznie podskakują.

2008

Atakama. Raport

1

W maju 2008 roku wędruję samotnie przez pustynię Atakama w Chile. Ta najdłuższa pustynia na świecie rozciąga się wąskim pasem (sto do trzystu kilometrów szerokości) na długości tysiąca dwustu kilometrów (w linii północ-południe). Moja trasa wiedzie od oazy San Pedro de Atacama u podnóża wulkanu Licancábur do Antofagasty nad samym Pacyfikiem. Jakies trzysta kilometrów. Jej pokonanie zajmie mi jedenaście dni.

Pół roku wcześniej z chilijskiego Wojskowego Instytutu Geograficznego sprowadzam do Polski zestaw map topograficznych z 1984 roku (najaktualniejsze). Potem planuję zmontować sobie wózek, na którym mógłbym ciągnąć ekwipunek i niezbędny zapas wody, ale okazuje się, że skaliste podłoże, *salares* – wielkie połacie soli – i wyniosłe, grząskie góry wykluczają ten wariant. Kupuję plecak transportowy – sto trzydzieści pięć litrów.

Do San Pedro jadę kilka dni autobusem sypialnym z Santiago de Chile. Trzeciego dnia o świcie widzę po lewej niesioną przez bryzę znad wzburzonego oceanu mleczną mgłę, po prawej, aż po horyzont, pustynny gruz. Groza. Na dworcu w Calamie czekam na przesiadkę w tłumie miejscowych Indian, którzy nie spuszczają ze mnie wzroku. Czuję, że objuczony dziwacznym ekwipunkiem budzę podejrzenia.

Zaczepia mnie dwóch mężczyzn. Niedbały zarost, ogorzałe twarze, na głowach sombrera. Wyglądają jak pijacy, bandyci i hazardziści. Bardzo możliwe, że myślą o mnie równie źle. Wysocy, barczyści. Zadają mi wiele pytań, głównie o cel przyjazdu. Odpowiadam wyczerpująco. Wsiadają do tego samego autobusu co ja. I wysiadamy razem, w San Pedro de Atacama, pomagają mi znaleźć nocleg. Są mili. Zapraszają mnie na jutro na swoje rancho za oazą. To bracia, mają na imię Rodrigo i David. Od lat zajmują się poszukiwaniem stałej pracy. W przerwach dorabiają jako kominiarze w Santiago de Chile.

San Pedro leży koło Valle de la Luna, Doliny Księżycowej, na której NASA prowadzi testy w programie marsjańskim. To

pustynia absolutna, jedno z najsuchszych miejsc na Ziemi. Na śliskich skałach o fioletowym, metalicznym połysku nie sposób dojrzeć roślin ani insektów. W San Pedro na ulicach wygrzewają się jeszcze psy. Ciemnoskóre Indianki sprzedają jaskrawe, wzorzyste tkaniny i liście koki, wieśniacy leniwie prowadzą objuczone osły.

2

W ciągu najbliższych dni muszę starannie zaplanować trasę. Moje obawy budzi odcinek od kopalni El Litio do San Cristobal – najbliższej kopalni za Górami Domeyki. To około stu dwudziestu kilometrów bez źródła wody.

Nazajutrz bracia prowadzą mnie do lokalnego muzeum. Zostało założone w 1963 roku przez belgijskiego księdza Gustawa Le Paige. Mieści cztery tysiące eksponatów – świadectwo życia *Atacamenos*, ludzi pustyni. Oglądam mumie należące prawdopodobnie do ludu Chinchorro. Mają podobno dziewięć tysięcy osiemset lat. Egipskie są o cztery tysiące lat młodsze.

Szukam tu informacji, czy z San Pedro prowadziły dawniej nad Pacyfik szlaki wędrówek ludów prekolumbijskich. Pracująca w muzeum historyczka twierdzi, że tak, ale że nic już nie zostało – ślady osad przysypał piach, gruz, rozkruszyły amplitudy temperatur. Ale może będę miał szczęście i coś znajdę. Osady powstały tu już jedenaście tysięcy lat temu. *Atacamenos* jako pierwsi w regionie prowadzili osiadły tryb życia. Ograniczona powierzchnia gleb zdatnych do upraw zmuszała ich do budowania tarasów na sztucznie nawadnianych stokach. Pola użyźniali odchodami lam i alpак, które hodowali i które wykorzystywali również do transportu towarów na handel z plemionami z wybrzeża. Byli najbardziej rozwiniętą cywilizacją prekolumbijską w tej części kontynentu.

Melduję się też na komisariacie policji. David wyjaśnia sierżantowi, jaki mam plan. Sierżant twierdzi, że chyba robimy sobie żarty, i wysyła nas do diabła. Jest podпиты. Wieczorem oglądam w miejscowym barze mecz Copa Libertadores – Colo-Colo Santiago de Chile kontra meksykański Atlas. 1:1.

Wracamy na rancho: salsa, wino, rumor. Zapalone świece. Są znajomi i Gabriela, Brazylijka, narzeczona Rodriga. A może i Davida: widziałem, jak się do niej zaleca. Gabriela przyjechała do San Pedro pół roku temu. Rodrigo zaczepił ją na ulicy i zaprosił na rancho. Została. Na pytanie dlaczego, odpowiada: „Bo kocham pustynię”. Rodrigo wyciąga mnie na dwór, wchodzimy po drabinie na dach. Wskazuje palcem na niebo. Tutaj widać nocą, gdzie jest nasze miejsce. Wbrew pozorom to uspokaja. Rodrigo mówi, że właśnie dlatego tu zamieszkał – może nie ma w domu żarówek, by nie rozpraszały mu kosmicznego światła? Powietrze jest suche, jesteśmy bardzo wysoko i to najklarowniejsza przestrzeń, jaką widziałem: niebo skrzy. Dlatego buduje się tu tyle obserwatoriów astronomicznych.

Do mojej kwatery wracam po omacku: ulice poza centrum nie są oświetlone. Mylę drogę, tracę orientację, obszczekują mnie psy. Słyszę trzask drzwi i krzyki kobiety. Zapala świeczkę. To stara Indianka. Tłumaczę, że nie jestem złodziejem. Uspokaja się. Wskazuje mi drogę.

3

O świcie bracia wywożą mnie nad Laguna Cejar, turkusowe słone jezioro na północnych krańcach salaru. Za radą miejscowych decyduję się przejść wprost przez solnisko. Twierdzą, że jest gładkie i zaoszczędzę wiele sił. Zatrzymujemy się przed ostatnim drzewem. Rodrigo radzi mi się o nie oprzeć – na szczęście. Pomagają mi zarzucić na ramiona plecak. Czterdzieści kilogramów dosłownie wgniata mnie w ziemię. Żegnamy się, uściski, pożegnalna fotografia.

Przy brzegu zasilanego górską wodą jeziora brodzą flamingi. Uruchamiam GPS, obieram azymut na dymiący na południu wulkan. Salar to ogromna skorupa soli, która z początku jest gładka jak lód, ale po kwadransie przypomina tarczę sterczących do nieba solnych ostrzy, między którymi staram się stawiać stopy. Rzadko udaje się zmieścić całą podszwę. Południe, białe słońce odbija się od solnej tafli, białe jest niebo, biała jest też ziemia. Trafiam na kolczasty krzak – nie daje cienia. Ostatni na mojej drodze. Rozwieszam na nim folię

izotermiczną, chowam pod nią głowę. Wieczorem znajduję płaski skrawek salaru pod namiot. Zachód słońca – nabrzmiała purpura.

Wstaję przed świtem, ruszam, orientuję się, że salar przecinają rozwalcowane, ugniecione pasy. Domyślam się, że to robota górników z leżącej na południu kopalni El Litio. Mam do niej jeszcze około dwudziestu kilometrów. Rozwalcowana przecinka jest płaska i twarda, prowadzi prosto do kopalni. Ulga. Niestety, po dwóch kilometrach się kończy, to ślepy zaułek: przede mną ostrza kryształowej soli. Siadam na ziemi, klnę. Wracam dwa kilometry, obieram azymut prosto przez salar. Kończy mi się woda, muszę dziś dojść do kopalni.

Widzę ją wieczorem. Przypomina kolonię na Księżycu: rury i instalacje pośrodku pustyni, żywej duszy. Po jakimś czasie nadjeżdża dżip. Zdziwienie i wiele pytań: skąd? dokąd? po co? przez salar? sam? Zabierają mnie do auta. Dowiaduję się, że nie mam prawa przebywać na terenie kopalni. Są stanowczy. Proszę o pomoc: nie mam gdzie rozbić namiotu, idzie noc, skończyła mi się woda. Jestem zmuszony markować wycieńczenie. Wysadzają mnie pod białym budynkiem. To przychodnia. Witają mnie lekarz i pielęgniarki. Diagnoza: odwodnienie. Lekarz, niezwykle życzliwy, gadatliwy, prowadzi mnie do pokoju przy dyżurce. Tam będę spał. Zaprasza mnie na kolację do górniczej stołówki. Rozmawiamy. Temat: Hitler, Stalin, druga wojna światowa. Pasjonuje się historią. Opowiada również o Niemcu, który zabłądził na salarze, nie potrafił wydostać się z pułapki solnych ostrzy i zmarł. Tłumaczy, że taflę salaru tworzy wiele warstw ułożonych jedna na drugiej. Często się załamują. Mówię, że pytałem, czy da się przejść. Tubylcy zapewniali, że tak. Wracam do pokoju, ktoś puka. Otwieram, mężczyzna się przedstawia. Jest ciekawski, zadaje więcej pytań niż inni. Prosi, żebym pokazał mu swój aparat. Ogląda zdjęcia kopalni, wszystkie każe usunąć. Jest skrupowany, przyznaje jednak, że to procedura antyszpiegowska. O świcie uzupełniam zapas wody. Przede mną pasmo Domeyki.

To góry wyniosłe, suche i grzaskie. Rozciągają się na długość około sześciuset kilometrów. Najwyższym szczytem jest Cerro Quimal (4278 metrów n.p.m.). Ominę go od południa. Odtąd każdy dzień wygląda niemal identycznie: pobudka przed świtem, temperatura blisko zera, wkładam rękawiczki, para z ust, na kuchence gotuję śniadanie (owsianka, makaron), zwijam obóz. Maszeruję na azymut około trzydziestu kilometrów dziennie. Używam kompasu i GPS-u. Codziennie wieczorem, gdy rozbijam namiot, zrywa się porywisty wiatr. Wrzucam do środka ciężki głaz albo plecak. Gdy słońce zachodzi, wiatr ucicha. Wtedy gotuję kolację (makaron, liofilizaty). Przed snem czytam. Starcza mi sił na dziesięć, dwadzieścia stron, potem odcinam nożem przeczytany kawałek, żeby było lżej. Mam dobre buty i ochronę od słońca. Wodę (za każdym razem szesnaście, dwadzieścia litrów) niosę w plecaku w gumowych bukłakach z demobilu. Jej zapasy uzupełniam co trzy, cztery dni w pustynnych kopalniach. Na Atakamie – inaczej niż na Saharze – nie ma studni. To wymaga precyzji w planowaniu trasy.

Drugiego dnia po opuszczeniu El Litio rzeczywistość weryfikuje założenia: nie udaje mi się wspiąć na główny grzbiet pasma Domeyki. Wody mam niebezpiecznie mało. Rozbijam obóz na stromym stoku, namiot się nieco zsuwa. Wstawiam jedzenie i idę sprawdzić, co jest za skalną bulą. Widzę kamienny okrąg. W szczelinach muru świszczy wiatr, przeciskając przez nie drobiny złotawego piasku. To inkaski schron, wieki temu pustynni wędrowcy kryli się w nim nocą przed wichrem i chłodem. Siedzieli w okręgu wokół rozpalonego ognia. A więc byli tu.

Następnego dnia wstaję wcześniej niż zwykle, by uniknąć skwaru i nadrobić kilometry. Tuż za namiotem dostrzegam ślady nieznanego zwierzęcia. Na pewno nie jest to *perro* – gatunek dzikiego psa, występującego na tej pustyni. Duże ślady układają się w pary co dwa metry. Ruszam, jest chłodno. Staję na grani. Odślania się przede mną rozległa panorama: po horyzont granie, jary, zbocza. Zgodnie z planem powinienem od tej chwili schodzić na rozległą pampę, która doprowadzi mnie

nad Pacyfik. Nie ma szans. Uspokajam się, myślę trzeźwo. Plan B: wycofuję się na południe w kierunku rozległej przełęczy, aż moim oczom ukazuje się druga strona pasma. Maszeruję głębokim jarem. Mijam szkielety zwierząt. Są nienaturalnie białe i lśnią jak gruzy minerałów. Noc, odpoczynek, analiza: w El Litio powiedzieli mi, że kopalnia, w której mam zamiar teraz uzupełnić wodę, nie istnieje. To znacznie komplikuje sprawę. Dzwonię z telefonu satelitarnego do kolegi w Polsce. Sprawdza na mapie satelitarnej. Faktycznie, nie ma. Podaje mi współrzędne najbliższej kopalni. Wprowadzam dane do GPS-u. Jest dziesięć kilometrów dalej, niż planowałem.

Kolejnego dnia pokonuję trzydzieści pięć kilometrów. Temperatura w południe sięga trzydziestu pięciu stopni. Do kopalni docieram już nocą. Wydobywają w niej miedź. Na ustach dostrzegam krew. Pracownicy witają mnie na dyżurce. Łapią się za głowę, pokrzykują, podają mi dużo wody, wmuszają, gdy odmawiam. Pozwalają mi rozbić namiot koło dyżurki. Pojawia się młody mężczyzna, szef zmiany. Wysyła mnie pod prysznic, a następnie zaprasza na kolację. Tłumaczy: Atakama jest ogromnym złożem surowców mineralnych, stąd taka liczba kopalni, nawet w najodleglejszych rejonach. Mapy szybko się dezaktualizują: bywa, że mała kopalnia pracuje jedynie kilka lat. Przekonuje, że wbrew powszechnemu przekonaniu na Atakamie jest woda. Tyle że bardzo głęboko. Doskonale radziły sobie z jej wydobywaniem ludy prekolumbijskie, które wędrowały przez pustynię. Opowiada o wojnie o Pacyfik między Boliwią a Chile. To w jej wyniku Boliwia utraciła dostęp do oceanu. Twierdzi, że wielu żołnierzy walczyło na pustyni boso.

Następnego dnia po śniadaniu wiozą mnie długim tunelem na drugą stronę pasma. Zbocza są nieprawdopodobnie strome i suche jak pieprz, oceniam, że nie pokonałbym ich z ekwipunkiem na plecach.

Po drugiej stronie jest płasko, teren obniża się łagodnie i jednostajnie w kierunku oceanu. Ostatniego dnia marszu czuję już na twarzy bryzę. Na koniec zrywa się potężny wichur. Kosztuje mnie wiele wysiłku. Mijam Panamericanę, autostradę

biegnącą przez obie Ameryki. Pojawiają się ludzie, samochody, domy. W Antofagascie kwatruję się u Clary – gospodyni, która gościła mnie w drodze do San Pedro. Oznajmiam, że się udało. Myślała, że żartowałem. Kładę się na łóżku i uświadamiam sobie, że dziś już nie wstanę. Clara przynosi mi butelkę wody. Nazajutrz o własnych siłach idę do Rincon Latino tuż za rogiem. Zamawiam stek wołowy. Kelnerka jest miła – podaje mi gratis szklankę czerwonego wina.

2008

Adres (ulotne)

Zdarzało mi się to w Algierii, w Kambodży, a nawet w turystycznej marokańskiej Zakurze. W Boliwii w autobusie z La Paz do Santa Cruz zaczepił mnie Boliwijczyk z Oruro. Handlował tekstyliami, które importował z Pakistanu. Proponował mi biznes: eksport koparek do ziemniaków z Polski do Boliwii. Oczywiście poprosił o adres. Prawie wszędzie: notatnik, długopis, prośba o adres i telefon. A potem niespodziewane telefony w nocy od Ahmeda, Tuarega z algierskiego Tamanghastu, z prośbą, żebym sprezentował mu i wysłał pocztą śpiwór, który tak bardzo mu się spodobał.

W jednym z filmów dokumentalnych jakiś Amerykanin opowiada o swoim pobycie w Polsce za PRL-u. Ludzie podchodzili do niego i obchodzili się z nim z wyraźnym zaciekawieniem. Zawsze prosili o adres.

Za to nigdy nie przytrafiło mi się to w miejscach, gdzie wizyta białego jest sensacją. Tam nikt nie pyta o adres. Po prostu cię żegnają.

2009

Apolobamba

1

Przyjechali o czwartej nad ranem. Zatrąbili. Byłem gotowy, czekałem. Zbiegłem na dół, recepcjonistka spała. Hotel nazywał się Maya Inn, czy coś w tym stylu.

Ulice La Paz są o tej porze puste. Już za miastem wzeszło słońce, odsłoniło góry. Otaczały nas ze wszystkich stron.

Jest nas czterech: Javier, Osvaldo, ja i kierowca. Prowadzi w rękawiczkach, kierownicą szarpie – na drodze dużo dziur.

Godzina jest podła, a oni o polityce. Temat oczywisty: Evo Morales, prezydent indiańskiego pochodzenia, który buduje w Boliwii socjalizm dwudziestego pierwszego wieku. Javier peroruje: praca, każdy za siebie, liberalizm. Osvaldo wątpi i ma wiele argumentów. Javier, że komunizm się nie udał. Próbuje się włączyć. Że trudno przeszczepić doświadczenia z innych kontynentów, że u nas te pojęcia znaczą coś innego. Jak kulą w płot. Kapitalizm, socjalizm, kołchozy...

Świt, ale jakby ciemniej. Miasteczko, nie pamiętam nazwy. Pamiętam rowerzystów, ulice wyglądały jak andyjski wyścig pokoju. Indianie ubrani byli w grube, barwne poncho i wełniane czapki. Rowery skrzypiały. Robiło się coraz jaśniej, dlatego widziałem ich coraz więcej. Stara Indianka przyniosła papaję, ciepły chleb i po kubku spienionego, gorącego mleka. Papaję jedliśmy łyżeczkami. Siedział koło nas stary Ajmara. Bekął.

Minęliśmy Titicacę i ciągle się wznosiliśmy. Nagle korek. Wychodzimy z wozu. Zawody lekkoatletyczne. Biegi na czterech tysiącach metrów nad poziomem morza.

W którejś wsi wsiadł do auta Raimundo, Indianin Ajmara, przyjaciel chłopaków. Będzie nam pomagał. Wjechaliśmy na płaskowyż Ulla Ulla, trawy w cieniu wpadały w niebieski. Kontrole żandarmerii. Stada wikunii. Coraz rzadziej wsie, budynki. Tu i ówdzie na murach napisy: „*Evo cumple*” – Evo spełnia obietnice. Podobno doprowadził tu prąd, wodę. Javier twierdzi, że to bzdura: sam kazał to napisać.

Mijamy ostatnią wioskę. Potem jezioro Suches. Otaczające nas kolory i kształty wymykają się wszelkim próbom opisu, bo

co można napisać o ideale?

Przed nami przełęcz, 5200 metrów n.p.m. Śnieg, zasy, zaskoczenie.

2

Myślałem, że to poroniony pomysł. Tak, chciałem pojechać w Apolobambę, szukałem towarzyszy, chciałem też wspiąć się na jej najwyższy szczyt – Chaupi Orco. Ale oni zaproponowali wspinaczkę nową drogą.

Nikt nie zna lepiej tych gór niż Yossi Brain, alpinista, pionier, autor jedyne go przewodnika po tej głuszy. Pisał: „W dwudziestym pierwszym wieku pozostaje tu do zdobycia wiele nienazwanych szczytów i dosłownie tysiące nowych dróg”. Pisał też, że do dziś nie ma wiarygodnych map regionu. Jakieś wojskowe, boliwijskie, mamy je w plecaku, do niczego. Jest też szkic z lat 1911 – 1913, zaktualizowany przez Paula Hudsona w 1993 roku. Przywiozłem go z Londynu, z archiwum Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Nieprzydatny. Dlatego musimy uważnie obserwować teren.

Od południa nie wspinał się na Chaupi Orco nawet Yossi. Przestrzegają, żeby unikać Apolobamby latem, śnieg jest ciężki, spadają lawiny. Zginął w jednej z nich w 1999 roku. Pasma Apolobamba tworzy ekosystem z położoną u jego stóp rozległą selwą Madidi. Towarzystwo National Geographic uznało ją za jeden z najbujniejszych lasów na Ziemi. Gdzieś w tej dżungli Inkowie mieli ukryć złoto. Tu poszukuje się mitycznego El Dorado.

Nie jesteśmy tu pierwsi.

Trzynasty wiek – inkaski wódz Yahuar Huacai pokonuje Apolobambę z piętnastotysięczną armią, osiągając Amaru Mayu, „krętą rzekę”, dziś Madre de Dios.

Piętnasty wiek – Túpac Yupanqui idzie w ślady swojego pradziadka, schodząc do Río Beni w Amazonii. Z tego okresu pochodzą pierwsze doniesienia o El Dorado.

Potem Hiszpanie, a za nimi misjonarze. Bardziej od szerzenia wiary interesuje ich El Dorado. Szukają, giną. Zaginionych szukają następni. Zwykle nie wracają.

1587 rok – Juan Álvarez de Maldonado, gubernator prowincji Arexaca (dziś Larecaja), zakłada miasto Apolo. Stąd wypuszcza się na wyprawę.

1780 rok – odkrycie złóż złota w masywie Apolobamby. Pojawiają się geolodzy. W poszukiwaniu złotych żył wspinają się coraz wyżej.

21 września 1853 roku – geolodzy Hans Hortemann i Hover Hotanghel zdobywają wierzchołek Akamani (5666 metrów n.p.m.).

1897 rok – ekspedycja naukowa kierowana przez generała Pando (prezydenta Boliwii w latach 1899–1904) penetruje płaskowyż Ulla Ulla i Apolobambę (między innymi okolice Chaupi Orco), opracowując pierwsze szkice tych terenów.

1957 rok – publikacja pierwszej mapy (lotniczej) rejonu Madidi. Nie ma nic wspólnego z rzeczywistością – jest pełna błędów.

1957 rok – pierwsze wejście na Chaupi Orco. Wimmer Hans i Richter Hans korzystają z serii map I.G.M. w skali 1 : 250 000, ale te wprowadzają ich w błąd. Alpinści odnajdują się cudem po peruwiańskiej stronie.

3

Wyrzucamy wszystko z wozu, nie wjedzie na przełęcz. Mamy kilka dodatkowych kilometrów do przejścia. Ciężki plecak, liny, żelastwo. Jesteśmy.

Odsłania się druga strona, widać Chaupi Orco. Przecież oni całe życie spędzili w Andach: Osvaldo, Javier, Raimundo. Ale mówią, że ten widok jest ponad wszystko: perfekcja, balans, symetria.

Nad głową krążą kondory. Nigdzie indziej w Boliwii już ich nie ma. Nie mogę przestać patrzeć na Raimunda. Uosabia jakąś pierwotną, nieskalaną szlachetność. Czysty, mocny głos, ruchy, gesty, to posłuszne „sí!” po prośbach Javiera. Nie słyszałem, by powiedział coś innego. Krępy, silny jak wół, niesie ze czterdzieści kilo, robotny. Biorą tu takich ludzi, żeby nie pobrudzić tych gór. Tak myślałem, kiedy na niego patrzyłem.

Potem parę dni: strumienie, śnieg, kondory, spokojne noce.

I kolejne jezioro. Wielkie bezimienne oko. Za nim błękitny lodowiec, gdzieś tam przebiega na papierze granica z Peru. Rozbijamy obóz.

My leżymy, Javier gada.

Jukumuri. Niedźwiedź andyjski. Widział go raz w życiu i już więcej nie chce. Przekleństwo żyjących pod Apolobambą Indian. Zwija się w kulkę i toczy dwieście metrów w dół stoku! Napada w nocy wioski, porywa bydło. Wieszka krowę na drzewie, ale nie tknie mięsa. Czeka, aż wypadną z niego robaki, jego przysmak.

Toromona. O tym plemieniu można by do rana, choć widziało ich niewielu. Indianie z wiosek mówią na nich *patagrande* – „wielkie stopy”. To od śladów, które zostawiają. Izolują się od ludzi, żyją głęboko w selwie pod Apolobambą. Czasem widują ich chłopci, którzy zapuszczają się w dżunglę. Wszyscy szukają ich od lat. Mogą wiedzieć, gdzie leży El Dorado.

4

Idzie sen, wcześniej jakaś zupa. W środku nocy wychodzę na zewnątrz. Czekam, aż drgnie tafla jeziora. Ale czas umarł. Jestem bliski naiwnej myśli, że otaczająca mnie stężała materia trwa tu od zawsze.

Świt. Odtąd nie wiemy, co jest przed nami. Studiujemy fotografie, analizujemy warianty wspinaczki. Podejście lodowcem odpada: wygląda jak piła, co kawałek szczeliny. Jest pomysł: długim trawersem na wschód, obóz pod dwiema skalnymi piramidami. Raimundo zostanie nad jeziorem. Jesteśmy na 5600 metrach n.p.m. Rozbijamy namioty na śniegu. Chłód. Javier dzwoni z telefonu satelitarnego do La Paz. Na jutro dobra prognoza.

Trzecia nad ranem, pobudka. Najtrudniej wyjść ze śpiwora, potem już lżej. Latarki na głowę, ruszamy, ciemno, skrzypi śnieg. Idziemy po płaskim, ale szukamy krawędzi. Gdzieś blisko jest ściana, a pod nią rozległe plateau. Musimy na nie zejść. Jest krawędź, jest luft. Ciągle ciemno. Zjeżdżamy na linach. Wszyscy na dole. Ruszamy w górę. Wchodzimy na grzbiet, na razie jak po maśle.

A jednak wschodzi słońce. Lód zapłonął.

Śnieg po kolana, gorzej. Pierwsza ściana, nie obejdziemy jej. Javier zakłada asekurację. Pójdzie pierwszy. Nieporęczny lodospad, złośliwy. Javier staje na śnieżnym mostku, żeby się w niego wgryźć. Mostek zarywa się pod nim. Javier wisi na linie, w przepaść prószy śnieg. Tylko patrzę, spięty brzuch.

Ok?

Ok.

Teraz ja. Javier założył na górze asekurację i drze się niemiłosiernie, ale nic nie słyszę. Ruszam. Wbijam czekan i sypie mi się na głowę worek lodowatego cukru. Jeszcze z pięćdziesiąt metrów. Cukier po kolana, cukier jak nagła śmierć. Męka.

Jesteśmy wszyscy na górze. Jak tak dalej pójdzie, zawrócimy, nie zdążymy przed zmierzchem.

Ale jest tylko lód. Szkliste tunele, w których zamarzła pustka. Wyżej, na grani, odsłania się po horyzont selwa Madidi, mgły. Tonoroma, El Dorado.

5800... 5900... 5950... 6000... 6040... 6050... 6060... 6069. Szczyt.

Pluję w śnieg. Jest dobrze, nie ma krwi. Parę bluzgów, ale z radości. Zdjęcie. Trzynasta, późno.

Teraz w dół. Zjazd za zjazdem. Musimy zostawić w lodzie trochę żelastwa.

Późnym popołudniem docieramy do miejsca zjazdu na plateau. Tym razem czeka nas mozolna wspinaczka.

Gdy dochodzimy do namiotu, mija siedemnasta godzina akcji. Ze zmęczenia pod rękami płacze nam się lina. Javier mówi, że nie pamięta, kiedy ostatni raz tak dostał w kość. Wspina się regularnie od trzydziestu lat.

Do namiotów wyszedł znad jeziora Raimundo. Czeka na nas z herbatą. Padamy. Raimundo ściąga nam raki. Decyzja: schodzimy dziś nad jezioro po ciemku, z latarkami na głowie. Tu jest za zimno, szybciej zregenerujemy się na dole. Pójdziemy jeszcze tylko dwie godziny. I tak jesteśmy nieżywi.

Trzy dni później wracamy nocą do La Paz przez płaskowyż Ulla Ulla. Mijamy pierwsze chałupy. Zwykle światło paliło się jedynie w sklepie, chora żółć albo seledyn, łyse żarówki, częściej naftówki. Zwykle sprzedawała jakaś gruba Indianka. Zwykle kupowaliśmy piwo.

Była noc, ale niebo było żółte.

Wokół pustka, nie spodziewaliśmy się nikogo ani niczego.

W reflektorach pojawiła się sylwetka mężczyzny. Stał na środku drogi i zatrzymał nas machnięciem dłoni. Podszedł z lewej do okna. Miał zakrwawioną twarz. Wypadek, auto na boku. Jak? A kto to wie? Ranni. Pomagamy. Lina, podpinamy pod nasz wóz. My pchamy, wóz ciągnie, dżip staje na kołach. W rowach pod kocami leżą potłuczeni. Ruszamy dalej. Jak tu spotka cię wypadek, mówi Javier, to bywa, że nikt nie jedzie dwa, trzy dni. Mieli szczęście.

Jest bardzo późno. Osvaldo wkłada do radia kasetę z jakąś lokalną odmianą dzikiego indiańskiego disco-polo. Javier mówi, żeby wyłączył to badziewie. Proszę, żeby zostawił.

2008

Cizba (ulotne)

W naszych stronach ulice raczej płyną, suną. Tu się kotłują. Czy to klimat? Im cieplej, tym gęściej?

Niekoniecznie. Zwrotnikowe Chile, kawiarnia, siedzę przy stoliku na ulicy. Każdy wydaje się zmierzać w pośpiechu w wyraźnie obranym kierunku. Przypadkowe spotkania przebiegają podobnie: uśmiechy, uścisk dłoni, krótsza lub dłuższa pogawędka, uścisk dłoni, pożegnanie.

W La Paz jest inaczej. Ze wzgórz o poranku spływają tłumy. Jest bardzo zimno. 3500–4000 metrów n.p.m. Przez barwną, indiańską cizbę przebija się bus, naganiacz wychyla się z okna i wykrzykuje kierunek jazdy. Większość ludzi drepcze w miejscu. Ci, którzy gdzieś zmierzają, są w mniejszości. Codziennie mijam tego samego człowieka – krąży po placu z wystawioną przed siebie ręką, na nadgarstku zawsze ten sam zegarek. Na litość, ile on może zarobić na tym zegarku? Ma olbrzymią konkurencję. Cały tłum sprzedaje takie same zegarki, kompot, owoce, prażoną kukurydzę, płyty, mydło, górę przedmiotów, na które trudno zwrócić uwagę. Codziennie łapie mnie za nogi chłopak w kominiarce pucujący buty za jedno boliviano.

Podobnie na arabskich medynach. Na pytanie, dlaczego wszyscy tu przychodzą, nasuwa się prosta, choć niesatysfakcjonująca odpowiedź – a gdzie mieliby pójść? Tak samo w Chinach, w Kuala Lumpur, w Pakistanie, w Indiach, na całym południowym pasie cizby. Więc wcale nie klimat.

Bezrobocie? Też nie. W Rosji i na Ukrainie, w regionach, gdzie masa ludzi nie ma pracy, życie nie toczy się na ulicy.

Więc może gęstość zaludnienia? Chyba też nie, skoro w miastach o zbliżonej populacji i podobnym rozmiarze bywają pustki albo wibrujący ludzki rój (Fez i Mandalaj, Phnom Penh i Maracaibo).

Może trzeba poszukać gdzieś głębiej, przeanalizować pradzieje narodów i grup etnicznych, uwarunkowania genetyczne i rodzaje instynktów stadnych?

A może to po prostu wypadkowa wielu czynników?

Tetuan, północne Maroko. Zmierzch plami andaluzyjską biel miasta, ciemna luna opływa medynę i wylewa na Avenue Mohamed V. Stoję nieco wyżej, na schodach. Koryto ulicy wypełnia ludzkie mrowie, które zagęszcza się do granic i teraz już ani nie faluje, ani nawet nie drga. W niebo bije jeszcze tylko przytłumiony ludzki brzask, jakby słońce świeciło spod ziemi.

2009

Król komuny. Telenovela nocturna

Występują:

YUKPA – indiański szczep zamieszkujący pogranicze kolumbijsko-wenezuelskie – góry Sierra de Perijá:

SABINO ROMERO – dla dzieci papa, dla innych król Sierra de Perijá, naczelnik osady Chaktapa

LUCY – jego żona, matka wielu dzieci

SABINITO ROMERO – ich syn

JOSÉ ROMERO – ojciec Sabina

EVERT – zięć Sabina

MESTIZOS – Metysi, „mieszkańcy”, większość populacji Ameryki Łacińskiej; w ich żyłach płynie krew białych, Indian i czarnych:

OLEGARIO ROMERO – kuzyn Sabina Romera, naczelnik osady Guamo Pamocha

LATYFUNDYŚCI – obszarnicy ziemscy, potężna siła w Wenezueli, nazywani przez Indian „los blancos” – biali:

GUILLERMO VARGAS (STARY VARGAS) – wpływowy latyfundysta z Machiques, śmiertelny wróg Joségo i Sabina Romerów

ALEJANDRO VARGAS (MŁODY VARGAS) – syn starego Vargasa, także wróg Romerów

FRAY NELSON – kapucyn

ALFONSO CHACÍN – adwokat latyfundystów

SICAROS – płatni zabójcy

HOMO ET NATURA – organizacja pozarządowa z siedzibą w Maracaibo, broni praw Indian; przyjaciele Sabina Romera i jego rodziny, przez latyfundystów nazywani bojówkarzami

HUGO CHÁVEZ – prezydent Wenezueli

Ministownik wyrazów hiszpańskich, których użycie jest tu nieodzowne:

selwa – dżungla w Ameryce Południowej

hacendados – obszarnicy ziemscy

ganaderos – hodowcy bydła (najczęściej ganaderos są jednocześnie hacendados)

chicha fuerte – indiańska wódka domowej roboty

resistencia indígena – indiański bunt, warto ten zwrot zapamiętać – będzie się coraz częściej pojawiał w mediach

*concha de mango – skórka mango
guerrilleros – partyzantka kolumbijska*

Miejsce akcji:

Głównie pogranicze kolumbijsko-wenezuelskie, góry Sierra de Perijá, oficjalnie park narodowy, nieoficjalnie jedno z najbardziej niegościnnych miejsc na ziemi. Akcja przenosi się jednak często niżej, do miasteczek leżących u podnóża gór (wenezuelski „Dziki Zachód”): Machiques i Tokuko.

Wspomnijmy jeszcze o jednym, bo w ferworze akcji nie będzie na to czasu. Ze zboczy Sierra de Perijá Indianie obserwują nocą niezwykle zjawisko – „los relámpagos del Catatumbo” (błyskawice Catatumbo), w języku Yukpa – tapane. Na krawędzi widnokręgu o zmierzchu pojawiają się nieme błyskawice, tak jasne, że nocą można czytać książkę. Nigdy nie towarzyszą im grzmoty. Wenezuela Turística, broszura turystyczna z 1937 roku, podaje, że fenomen ten nie jest znany w żadnym innym miejscu na naszej planecie. Do dziś nic się nie zmieniło. Przed laty wodzowie Yukpa co roku wędrowali trzy miesiące nad jezioro Maracaibo, do źródeł błysków, które uważali za dzieło błękitnookiego boga Tineñipa, ukazującego się ludziom na żółtym koniu. Uczeni podejrzewają, że ten misterny spektakl zawdzięczamy wyjątkowemu ukształtowaniu terenu: tuż przy wielkim zbiorniku wodnym (jezioro Maracaibo) wyrastają sięgające pięciu tysięcy metrów n.p.m. szczyty Andów. Nigdy nie potwierdzono jednak żadnej teorii.

Przez cały czas trwania opowieści w bezchmurne noce naszą uwagę rozpraszać będą tapane.

Historia ta będzie opowiedziana w odcinkach – jak to w telenoweli. Jest to jednak szczególny jej rodzaj: telenovela nocturna, a więc kryminalna – z wartką akcją, pełna okrucieństwa, pułapek, łamigłówek i zrad.

W tej jednak wszystko wydarzy się naprawdę.

Wstęp: Światło

Nigdy nie widziałeś tak czarnej nocy.

Dlatego przez cały czas świeci się żarówka. Wisi na kablu obgryzionym przez robale. I się kołysze. Nie ma wiatru, a się kołysze... A może w oczach się już wszystkim mieni? Jest gorąca

jak żar: dotkniesz, spalisz skórę. Czuwają całą noc, wszystkie noce. Młodzi mężczyźni, najczęściej Sabinito. Siedzi na krześle przy drzwiach, pod wiatą. Tną komary, pająki łaskoczą w stopy. Wokół selwa, jej nocna mantra. Nogi wyciągnięte... tylek się zsuwa... powieki ciężą...

Ocknij się! Bądź czujny – dzieci śpią i matki śpią. Nie spały tyle lat, to teraz muszą spać! W swoim domu mają prawo do snu!

Najgorsze jest światło.

To mogą być *cunia* – świetliki.

Ale kiedy zbyt długo się nie ruszają i świecą na wysokości górskiej grani, to pewnie blask z obozu kolumbijskich *guerrilleros*. Czasem schodzą do wiosek i porywają ludzi, kradną bydło.

Ale to mogą być też tamci. Z latarkami, na motorach albo wozami. Często w kominiarkach. Przychodzili całe lata. Bili matki i córki. Palili domy i szkoły, grabili wioski. Kobiety krzyczały i rwały włosy z głowy, dzieci gryzły palce. Dziś pojawiają się w Chaktapa rzadziej, ale trzeba być czujnym.

Czy masz pojęcie, co przychodzi człowiekowi do głowy, kiedy siedzi tu na krześle całą noc?

Wszystko staje przed oczami:

Najpierw papa – Sabino. W słomianym kapeluszu i z drapiącym wąsem. Z tym zachrypłym głosem, nabrzmiałymi żyłami na rękach, silny i odważny.

Wiesz, koło drugiej w nocy podchodzą pod wioskę *tigres*, czarne pумы. Od kolumbijskiej strony, największe, do pasa. Kiedyś była taka jedna, pożerała ludzi. Papa zarzucił na plecy strzelbę i zniknął o świcie, osiem godzin szedł w górę rzeki Yaza. Przy jej źródle stał domek jego przyjaciela. Jego ciało leżało niedaleko chałupy, obok odgryziona głowa. Papa ruszył w puszcę. Czuł, że *tigre* jest blisko. Skrył się na drzewie i trafił ją w głowę. Przyniósł ciało do wioski. Był bohaterem, tylko on tak potrafił. Mówił, żeby jeść, żebyśmy wszyscy jedli. Bo jeśli zjesz pumę, już nigdy nie będziesz się jej bał.

A dynie? Jeszcze niezasiane! Papa Sabino by na to nie pozwolił.

Pod wiatą stoi motocykl, bera new leon, staruszek. Rdzewieje od dwóch lat, od kiedy zabrali papę. Prócz niego w okolicy nikt nie potrafi go naprawić.

Tak, papa musi być. Bez ojca nie ma życia.

Dlaczego nie wraca?

Okryj się kocem, noce są tu zimne. Wszystko ci opowiem, od początku.

Ale bądź czujny.

Jesteś w Sierra de Perijá.

Odcinek 1: Data

1499 rok.

Żeglugą wzdłuż wybrzeża. Morze jest spokojniejsze. Już wiedzą, że wpłynęli do rozległej zatoki. Dostrzegają chaty na palach wbitych w dno morza. Tubylcy odstawiają garnki i narzędzia i przyglądają się im w osłupieniu: obcy mają białe skóry.

Żeglarzy trzymają się żarty.

– Prawie jak Wenecja – oznajmia jeden z nich na widok drewnianych wiosek.

Dlatego nazwali tę ziemię „małą Wenecją” – Wenezuelą. Hiszpańską załogą dowodzi Alonso de Ojeda. Krzysztof Kolumb postawił stopę w Nowym Świecie siedem lat wcześniej, 12 października.

Tego dnia w wielu krajach Ameryki obchodzi się Dzień Kolumba.

W 2002 roku wenezuelskie władze zmieniają jego nazwę na Dzień Indiańskiego Oporu. Dwa lata później burzą w stołecznym Caracas pomnik Kolumba. Odkrycie Ameryki uznają za początek konkwisty i eksterminacji rdzennej ludności.

Odcinek 2: Fiesta

12 października 2009 roku. W Wenezueli fiesta. A że Indian czystej krwi jest w Wenezueli nie więcej niż dwa procent? Kogo to obchodzi? Jest okazja do zabawy.

Świętują też Indianie Yukpa w górach Sierra de Perijá, już drugi dzień. Nocną ciszę przepastnej selwy rozpraszają wrzaski z rozbawionych osad.

Ci z wiosek w wyższych partiach pasma włożyli tradycyjne stroje. Nie mówią po hiszpańsku. Palą domowy tytoń i piją *chicha fuerte*.

Ci niżej, bliżej miast, często noszą dżinsy i t-shirty. Mówią ze sobą w języku yukpa, ale znają też hiszpański. Piją rum ze sklepu. Jak w wiosce Chaktapa.

Tu jest papa – Sabino Romero, jest Lucy, jego żona, są dzieci i kuzyni. Nasze zdrowie! Rozłożyli się pod wiatą, papa bajdurzy, kury już śpią, świny jeszcze łążą, papugi siadają na ramionach i skubią spalone karki, dzieci parskają śmiechem.

Nagle zabrakło rumu.

Odcinek 3: Metry

Kilkanaście godzin później, wioska Guamo Pamocha, pół godziny pieszo od Chaktapa.

Z selwy podnoszą się poranne mgły, odsłaniając widok na okolicę: kilka chat, dwie zagrody z bydłem, pomiędzy nimi dojarnia, obok rzeczka i mały most. Dalej droga prowadząca do Chaktapa.

Na niej:

Na trzydziestym piątym, czterdziestym siódmym, sto dwunastym, dwieście siedemdziesiątym ósmym i trzysta jedenastym metrze od mostu: krew.

Na czterdziestym piątym: krew, naboje.

Na sto dwudziestym siódmym: czapka.

Na dwieście dwudziestym: krew, dziecięca bluza i skórzany sandał.

Odcinek 4: Sierra de Perijá

Tak, *amigo*, dobrze się domyślasz.

Zabili.

Ale zanim dowiesz się, co się wydarzyło, musisz wiele zrozumieć. Zbrodnia może tu mieć wielu ojców.

Poproś przewodników turystycznych w Caracas, by cię tam zabrali. Odpowiedzą: nawet się tam nie zbliżamy.

Dlatego najpierw jedziesz nocnym autobusem do Maracaibo nad zatoką, do której zawinęli konkwistadorzy.

W 1917 roku wypływa z niej czarna ciecz. Już nic nie będzie jak dawniej. Ropa ściąga do kraju biznesmenów i zwykłych

awanturników. (Dziś wydobywa się tu osiemdziesiąt pięć procent całej wenezuelskiej ropy). Rosną dysproporcje majątkowe. Z północy importuje się kanciaste chevrolety i fordys. Pięćdziesięcioletnie trupy ciągle jeżdżą po mieście. Niby nie można – ale po pijaku jeżdżą chyba wszyscy, miejsca w bród – ulice są tu szerokie jak zagony na rancho.

W Maracaibo wynajmujesz samochód. Kierunek: południowy zachód.

Ci, którzy nie załapali się na ropę, zajmowali ziemię. Zostawiali *los hacendados* – latyfundystami, najczęściej *los ganaderos* – hodowcami bydła. Dziwne miejsce. Słońce zacopowane brudnymi chmurami. Wilgotno tak, że można pić powietrze. Ogrodzenia, zmurszałe budynki, zza krzaków wystają łby koni i sombrera robotników. W porze deszczowej robi się z tego wielkie bagno. Poza tym pustka. Czasem tylko przejedzie dżip z ciemnymi szybami. Co chwila kontrole mundurowych: różne jednostki, długie nazwy, dużo skrótów. Wszystkie pogranicza są takie same. Drelichowe męskie mundury śmierdzą identycznie. Czuć od nich tanią wódką i papierosami. Chcą łapówkę.

To prowincja, ciągle teren *macho*.

Tylko lalusie i chłopci chodzą w sandałach. Prawdziwy mężczyzna nosi buciory, najlepiej skórzane, choćby upał gniótl. Koniecznie długie spodnie. Nie dba o zdrowie, pali mocne i pije rum. Mały *macho* może opluć dziewczynkę albo wytargać ją za włosy i przeciągnąć po szkolnej posadzce, bo już wie, że mężczyzna kobietę posiada – ma ją obowiązek chronić, ale i prawo karać. Musi przynosić do domu pieniądze, a coraz częściej nie może, bo nie ma roboty. Więc kiedy leży spocony w hamaku, dochodzi do wniosku, że została mu już tylko spluwa. Zresztą założenie jest tu jedno: żyje się krótko albo krócej. Tu *macho* ma mniejsze opory. Jego ojciec był taki sam. Jeśli był w ogóle. Większość z nich wychowuje się bez ojców. Papa wcale być nie musi.

Wielu żyje w Machiques, gdzie znajduje się siedziba związku hodowców bydła. Jeszcze więcej w małej La Morena. Tu życie nie jest warte pięciu bolivarów. Dalej wioska Tokuko,

tak zwane rządowe centrum pilotażowe – ośrodek administracyjny dla okolicznych osad indiańskich. W tę i we w tę jeździ stary gruchot z lodami. Gra melodyjkę: rosyjską *Katiuszę*.

A potem już wały dżungli, Sierra de Perijá – wysokie góry, zwykle przykryte gęstą mgłą – granica z Kolumbią, a w zasadzie jej brak. Prawo selwy: przemytnicy kokainy i benzyny (litr w Wenezueli kosztuje około jednego amerykańskiego centa), *guerrilleros* – kolumbijska partyzantka FARC, kontrolująca przemyt, kolumbijscy *paramilitares* – prawicowe bojówki, strzelające do *guerrilleros*, wenezuelska armia, wreszcie zwykle bandziory.

A tam wysoko w górach – widzisz te jasne słupy dymu?

To wioski Indian Yukpa. Tam mieszka rodzina Sabina Romera.

Bierzmy muła, chodźmy do nich.

Przekraczamy górskie potoki, ścieżka wiję się między ścianą traw i mokrych lian. Wreszcie jest – Chaktapa.

Są ruiny domów, napis na murze: *Resistencia indígena!* Spalenizna. Blaszkaki. Parę zwierząt. Małe poletko. Żarówka. Trochę plastikowych naczyń. Kamera video.

Brakuje: mąki, cukru, soli, zeszytów, długopisów, tablicy do pisania, mydła, ubrań.

Ziemi.

Ojca.

Odcinek 5: Wojna

Stąd jak na dłoni widać ten szmat ziemi, który roztacza się po samą zatokę. To od niej trzeba zacząć, to o nią ta wojna, która trwa już pół tysiąca lat.

W 1533 roku hiszpańskie wojska Ambrosia Alfingera wysiedlają Indian znad jeziora Maracaibo. Jednak dopiero napływ imigrantów po wybuchu petrobonanzy spycha Yukpa coraz głębiej w góry. W czasach dyktatury Jiménez (1952–1958) żyzne ziemie na zachód od Maracaibo zajmują kolejni *hacendados*. Coraz brutalniejsi.

W latach siedemdziesiątych Yukpa mówią „dość!”.

Indianami dowodzi José Manuel Romero, ojciec Sabina Romera, urodzony wódz: nie cofnie się o krok.

Po drugiej stronie Guillermo Vargas, latyfundysta. Gruby, przysadzisty. Do celu po trupach.

Rozpoczyna się wojna. Groźby i strzelaniny, zasadzki i płatni zabójcy, porwania i egzekucje. Indianie stają się bezbronni.

W latach dziewięćdziesiątych uciekają przed latyfundystami wysoko w góry, gdzie deszcze wypłukują wszystko, co nie wgrzyło się w ziemię. Przeżyli dzięki uprawie awokado.

Wtedy na godnego następcę swojego ojca wyrasta Sabino Romero. Czarny wąs, spluwa za pasem. Kiedy mówi, wszyscy go słuchają. Ostatnia instancja. Radzi, karci i pociesza. Za żonę i dzieciaki da się pociąć. Jak wszyscy Yukpa stroni od narkotyków. Pije mało. Powtarza dzieciom: palenie zabija. Kilka razy próbują go zamordować.

Porywają jego brata i wuja, jego nie zastają w domu – schodzi akurat ścieżką przez dżunglę do Tokuko. Zza krzaków wyskakuje lufa. Sabino jest szybszy.

Aresztują go, ale szybko wypuszczają na wolność. Uznają, że zabił w obronie własnej.

Odcinek 6: Mesjasz

To niezwykły rok.

Po górach niesie się jak echo wieść, że w Wenezueli pojawił się człowiek, jakiego jeszcze nie było. Podobno przyleciał już osobiście helikopterem do Indian Barí i obiecał im pomoc. Jeśli zleciało się boso z gór do Tokuko, można go było wreszcie zobaczyć w telewizji. Występuje w czerwonej koszuli. W domach zbierają się tłumy, słuchają jego przemówień jak zahipnotyzowani. Koniec z niesprawiedliwością, mówi. Poniżeniem! Wykluczeniem! Bandyckim kapitalizmem!

Simón Bolívar, znacie takiego, hę?

Początek dziewiętnastego wieku. Nasz *libertador*, wyzwoliciel spod hiszpańskiej okupacji. Wiecie, co mówił? Wiecie, czy nie?

Że ludzie rodzą się nierówni...

Prawda? Ale państwo jest po to, żeby za pomocą prawa, kultury i sztuki te nierówności likwidować! Z bogactw naturalnych muszą korzystać wszyscy Wenezuelczycy, a nie garstka chciwych kapitalistów!

Dlatego przywrócimy ropę narodowi.

I jeszcze coś.

Ziemia dla Indian, jej prawowitych gospodarzy!

Mówię to ja, wnuczek Indianki!

I rąbnął pięścią w stół.

Nazywa się Hugo Chávez Frias.

W 1999 roku został prezydentem Wenezueli. Zapowiedział socjalizm dwudziestego pierwszego wieku. Uchwalił jedną z najbardziej postępowych konstytucji na świecie. Po raz pierwszy w historii przyznano w niej prawa Indianom, w tym prawo do ziemi.

Sabino wraca pewnego dnia z Tokuko i oznajmia: „Idę do szkoły”. Chávez uruchomił w całym kraju misję Robinson – darmową naukę pisania i czytania. Sabino odświeża sobie szybko kilka lat nauki u kapucynów w Tokuko. W 2005 roku w kraju znika analfabetyzm.

Do Chaktapa dzięki Chávezowskiej misji Adentro docierają też po raz pierwszy leki. Isidro, syn Sabina, przeszkolony przez lekarzy, codziennie podaje dzieciakom witaminy.

Wszyscy dorośli z Chaktapa dostają dowody osobiste. Po raz pierwszy czują, że ktoś się z nimi liczy. Ruszają hurmą do urn wyborczych – odtąd w Machiques zawsze wygrywa człowiek Cháveza.

Prezydent uchwała Prawo demarkacji i gwarancji środowiska życiowego i ziemi dla ludów indiańskich. Zobowiązuje instytucje państwowe do rozgraniczenia ziem należnych Indianom. Yukpa zakładają czerwone koszulki z jego wizerunkiem.

Nad Sierra de Perijá krąży widmo rewolucji i zalewa oślepiającym światłem jej mroczne kotliny.

Odcinek 7: Sicaros

Ale mijał czas.

Bardzo dużo czasu.

I nikt nie przyjeżdżał w sprawie ziemi.

Nikt.

Zupełnie.

A przepisy mówiły jasno, przecież wszyscy już umieją czytać: w przypadku zwłoki urzędników Indianie mają prawo do „autodemarkacji” – mogą zagarnąć sobie ziemię sami.

A Sabino nie był sam. Był jeszcze ojciec – stary, ale niezmordowany w walce. Był Olegario – młodszy kuzyn z Guamo Pamocha. To był duet, chemia: Sabino i Olegario, Olegario i Sabino. Obaj z tej samej gałęzi Yukpa – Guasamo. Kiedyś nierozłączni. Sabino – czystej krwi Indianin, niski, żylasty; Olegario – Metys, wysoki, atletyczny. Ten zwinny i przebiegły, tamten silny jak wół i uparty. Sabino był dla niego jak ojciec. Za młodu razem polowali na dzikie świnie, razem się smucili, razem pili tani rum. Aż Olegario wyjechał do wielkiego miasta, do Valencii. Na piętnaście lat. Namawiał Sabina na lepsze życie, ale Sabino odmówił: jego miejsce było w Sierze. Okazało się, że Olegario cierpiał tam taką samą biedę jak w górach. Żył z rodziną na ulicy, jego bracia poszli w narkotyki. Yukpa szykowali się wtedy do decydującego starcia z Vargasami. Wrócił.

Znów ruszył do walki ramię w ramię z Sabinem. Zajęli hacjendy położone w niższych partiach gór, zarządzane już przez Alejandra, syna starego Vargasasa. Jedna za drugą: Tizina, Dinamarca, Kusare, Brasil.

Wtedy pojawili się oni.

Sicaros. Warchoły, ludzie od haraczy, płatni zabójcy wynajęci przez Vargasów. Przeważnie Kolumbijczycy.

14 kwietnia 2005 roku. W Chaktapa zjawia się stary Vargas z trzydziestoma *sicaros*. Pałą wszystkie domy, chlewy i ziarno. I zwierzęta, żywcem.

19 lutego 2006 roku. Sabino wysyła list do Vargasasa. Proponuje dialog. Tłumaczy: zgodnie z prawem dostanie pan od rządu odszkodowanie za ziemię. Potrzebujemy pól, żeby przeżyć.

Nie dostaje odpowiedzi.

29 kwietnia 2006 roku. Vargas z grupą *sicaros* niszczy w Chaktapa wszystkie odbudowane domy.

Wracają trzy dni później. Palą wszystko, co zostało.

23 kwietnia 2008 roku biją dzieci i kobiety. Przystawiają im lufy do głów.

Yukpa piszą petycje i prośby do Cháveza. Krzyczą: „Gdzie pan jest? Niech się nas pan nie boi! Chcemy tylko rewolucyjnej sprawiedliwości!”.

Pałac Miraflores w Caracas milczy.

Po zajęciu części ziemi *hacendados* przez Sabina i Olegaria troje dzieci Sabina – synowie Samuel i Isidro i córka Zenaida – zostaje wyrzuconych ze szkoły parafialnej w Tokuko przez brata kapucyna Fraya Nelsona.

Pytam:

– Proszę ojca, dlaczego te biedne, z maltretowane dzieci? O co w tym wszystkim chodzi?!

Odcinek 8: Atak

– Bo musi być porządek. Mieszkały w naszym internacie. Isidro nie przyszedł rano na lekcje i wrócił o dziewiątej wieczorem. Tłumaczę: „Jeśli chcesz się u nas uczyć, musisz stosować się do naszych reguł”. Wyszedł i nigdy nie wrócił. Samuel? Ukradł trzysta bolivarów, inne dzieci potwierdzą. A Zenaidę zabrał ze szkoły Sabino. Przeszedł z bronią, krzyczał z pianą na ustach: „Najpierw cię pobiję, potem wniosę na wieżę kościoła, zrzucę na dół, spalę twoje ciało, a na końcu całą misję”. Misjonarze zaprowadzili tu pokój między zwaśnionymi plemionami! – mówi ksiądz Fray Nelson.

– Bo region produkuje mięso i dwieście tysięcy litrów mleka rocznie, które Wenezuela ciągle musi importować, bo ropa odebrała ludziom rozum i ziemia przez lata leżała odłogiem. Oddajmy ziemię Indianom, a kraj umrze z głodu. Oni mawiają: „Nauczylismy się hiszpańskiego, by żądać pieniędzy”. Szantażyści. Zatrudnieni przez nas kradną krowę i mówią: „Płacisz więcej albo ją zabieramy”. Chcą ziemię po samo Maracaibo! – mówią latyfundiści.

– Odrzucają nawet chávezowskie rady komunalne! Agresywni, nieobliczalni, narkomani, alkoholicy, złodzieje. Chcą

zniszczyć Kościół katolicki – mówią inni.

Odcinek 9: Obrona

Czujesz czasem, że absolutnie wszystko, co robisz, po prostu nie ma sensu? Że życie jest żenującym przymusem? Popijasz wieczorami? A może, tak między nami, przyszło ci kiedyś do głowy, że samowolne opuszczenie tej farsy nie będzie bardziej nieusprawiedliwione niż obsadzenie cię w jednej z jej ról? To *desesperanza*, po hiszpańsku „brak nadziei” – obok przemocy najgroźniejsza choroba Ameryki Łacińskiej. Cierpią też na nią Yukpa, ale właśnie z nią walczą, całym sercem.

Dzicy? Spotkasz ich też w miastach, ubranych w spodnie i koszule. Wielu skończyło uniwersytety. Brzydzisz się ich, bo mają zniekształcone wargi? To od pestycydów po robotach u *hacendados*.

Boisz się ich, bo podważają fundamenty twojego świata. Kwestionują fetysz wzrostu gospodarczego: twierdzą, że coraz rzadziej przynosi szczęście, że im wyższy, tym szybciej wykończymy tę planetę. Podważają ideał państwa narodowego: Wenezuela nie jest najważniejsza, jest kilka spraw ważniejszych.

Antropolodzy z Homo et Natura:

– Księża wyrzucili dzieci Sabina na zbity pysk! Yukpa chcą tylko kawałka płaskiej ziemi u stóp gór, by móc cokolwiek uprawiać. Nie osiadą w miastach. Są z natury nomadami, przemieszczają się w obrębie swoich terytoriów. Już nie pracują na latyfundiach, bo *ganaderos* płacili im dwadzieścia bolivarów dziennie albo wcale! Traktowali ich jak bydło.

Redaktorzy portalu Aporrea.org:

– Rady komunalne miały stanowić podstawową jednostkę demokracji partycypacyjnej, służyć realizacji chávezowskich projektów i być narzędziem kontroli społecznej (a w rzeczywistości rządowej). Ale Yukpa nie akceptują żadnego zwierzchnictwa. Bronią swojej organizacji, hierarchii i prawa. Odpowiadają rządowi: „Nie potrzebujemy waszych komun, bo mamy tu swoją prawdziwą komunę od tysięcy lat!”.

Naczelnik Yukpa z Tokuko:

– Nie rozumiemy, jak można spowiadać się drugiemu człowiekowi. Bóg jest między nami, nie w budynku. Dlatego Yukpa nigdy nie przyjęli wiary katolickiej.

Kelys Amundaray, antropolog:

– Ziemia jest dla Yukpa pradawnym mitem: tylko ona wiąże rodzinę, bez niej nie istnieją. Inaczej niż w społeczności kreolskiej ojciec jest tu warunkiem egzystencji rodziny.

Odcinek 10: Zbir

Nie możemy tu jednak, *amigo*, nikogo wybielać, bądźmy uczciwi. W Wenezueli nic nie jest czarno-białe.

A kochać można też ojca zbira.

Sabino Romero, lat czterdzieści pięć, jest uzależniony od kokainy.

Naćpany staje się nieobliczalny: bije żonę i dzieci.

Nadużywa alkoholu.

Regularnie rabuje bydło latyfundystów, co potępiają sami Yukpa. Parę lat temu ze swoim wspólnikiem w kominiarkach skradli nocą Vargasowi trzydzieści cztery krowy.

Pospolity bandyta skazywany za rozboje. Na koncie kilka zabójstw.

Postrach Sierra de Perijá.

Dlatego nie zdziw się, gdy ci teraz opowiem, co wydarzyło się we wtorek 13 października 2009 roku w Guamo Pamocha: jak na drodze do Chaktapa znalazły się czapka, sandał i krew.

Odcinek 11: 13 października 2009 roku, Guamo Pamocha

Olegario kąpie się wieczorem w rzece. Nagle słyszy krzyki dobiegające z placu pod dojarnią. Wyskakuje z wody, ubiera się i biegnie.

W bramie zagrody z bydłem stoją Sabino i Aníbal, kuzyn Olegaria. Kłóćą się. Za Sabinem jego kompanii z Chaktapa: synowie Samuel i Isidro, zięć Evert i brat Everta, Gatu z osady Kuse. Są pijani, Sabino do tego naćpany kokainą. Uzbrojeni: strzelby i pistolety. Mierzą do wszystkich wokoło, nawet do dzieci. (Ludzie z Pamocha byli bez broni, mogą potwierdzić, przyglądało się temu koło pięćdziesięciu osób!). Wpadają do zagrody, chcą ukraść krowę. Na drodze staje im Aníbal.

– Kto się postawi, zabić! – krzyczy Sabino.

– Sabino, uspokój się... – prosi Olegario.

Evert rzuca się z pięściami na Aníbala. Olegario ich rozdziela. Sytuacja się uspokaja, przez chwilę obrzucają się jeszcze obelgami. Sabino ze swoją zgrają wycofują się przez most w stronę Chaktapa.

Po kilku minutach zza mostu słyhać strzały. W Pamocha padają ranni. Gdy inni ich opatrują, Olegario wpada do chaty swojego ojca Felipe.

– Dawaj strzelbę! – krzyczy. – Ile masz jeszcze naboii?!

– Szesnaście!

Wybiega. Tamci są już około czterdziestu metrów za mostem i uciekają w stronę Chaktapa. Olegario oddaje z mostu tylko jeden strzał w powietrze.

Dziesięć minut później z selwy słyhać kolejne strzały.

Rozwścieczona banda Sabina spotyka na drodze ciężarną Nireyę, siostrę Olegaria. Sabino każe ją zastrzelić.

Evert staje w jej obronie.

– Sabino, kobiet nie tykaj.

– To nie twój problem!

Gatu zabija Nireyę.

Sabino zabija Everta.

Bo nie był posłuszny. Jednak zanim umrze, Evert zdoła jeszcze nacisnąć spust i ranić Sabina.

Zostawiają trupy na ścieżce i nikną w ciemności.

Odcinek 12: *Concha de mango*

Popularny owoc w Wenezueli. Przed obraniem trzeba go starannie umyć, ale mokry łatwo wyslizguje się z rąk.

Tego metaforycznego zwrotu używa się tu do opisanie rzeczy pozornie prostej, która jednak może wymknąć się spod kontroli.

Właśnie poślizgnąłeś się na rozdeptanej skórcie mango i rąbnałeś głową w chodnik.

Latyfundystom bardzo zależy, żebyś uwierzył w ich wersję z dwóch poprzednich odcinków.

Concha de mango. Właśnie tym zwrotem określa się tutaj sprawę Sabina.

Dlatego teraz wysłuchaj jego.

Odcinek 13: 13 października 2009, Guamo Pamocha

Nagle zabrakło rumu.

Wysłałem Cristóbala po parę butelek do sklepu za Pamocha. Przybiegł za godzinę zdyszany:

- Pobili mnie!
- Kto? – pytam.
- W Guamo Pamocha!
- Za co?!
- Mówili, że jesteś złodziej i kradniesz wszystkim bydło!

Postawiłem się!

Zmierzchało, wyszliśmy w siódemkę, w tym dzieci. Kacyk zawsze wychodzi rozwiązywać konflikty ze swoimi ludźmi, nigdy sam. Nie szliśmy na wojnę – broń miał tylko Evert!

W Pamocha Evert podszedł do Aníbala.

- Czemuś pobił Cristóbala? – zapytał.

I od razu zaczęli się tłuc. Mieli jeszcze stary zatarg o kobietę. Wtedy wpadł Olegario i wypalił im ze strzelby pod stopy. Rozdzielili się. Krzyknąłem:

- Idziemy stąd!

Odwróciłem się i poczułem, że dostaję w głowę czymś twardym. Uderzył Israel, kumpel Olegaria. Samuel, mój syn, rzucił się na niego i zaczął go okładać. Znów ich rozdzielili.

Przeszliśmy przez most i już byliśmy na drodze do Chaktapa, kiedy się odwróciłem i zobaczyłem Aníbala, Israela i Olegaria z bronią w rękach. Krzyknąłem do naszych:

- Uciekajcie!

Strzelił Israel, kula trafiła w konia i moją córeczkę. Potem Olegario wypalił z osiem razy, oberwałem. Wtedy zaczął do nich grzać Evert.

Nie było już z nami Gatu. Pobiegł po pomoc do Chaktapa. Po drodze spotkał Nireyę. Ostrzegał ją:

- Nie idź tam, babo, bo cię zabiją!

Ale nie posłuchała. Nadziała się na wściekłego Everta. Wiedział, że Nireya pochodzi z Pamocha, był wściekły i zabił ją w amoku. Zaraz po tym dostał kulkę od Olegaria i padł na ziemię. Powlekliśmy go w stronę Chaktapa. Moją córkę

wsadziliśmy na konia, krwawiła. Trupa Everta musieliśmy zostawić w lesie.

Krzyczałem:

– Dlaczego Olegario do nas strzelał?!

Mocno krwawiłem, traciłem przytomność.

Odcinek 14: Noc

Z 13 na 14 października.

Maracaibo. W mieszkaniu Kelys Amundaray z Homo et Natura dzwoni telefon. W słuchawce syn Sabina: płacz, krzyk.

Kelys i profesor Lusbi Portillo wsiadają w dżipa i pędzą do Sierry. Trzysta kilometrów. Po raz pierwszy nie zatrzymują się na wysokich progach zwalniających.

Sabino ciągle krwawi. Przekazuje talizman wodza Sabinito.

Jadą do szpitala.

Dzień później: w Guamo o świcie pojawia się prokurator. Zabezpiecza ślady na drodze do Chaktapa. W Chaktapa nie pojawia się nikt.

Do sali, na której leży Sabino, wkraczają żołnierze. Zabierają go do więzienia wojskowego w Macoa. Zakaz odwiedzin i kontaktu z adwokatem.

Jego prawnik zwraca się do sądu najwyższego z wnioskiem o przeniesienie sprawy (zgodnie z konstytucją) do jurysdykcji indiańskiej. Bez skutku – proces odbędzie się w Trujillo.

Zarzuty przeciwko Sabinowi: podżeganie do zabójstwa.

Zarzuty przeciwko Olegariowi: bezprawne użycie broni.

Zagadka: dlaczego Olegario strzelał do Sabina?

Odcinek 15: Więzienie

Przez dżunglę do Tokuko dzieci Sabina schodzą boso, żeby oszczędzać buty. Na skraju wsi przebierają się w krzakach w czyste ubrania – nie chcą przynieść papie wstydu. Często mokną, bo deszcz w Sierra de Perijá bywa bardziej bezwzględny niż *sicaros*. Wsiadają na pakę ciężarówki do Machiques, dwie godziny drogi. Potem bus do Maracaibo – trzy. Dalej nocny do Trujillo. Nie mają pieniędzy, śpią na ulicy. Stają pod żelazną bramą, żona Lucy i dzieci Sabina:

Miriam (26 lat),

Guillermina (25 lat),

Sabinito (23 lata),
Isidro (21 lat),
Zenaida (19 lat),
Samuel (18 lat),
Marilia (10 lat),
Leonel (9 lat),
Briceño (4 lata).

To, *amigo*, latynoskie więzienie. Czy wiesz, co to znaczy laty-no-skie więzienie?

Ponieważ córki Sabino są piękne, strażnicy stawiają im warunek: wpuszczą je, jak się rozbiorą. Dziewczyny uciekają z płaczem.

Nie mogą powiedzieć papie, że najmłodsze dzieci strasznie za nim tęsknią, bo nie widziały go już dwa lata. Ani że mówi się o nim w telewizji! Ludzie chodzą w koszulkach z napisem: „Król Sierra de Perijá i rewolucji”, „Dziś wszyscy mamy na imię Sabino!”, w Caracas organizują w jego obronie manifestacje! Sabinitowi urodziła się córka, dał jej imię Sabina. Powtarza, że to imię musi przetrwać.

On nie może się im poskarżyć, że nie wypuszczają go z celi, dają mu do picia wodę z benzyną i każą jeść cement. Grożą mu śmiercią. Kiedy odmawia udziału w mszy, sadzają go na krześle w latrynie i godzinami nie pozwalają mu zasnąć.

Wszystkie informacje przekazuje Lucy. Tylko ona ma prawo do odwiedzin raz w tygodniu. Sabino pyta ją nieustannie:

– Dlaczego Olegario strzelał?

Po powrocie z więzienia w selwie dzieci znów ściągają buty.

Spójrz... Podeszwy ich stóp są czarne...

To nie brud.

Odcinek 16: Zysk

Stąpają po węglu.

W Sierra de Perijá leży nawet na powierzchni ziemi. Odkąd odkryto te bogate złoża, Yukpa zyskali nowego wroga: Carbones del Gausare, potężną spółkę węglową rządu wenezuelskiego, kompanii Anglo American i amerykańskiej Peabody. Pod wioskami Yukpa znajdują się też obfite złoża uranu i koltanu. Pieniądze na ich wydobycie wyłożyły Iran i Rosja. Dla

zabezpieczenia inwestycji Chávez planuje w Sierra de Perijá budowę pięciu baz wojskowych.

Próby uruchomienia kopalni blokują aktywiści z Homo et Natura.

Odcinek 17: Hipotezy

Być może Chávezowi zależy na podtrzymywaniu opinii o Sierra de Perijá jako siedlisku bezprawia. Daje mu to argument na rzecz militaryzacji i wyludnienia zamieszkanym obszarów i eksploatacji złóż.

Być może rewolucje upadają, nie dlatego że są zbyt radykalne, ale dlatego że są zbyt łagodne.

Być może w kosza każdej rewolucji wpisana jest zdrada.

Odcinek 18: Zdrada

Na stronę latyfundystów przeszedł na pewno jeszcze przed strzelaniną w Guamo Pamocha. Olegario Romero, lat trzydzieści trzy, walczył nie po to, by w walce umrzeć, lecz by wreszcie mieć.

Być może dręczył go kompleks Sabina, któremu zawdzięczał funkcję kacyka w Pamocha.

Coraz częściej widywał się z ludźmi *ganaderos*. Popijali i zanosili się śmiechem. A kiedy, *amigo*, rozmawiasz po ludzku z wrogami, może się okazać, że wiele was łączy. Był słaby, a oni sprawili, że poczuł się ważny: wozili go dobrymi samochodami, zapraszali na kawę do miasta, był gościem audycji radiowych.

Jego obrońcą zostaje adwokat *ganaderos* – Alfonso Chacín, latyfundysta, przyjaciel księdza Nelsona. Machiques plotkuje: kiedyś zlecił zabójstwo konkurencyjnego adwokata.

Najprawdopodobniej latyfundiści kupili Olegaria.

Miał rozsiewać plotki o kradzieży bydła i fałszywymi zeznaniami pogrążyć Sabina przed sądem.

Niewykluczone, że strzelał, bo chciał go zabić.

Awantura w Pamocha spadła wrogom Yukpa jak z nieba: wiedzieli, że zwycięstwo Yukpa w walce o ziemię będzie precedensem i wykarczuje ścieżkę dla innych Indian.

Chcieli, by Sabino wreszcie zamilkł na zawsze.

Odcinek 19: Finał

Wenezuelskie sądy zżera korupcja.

PROVEA, krajowa organizacja ochrony praw człowieka, stwierdza jawne manipulacje procesowe: test na obecność kokainy w organizmie Sabina przeprowadzono niezgodnie z przepisami. Torturowano świadków, by zeznawali na jego niekorzyść. Wersja latyfundystów i Olegaria jest niewiarygodna: Sabino postrzelono czterokrotnie w plecy – musiał oberwać w czasie ucieczki. Do dziś ma w ciele jedną kulę.

Gdy Chávez rozpoczął walkę z dysproporcjami majątkowymi, latał helikopterem i budował w dżungli szkoły, za co Indianie całowali go po rękach, lecz zapominał, że prowadzące do nich drogi zalewa błoto, a w gąszczu nieprecyzyjnych przepisów giną materiały budowlane, wykonawcy i idee. Zaszczepił ducha organizacji w społeczeństwie od lat pogrążonym w obywatelskim marazmie: powstawały spółdzielnie i inicjatywy społeczne. Odkąd ugrzęzły w bagnie biurokracji i korupcji, najgorliwsi organizują rewolucję w rewolucji.

Odcinek 20: Lulu

W Sierze powiadają, że Yukpa nie zdobyliby się pewnie na wojnę na śmierć i życie, gdyby nie wydarzenia z 22 lipca 2008 roku.

Przyjechali tego dnia koło trzynastej – stary Vargas i sześciu *sicaros*. Nad rzeką spotkali córki Sabina. Ciągnęli je za włosy po drodze. Krzyczeli:

– No, gdzie jest wasz tatuś?!

Wtargnęli do domu. Sabina nie było. Bili kobiety, dziadek José rzucił się im na pomoc. Dostał pięścią w twarz. Vargas, atleta, podniósł go ponad głowę i z całych sił rzucił na kamienie. Dziadek wstał i krwawiąc, zaczął uciekać. Biegł w stronę lasu, a oni strzelali mu w nogi. Godzinami błądził w szoku po selwie, wrócił nocą i pomalował twarz w czarne barwy wojenne. Nie jadł i wymiotował krwią. Nie mówił po hiszpańsku, pokazywał głowę i jęczał „*lulu, lulu*” – boli, boli...

Zmarł tydzień później. Miał sto dziewięć lat.

Owinęli jego ciało w ozdobną tkaninę. Orkiestrę na pogrzeb załatwił Olegario. Stał na pogrzebie koło Sabina. Kobiety łkały

i dla otuchy, jak każe tradycja, smagały ciało zmarłego długimi bitymi: papa się nie boi, na tamtym świecie będzie mu milej.

Sabino wściekle syczał:

– Za tę śmierć zapłacą!

Do Chaktapa schodzili się Yukpa z innych komun. Nikt w okolicy nie widział wcześniej takiej siły. Ze strzałami w dłoniach, z twarzami umazanymi na czarno szli jarami i grzbietami wzgórz, sunęli bezszelestnie wąskimi ścieżkami w gęstwinie selwy, by u podnóża gór utworzyć falangę i wtargnąć na hacjendy.

Nie padł ani jeden strzał. Przerażeni robotnicy podnosili ręce, wskakiwali na konie i uciekali w tumanach kurzu. Yukpa otworzyli zagrody i wygonili bydło, by nikt nie posądził ich o kradzież.

Niektórzy mówią, że na pogrzebie ojca Sabino stał nad grobem z zaciśniętymi pięściami i pierwszy raz w życiu z oczu płynęły mu łzy. Inni, że to kłamstwo – przecież prawdziwy rewolucjonista nigdy nie płacze.

Czasem zaszkłą mu się tylko oczy.

Epilog

11 maja 2011 roku w wyniku presji opinii publicznej i organizacji pozarządowych po wieloletniej walce sąd uniewinnił Sabina Romera.

11 października 2011 roku Hugo Chávez ogłosił zajęcie dwudziestu pięciu latyfundiów, które po wypłaceniu odszkodowań właścicielom zostaną przekazane na własność Indianom Yukpa. Dekret wszedł w życie dzień później – w Święto Indiańskiego Oporu.

2011

Entropia (ulotne)

UNESCO: czterdzieści trzy procent z sześciu tysięcy języków świata jest zagrożonych wyginięciem. Dwieście języków wyszło z użycia w ciągu ostatnich trzech pokoleń (sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat), pięćset trzydzieści osiem jest w stadium krytycznym, pięćset dwa są bardzo zagrożone, sześćset dwadzieścia trzy zagrożone, a sześćset siedem jest narażonych na wyginięcie. National Geographic Society: większość plemion pierwotnych zasymilowała się z resztą społeczeństwa. Około dwustu pięćdziesięciu milionów członków autochtonicznych plemion żyje w stanie permanentnego zagrożenia za sprawą agresywnej polityki władz i działań międzynarodowych koncernów.

W 2009 roku wędrowałem przez marokański Atlas. Na dwie noce zatrzymaliśmy się w Amezril, wsi położonej na wysokości 2200 metrów n.p.m. Do najbliższego miasteczka są trzy godziny drogi ciężarówką – nad przepaściami. W jedynym sklepiku brakuje chleba i wody, ale zaplecze pomieszczenia wypełniają zakurzone do granic możliwości skrzynki z butelkami coca-coli.

Na świecie wciąż żyje szacunkowo sto plemion, które skutecznie izolują się od cywilizacji. Ewentualny kontakt z wirusami i chorobami białego człowieka skazuje ich na pewną śmierć.

„Kto zajmował się termodynamiką, natknął się zapewne na pesymistyczną formułę powiadającą, że »entropia wzrasta do zera«. Różne temperatury dążą do wyrównania. Takie samo zjawisko zachodzi wszędzie. Napięcia elektryczne chcą się wyładować, kolory zmieszane dają szary, jesteśmy świadkami pewnej niwelacji ziemi [...]. W sferze praw ludzkich takie zszarzenie i płycizny da powolny proces ujednostajnienia i zestandaryzowania nie tylko przez zmechanizowaną cywilizację, która staje się, nawet z drobiazgami powszedniego dnia i strojem, jednakowa i tandetna, ale też radio, prasa i kino robią z nas powoli miliony i miliardy jednakowo zaopatrzonych w sztancowane idee ludzi. Entropia wzrasta do zera.

Kiedy się wędruje po świecie, wydaje się, że nawet pory roku tracą oczywiste granice i zlewają się w jedną szarą, gdyby nawet była wieczną kalifornijską wiosną, porę roku” – pisał Zygmunt Haupt w 1944 roku w opowiadaniu *Entropia wzrasta do zera*.

Do dyskusji: czy świat kolorowy i różnorodny b y ł, a współczesność przynosi już tylko gwałtowne ujednolicenie, monotonię i szarzyznę pod złudnym pozorem różnobarwności? Entropia naprawdę wzrasta do zera?

2011

Aluna

Prośba

Mama Bernardo prosi, by bardzo uważnie wyobrazić sobie Ziemię za sto lat.

Potem nalega, by w szczegółach zobaczyć ją za lat tysiąc. I, co oczywiste, być może żyjących na niej jeszcze ludzi.

A potem – za dziesięć tysięcy lat.

Za sto tysięcy lat.

Za milion lat.

Za miliard lat.

Za pięć miliardów lat. Mniej więcej wtedy jedna z trzydziestu miliardów bilionów gwiazd we Wszechświecie, lokalnie zwana Słońcem, wejdzie nieuchronnie w fazę czerwonego olbrzyma – rozrastając się i wypalając, pochłonie trzy najbliższe leżące planety, również tę wzruszająco błękitną. Wiele wskazuje na to, że jedynymi świadkami tego spektakularnego widowiska będą szczury, jej ostatni mieszkańcy. Ale *mama* Bernardo nie musi o tym wiedzieć. Wystarczy, że każe się nam zastanowić: gdzie będziemy wtedy my?

Zresztą nie ma go nawet jak dopytać. *Mama* Bernardo żegna się niepostrzeżenie, błogosławi nas i wślizguje w zmoczoną ulewą dżunglę.

I mniej więcej tak to się wszystko zaczyna.

Oni

Nie potrafią jeść kanapek jak biali ludzie. Poczęstowani, rozkładają kromki i wybierają po kolei pomidory, jajka, cebulę i całą resztę.

Wszystko wskazuje na to, że wywiezieni do metropolii, przeżyliby szok.

Pewnie nie wszyscy – część mieszka nie dalej niż pięć kilometrów od cywilizacji. Jednak wielu najstarszych nie widziało nigdy samochodu, pralki ani przenośnego, chrypiącego radjka.

Żyją u podnóża wielkich gór, lecz nigdy nie próbowali zdobyć ich szczytów.

Bezustannie wędrują między wioskami, lecz nigdy się nie śpieszą.

Choć prawie nigdy nie opuszczają swojego terytorium, przenoszą się jak nomadzi w zależności od tego, na których polach zbliżają się zbiory.

Dlatego nieodłącznym elementem ich stroju są torby plecione przez kobiety. Noszą je, nawet gdy maszerują po stromych zboczach.

Ubierają się wyłącznie na biało: długie, przewiewne tuniki i idealnie dopasowane, usztywnione czapki.

Wymieniają je dopiero po dziesięciu latach, kiedy się ostatecznie zużyją.

Nie mają dowodów osobistych.

Handel traktują jako moralną konieczność.

Żyją średnio sto lat.

Nie tolerują konfliktów.

Zwykle milczą i unikają kontaktu wzrokowego, czego często nie mogą znieść ci, którym uda się do nich zbliżyć.

Za najlepsze wypowiedzi uznają te najkrótsze i najprostsze.

Najważniejszy jest dla nich język ciała: za jego pomocą czytają jak z książki charakter człowieka.

Robią to, co mówią.

Kontemplują.

Na pytanie: „Jak leci?” najczęściej odpowiadają: „Dobrze siedzę”.

Z własnej woli nie używają pisma. Twierdzą, że najtrwalszym i najbardziej niezawodnym nośnikiem informacji, zwłaszcza w obliczu zagłady, jest ludzka pamięć.

Ich świat jest sakralny, religijny i autorytarny.

Nie oczekują jednak ani zbawienia, ani oświecenia.

Inteligencją nazywają umiejętność zbudowania duchowego pomostu między własną duszą a Wszechświatem.

Nazywają się „starszymi braćmi” i „strażnikami świata”.

Konsekwentnie odrzucają wynalazki białych, których nazywają „młodszyimi braćmi”.

Przez pół tysiąclecia, odkąd Stary Świat usłyszał o ich istnieniu, pilnowali swojej ścisłej izolacji.

Milczeli.

Ostatnio jednak zdecydowali się na wyjątkowy krok.

Próbują nam coś przekazać.

Coś bardzo ważnego.

Dwie ściany

Ich wioski łączy imponująca sieć kamiennych dróg. Mawiają: „To ścieżki naszych ojców i musimy ich używać”. Żują kokę, wymieniają się garścią jej liści przy powitaniu, bo to jeden z najbardziej skutecznych naturalnych leków (na bóle głowy, żołądka, zmęczenie). Dzięki temu potrafią pokonywać pieszo olbrzymie dystanse w górach tak stromych, że zatrzymują się nawet muły. Tak opisują to świadkowie: „Idą po cztery, pięć dni, od świtu do zmierzchu, jedzą wtedy tylko panelę – naturalny zbrylony cukier, piją wodę i bezustannie żują kokę. Oceniają człowieka po tym, jak chodzi”.

Osady Kogi wyglądają niemal identycznie: centrum zajmują dwa największe budynki (*nuhue*) – jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet – w których odbywają się narady, zapadają najważniejsze decyzje i w których nauki pobierają przyszli kapłani – *mama*. Wokół stawia się kryte trzcina chaty, zwieńczone dwoma skrzyżowanymi kijami, symbolizującymi dwoistość sił we Wszechświecie, które umożliwiają utrzymanie równowagi: ducha i materii, elementów męskich i żeńskich, twórczych i niszczycielskich.

Wszystko z naturalnych materiałów, ręcznie, bez gwoździ – z własnej woli, bo narzędzia leżą w sklepie trzy godziny drogi w dół doliny, a wielu Kogi mogłoby za nie zapłacić – na przykład uprawianą przez siebie kawą. Ale uważają, że są im niepotrzebne.

Istnieje jednak zasadnicza różnica między chatami położonymi w niższych partiach gór, bliżej cywilizacji, a tymi wysoko w górach. Jest to tylko z pozoru różnica architektoniczna.

Te niżej mają pojedyncze ściany. Te wyżej – podwójne. Jedyłą izbę chaty otaczają dwa pierścienie murów oddalonych od siebie w przybliżeniu o metr. Kogi twierdzą, że zapewnia to

świetną cyrkulację powietrza, wentyluje wewnątrz w upalne dni, a zimą chroni przed chłodem.

Nie spodziewali się jednak, że całkiem niedawno ktoś uzna to za kapitalny sposób na zabijanie.

Na fortel.

Ta jaskrawocytrynowa poświata

Kogi w ciągu dnia wychodzą całymi rodzinami do pracy w polu. Zagrody stoją zupełnie puste. Tak też było 12 czerwca 1514 roku, kiedy do krańca ich świata (dziś na terytorium Kolumbii) dobił hiszpański żaglowiec.

Konkwistadorzy na widok lądu przeżywają prawdopodobnie najszczęśliwszy dzień życia. Radość wynika przynajmniej z dwóch powodów: po pierwsze cieszą się, że Bóg pozwolił im przetrwać morderczy rejs przez Atlantyk i że w ogóle dokądkolwiek dopłynęli. Po drugie widzą już przed oczami góry złota.

Być może dochodzi coś jeszcze: widok chlorofilowej zieleni dziewiczej dżungli z ostrzami ośnieżonych gór w oddali, białych jak mleko półksiężyców plaż, nad którymi uginają się smukłe palmy pomiędzy lśniącymi zwaliskami gigantycznych wysolonych głazów. Raj.

Świadkiem tej chwili są Indianie, którzy z twarzami umalowanymi czerwonym sokiem odstraszać owady patrzą na osłupiałych przybyszy zza prześwitów w zroszonej dżungli. Po chwili wyskakują z wrzaskiem na plażę i witają gości serią zatrutych strzał. Hiszpanie strzelają w powietrze z broni palnej. Przerażeni tubylcy pierzchają. Hiszpanie dobijają do brzegu, wchodzą do chaty na plaży i rozpoczynają ceremonię: kapitan Pedrarias Dávila ścina gałęzie wybranego drzewa i ogłasza te ziemie własnością świątobliwego króla Kastylii.

Nie dalej niż dwie godziny marszu w głąb dżungli znajduje się pierwsze tubylcze miasto: Tayko. A dalej kolejne. I kolejne. I kolejne, powiązane z resztą siecią kamiennych dróg. Wreszcie Teyuna – stolica cywilizacji Indian Tairona. Około pół miliona ludzi w stu pięćdziesięciu miastach i miasteczkach. Pełne ludzi, języków, handlarzy, towarów, wydarzeń, strachów, lęków,

radości, turkotów, zagadek – oświetlone tą andyjską, jaskrawocytrynową poświatą.

O których istnieniu Hiszpanie nie mieli jeszcze przecież pojęcia.

Ale nie przyłynęli tu na wakacje. Pragną złota, którego strzegą gospodarze tych ziem. Konkwistadorzy wyruszają na podbój. Ich najwierniejszymi i najsukuteczniejszymi żołnierzami są psy gończe. Tresowane do atakowania ludzi, mają stopnie wojskowe i w przeciwieństwie do rekrutów otrzymują żołd. Trafiają zwykle na puste wioski, Indianie kryją się w lesie, z chat unosi się jeszcze dym. W porzuconych ubraniach najeźdźcy znajdują ukryte przed nimi złoto.

Wkrótce dochodzi jednak do starć. Hiszpanie orientują się, że w konfrontacji z rozjuszonymi psami i bronią palną Indianie są bezradni. Jednak by zaoszczędzić nieco prochu, wpadają na szatański pomysł. W ciągu dnia, kiedy wioski są puste, ukrywają się pomiędzy dwoma murami indiańskich domów. Wieczorem, gdy Indianie, wróciwszy z pól, rozniecają w palenisku ogień pod wieczorną strawę, hiszpańscy siepacze wkraczają do środka z szablami. Rodziny, o których już nigdy niczego się nie dowiemy, spożyły ostatnią kolację w życiu poprzedniego dnia.

Mieli swoje imiona, pasje, cierpieli, kochali?

Nie żartujmy. Kogo obchodzi człowiek sprzed pół tysiąca lat?

Strażnicy ognia

W ten sposób rozpoczyna się rzeź. Z rąk najeźdźców ginie około czterystu tysięcy Indian Tairona. Tracą dostęp do morza, a przez to miejsca święte – skupiska wielkich głazów na plażach, na których składali bogom dziękczynne ofiary, dostęp do drogocennej soli i pereł.

Uciekają w góry, jak najwyżej. Hiszpanie nigdy tam nie dotrą. Stwierdzą, że tak wysoko nie mają już czego szukać. Dzięki temu w surowych ostępach Sierra Nevada przetrwa garstka ocalałych – około dziesięciu tysięcy ludzi, którzy będą wpajać kolejnym pokoleniom: biały człowiek z armią psów niesie śmierć i zniszczenie.

Cywilizacja Tairona umarła bezpowrotnie, ale jej spadkobiercy w linii prostej – Indianie Kogi – nie pozwalają, jak mówią, by ogień zgasł. W górnych, niezwykle trudno dostępnych partiach Sierra Nevada wierni tradycji przodków wciąż budują domy z podwójnymi ścianami. Zostali uznani przez antropologów za najlepiej zachowaną cywilizację prekolumbijską. Strzegą najcenniejszego skarbu Tairona: odpowiedzi na pytanie – jak żyć?

Piękna karawana

Dlatego tak trudno do nich dotrzeć.

Na nic zdały się próby zorganizowania wyprawy w Sierra Nevada jeszcze z Polski. Moja korespondencja rozбивała się o mur milczenia. Dopiero w Tagandze, nadmorskim miasteczku u podnóża gór, udało mi się znaleźć miejscowego przewodnika oraz muła do transportowania naszego prowiantu i soli dla Indian. Ruszyliśmy w górę rzeki tuż przed południem.

Moim przewodnikiem jest Calixto, koło pięćdziesiątki, Latynos, który w Sierze spędził pół życia. Urodził się na półwyspie Guajira, ale w latach siedemdziesiątych, kiedy rząd zachęcał rolników do ekspansji, osiedlił się w górach ze swoim bratem, który wyłożył pieniądze na ziemię. Miał dwadzieścia lat. Jak mówi, zrobił to, bo uwielbia przyrodę i ciszę.

O ciszę jednak coraz trudniej. *Colonos*, przesiedleni kreolscy chłopcy, zaczęli bezmyślnie eksploatować Sierę, wyjaławiając gleby i niszcząc drzewostan. Indianie znów musieli uciekać pod same lodowce. Calixto stanął wtedy po stronie Kogi, zyskując ich zaufanie.

Dwieście lat historii Kolumbii (jako kolonia hiszpańska uzyskała niepodległość w 1810 roku) to dzieje nieustającej przemocy. Sierra pod koniec dwudziestego wieku jest schronieniem i bazą działań dwóch zwalczających się sił: *paramilitares* i *guerrilli*. Bandyty porywają zarówno *colonos*, jak i Indian Kogi. Rabują wioski, kradną bydło, zabijają. W górach trzyma ich też jednak coś innego.

Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych na stokach Sierry można było zobaczyć niecodzienny, a dla wielu świadków najpiękniejszy widok w życiu: długie karawany mułów

schodzących o mglistym świcie z gór i obładowanych pulchnymi worami, z których wystają połyskujące, jasnozielone listki marihuany. W Sierra Nevada rośnie też bujnie koka i o kontrolę nad jej plantacjami walczą ze sobą od lat *paramilitares* i *guerrilleros*. W górach buszują też rabusie. Szukają złota Indian Tairona i zaginionych miast. Zdarza się, że w pół godziny zarabiają piętnaście tysięcy dolarów, a po paru latach szefują gangom w Medellín. Teyuanę, zwaną dziś Ciudad Perdida, „zaginionym miastem”, odkryli dopiero w 1970 roku. Dżungla Sierra Nevada nadal kryje ruiny tętniących niegdyś życiem miast.

Dziś Sierra jest już czysta – partyzanci i gangsterzy zniknęli, co potwierdzają miejscowi. Ale w drodze do Palomino mijamy posterunki wojskowe i zamaskowanych żołnierzy, przeszukujących auta w poszukiwaniu broni i narkotyków. Wojna w Kolumbii się nie skończyła, mówi Calixto, i nikt nie czuje się naprawdę bezpieczny.

Fotografia wykonana wysoko w górach w ostatniej fazie konfliktu (początek dwudziestego pierwszego wieku): grupa Indian stoi w okręgu nad leżącym na ziemi mężczyzną ubranym jak *colono* – sparciałe ciuchy, a na głowie czapka założona daszkiem do tyłu. Opis wyjaśnia jednak, że to martwy Indianin, którego przebrali sami mordercy. Prawdopodobnie przykładową egzekucją partyzanci chcieli zastraszyć tubylców, trudno jednak odgadnąć, po co zamienili ubrania.

Puste wioski

Dziś Indianie Kogi i Arhuaco, z którymi Kogi żyją w Sierze od wieków w pełnej zgodzie, kontrolują swoje ziemie i rzadko udzielają zgody na wizytę obcych. Po Sierra Nevada krąży opowieść o alpinistach, którzy próbowali zdobyć najwyższe szczyty tego pasma, przez lata niedostępne z powodu konfliktu zbrojnego. Po kilku dniach musieli się wycofać, bo Kogi nie zgodzili się na dalszy przemarsz. Ośnieżone szczyty Sierry to dla nich sfera sacrum, są nietykalne. Symbolizują je białe stożkowate czapki Kogi. „To niedobry czas, góry teraz nie chcą widzieć nikogo” – oznajmili wspinaczom. Uparci alpiniści

wynajęli helikopter, przelecieli nad wioskami Kogi i rozpoczęli atak szczytowy. Kilku z nich zginęło pod śniegiem.

Nad bezpieczeństwem Kogi czuwa również organizacja Gonavindua Tairona. Od kilku lat po raz pierwszy w historii kolumbijski rząd prowadzi akcje społeczne, chroniące ich ziemie przed zakusami latyfundystów.

Ścieżki Kogi pną się dnem gliniastych dolin, stromymi stokami i wyniosłymi graniami. Szliśmy długo, las gęstniał, w przełomach rzek majaczyły pięciotysięczniki. Calixto rozmawiał z napotkanymi Indianami, wyjaśniał, dokąd idziemy. Reagowali zwykle milczeniem. Po chwili znikali w śliskiej dżungli: wpierw najstarsi, potem dzieci, na końcu drepczące za nimi nieporadnie prosiaki. Po południu, jak niemal co dzień (pora sucha trwa tu tylko dwa miesiące), zaczęło rześście lać.

Do wioski Kasumake dotarliśmy o zmierzchu, kompletnie zmoczeni. Calixto powiedział, że to duża osada, około pięciuset mieszkańców. To tu mieszkał, zanim jego brat sprzedał ziemię, to tutaj uczył się w wiejskiej szkółce. Ciągłe uprawia w Sierze swoje małe poletka. Przysiedliśmy pod strzechą jednej z chat, chroniąc się przed zacinającym deszczem. Dżunglę spowiły mgły, zaczął się nocny jazgot selwy.

Wieś była zupełnie pusta.

– Wszyscy zeszli do innej osady na zebranie – wyjaśnił Calixto. – Bardzo trudno zastać wioskę pełną ludzi, nawet nocą. Schodzą się do niej sporadycznie – na wiece, po nauki albo na ceremonie. Na co dzień żyją w swoich zagrodach, blisko upraw, rozrzućeni po górach, w zasadzie każda rodzina osobno.

Nie chcieliśmy spać w tej umarłej wiosce.

– Kwadrans marszu w dół żyje Indianka, która na pewno nie poszła na zebranie. Jest stara i niedołączna.

Gdy dochodziliśmy do jej zagrody, było już zupełnie ciemno. Między szparami w ścianach tlił się blask ognia z paleniska. Warczał ochryply pies, po rozmokłej ziemi człapały świny. Gdzieś za czarną ścianą dżungli szumiała rwąca po ulewie rzeka. Niebo rozcinały nieme błyski, deszcz słabł.

W mrocznej izbie wisiał hamak, parę garnków, zielone pęta bananów, oczadzone sznurki. Przy babce siedziała mała dziewczynka, która co chwila dokładała do ognia. Gdy przyzwyczailiśmy wzrok do ciemności, dostrzegliśmy w kącie nagie niemowlę, leżące wprost na ziemi. Po jego piersiach stąpała kura. Patrzyli sobie w oczy.

Indianka nie знаła ani słowa po hiszpańsku. Przez cały czas, kiedy gotowaliśmy sobie w jej chacie posiłek, plotła w milczeniu torbę, w ogóle na nas nie spoglądając. Nie widnieje w żadnych rejestrach, nigdy nie miała dowodu osobistego. Przeżyła sto lat, plotąc torby i wychowując dzieci. Według naszych kryteriów – nigdy nie istniała.

Chmury na sprzedaż

Kolejny dzień. Długi marsz wzdłuż rzeki. Kipiące wodospady, kąpiel. Wieś Gumaque rozłożona na stromym stoku. Znów lunął deszcz. Po wiosce wałęsają się indiańskie dzieci, które schodzą się tu do wiejskiej szkoły. Właśnie skończyły lekcje i wracają do domu. Gdy zamkną furtkę w płocie okalającym chaty, znów zostaniemy w pustej wsi. Znów niebo rozświetlają głuche błyskawice. Znów dzień trwa dwanaście godzin.

Wieczorem drzemiemy w hamakach rozwieszonych w mrocznej izbie. Szmery. Przez szpary w ścianach wpadają z podwórza pręgi światła. Młaskanie kaloszy odklejanych od gęstego błota.

Mężczyźni wchodzą do środka. Ubrani na biało, to Indianie. Oznajmniają, że dziś przenocują we wsi.

Siadają przy ognisku, rozmawiają szeptem. Co chwila postukują kijami o swoje *poporo*. Indianie z Sierry nigdy się z nimi nie rozstają. To długie, smukłe tykwy, do których wsypuje się zmiażdżone muszle. Kogi ubijają je kijkiem, a potem zlizują zeń mineralny proszek, mieszając go w ustach z prażonymi liśćmi koki. Otrzymują *poporo* od starszyny, gdy osiągną dojrzałość. To znak, że mogą pojąć żonę. Tykwa symbolizuje kobietę, kijek mężczyznę.

Siadamy z Calixtem przy ławie. Proszę, żeby narysował mi Sierra Nevada – dotąd nie opracowano żadnej wiarygodnej

mapy. Ziemie Kogi widnieją tylko na szkicach i mapach wojskowych z lat osiemdziesiątych, zupełnie nieaktualnych: Kogi jak nomadzi potrafią przenieść w nowe miejsce całą wioskę.

Rysuje nieporadnie: ścieżki, drewniane mosty, nieistniejące na żadnych mapach nazwy: Quizi, Gigua, Taminaca, Mamarongo, Domingegua...

Rysuje, niewprawna ręka drży, a na kartce wyrasta kraina, którą Kogi nazywają Sercem Świata.

Jeśli Bóg w akcie stworzenia do czegoś się nie przyłożył, na pewno nie w dniu, kiedy wznosił Sierra Nevada. Sformułowanie „serce świata” nie jest pustosłowiem. Są to jedyne góry na świecie wyrastające w kształcie naturalnej, olbrzymiej piramidy wprost znad morskich brzegów i pnące się na wysokość pięciu tysięcy siedmiuset metrów ponad jego poziom na odcinku ledwie trzydziestu kilometrów. Model świata: pustynie, gęste dżungle, wyżej paramo – górskie tundry i wieczne śniegi. Miniatura Ziemi zwieńczona czapą Arktyki. Spaja ją gęsta sieć krystalicznych rzek i jezior. W prażącym słońcu i wilgoci bujnie obradzają niezliczone gatunki owoców i warzyw, wschodzą zboże, kukurydza, maniok, trzcina cukrowa, kawa, koka, tytoń. W rzekach pływają ryby, lasy obfitują w zwierzynę (Kogi nie polują, zakładają jedynie sidła). Brzegi morskie dostarczają soli. Sierra Nevada była do tej pory ekosystemem absolutnie samowystarczalnym i samoregenerującym. Mimo pozornych trudności (duchota, insekty) idealnym środowiskiem dla człowieka. Biblijny Eden. I mitologia Kogi, łudząco podobna do chrześcijańskiej Genesis. Z drobną różnicą: Kogi twierdzą, że rajskie serce świata ciągle istnieje. Żyją w nim oni. Ale „młodszy bracia” wybrali inną drogę.

Kogi nigdy z własnej woli nie ryzykowali kontaktu z obcymi. Do chwili kiedy spostrzegli, że ze świętych szczytów Sierry po raz pierwszy w dziejach tego świata znika śnieg.

Aluna

Twierdzą, że winę za to ponosi biały człowiek, choć nie znają dobrze jego świata. Tłumaczą: co za różnica, czy zniszczy

Ziemię w ten sposób, czy inny?

Prawie wszyscy Indianie Ameryki Południowej nie potrafią oprzeć się prezentom białych przybyszy: kolorowym podkoszulkom, latarkom, zapalniczkom. Już wtedy przekraczają niewidzialną granicę. Kogi świadomie i konsekwentnie je odrzucają. Schodzą do miast tylko po sól.

Kluczem do zrozumienia tajemnicy Kogi jest świadomość, że celem i sensem ich życia nie jest osobiste zbawienie ani powodzenie, tylko troska o dobro natury, którą uważają za swoją matkę.

Gerardo Reichel-Dolmatoff, wybitny antropolog, jeden z nielicznych znawców świata Kogi, pisał na łamach „Journal of Latin American Lore”: „Naprawdę wierzę, że Kogi znają receptę na wiele naszych współczesnych bolączek. Mogą nauczyć nas sztuki równowagi. Kieruję tę wypowiedź do filozofów, psychologów, historyków i międzynarodowych ekspertów do spraw planowania”.

Kto posiada tę wiedzę, kto chce nam przekazać tę wiadomość: ci prości, niepiśmienni, prymitywni ludzie?

Takie pytania zadają sobie ci, którzy nigdy nie dotarli do wiecznych śniegów Sierra, u których podnóża żyją *mama* – wielcy kapłani Kogi, strażnicy ognia, przechowujący w umysłach los swoich współbraci, a przez to, jak twierdzą, los wszystkich ludzi na świecie.

Mama zostają tylko wybrańcy spośród wybrańców. Najpierw wskazuje się dzieci – *moro*. Gdy tylko opuszczą łono matki, chroni się je przed światłem i ludźmi. Przez pierwsze lata przebywają w ciemnym domu ceremonialnym, do którego dostęp mają jedynie karmiące matki. Matkom wolno jeść wyłącznie białą fasolę, ziemniaki i ślimaki. Potem *moro* aż do pełnoletności mieszkają w jaskini, gdzie mają zobojętnieć na świat materialny i całkowicie zanurzyć się w *aluna* – skupionej formie myśli i energii, jedynym pomoście między ludzką duszą a Wszechświatem. *Aluna* to wszystko, co się wydarzyło, i wszystko, co się wydarzy. Każda materia istnieje najpierw w świecie *aluna*, sferze ukrytych dla ludzkiego oka znaczeń. *Aluna* to inteligencja.

Przyszłemu *mama* kapłani przekazują pełną wiedzę o prawie, któremu Kogi muszą być wierni, by przetrwać. To zbiór twardych reguł dotyczących troski o środowisko i równowagę w przyrodzie.

Mama nie są magami, szamanami. Nie składają ofiar ze zwierząt, nie przyjmują substancji odurzających. Niewyobrażalną dla człowieka Zachodu głębię uduchowienia osiągają wyłącznie dzięki skupieniu i kontemplacji.

To wykształceni (w jakże odmiennym jednak tego słowa znaczeniu) *mama* zdecydowali się na wysłanie przekazu do „młodszych braci”: „Złamaliście prawo. Dotknęliście wiecznych śniegów, które są nietykalne. Wycinacie drzewa, a one chronią ziemię jak włosy skórę. Przerwaliście odwieczny cykl krążenia wody – górską tundra wysycha”. Mówią o zjawiskach, które znamy (ocieplenie klimatu), choć ich wiedza – w naszym rozumieniu – jest czysto intuicyjna. „Wykrwawiacie ziemię – dodają. – Minerale są jak krew dla ciała. Kiedy jej zabraknie, ziemia umrze”. Z przekonaniem opisują procesy zachodzące w ekosystemie Sierry, które później potwierdzają zdumieni naukowcy. Umiar i równowaga to dla Kogi tajemnica przetrwania. Dlatego zapytani o samopoczucie, zwykle odpowiadają: „Dobrze siedzę” – utrzymuję równowagę. Każdy fragment świata stanowi dla nich odzwierciedlenie całości, w najmniejszym stworzeniu dostrzegają nauczyciela.

Spoglądają na szczyty Sierry i powtarzają: „Jeśli znikną śniegi, zginą nawet Kogi – ogień zgaśnie”.

Lustro

Schodziliśmy od bladego świtu do samej nocy, mijając wracających z wiecu. Wielokrotnie wyprzedzał nas wędrujący w tym samym kierunku Indianin, który po chwili odnajdywał się tuż za nami. Milczał. Nigdy nie widzieliśmy, żeby odpoczywał przy ścieżce. Prawdopodobnie krył się w dżungli.

Obserwował nas?

Po co?

Tacy są Kogi. Zupełnie nie przystają do naszych miar, wyobrażeń, pojęć. *Mama* zawsze podkreślają, że ich cywilizacja i nasza zbudowane są na zupełnie innych pytaniach. My,

przystępując do kolejnej fazy rozwoju, sprawdzamy: czy to działa? Jeśli odpowiedź brzmi „tak”, przystępujemy do dzieła. Oni stosują inne kryterium: czy to ma sens? Dzięki temu przetrwali ponad półtora tysiąclecia i przeżyli zagładę. My wybiegamy myślą kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt lat w przód, podczas gdy *mama* Bernardo potrafi wyobrazić sobie Ziemię za miliardy lat. I zmusza nas do tego, byśmy zadali sobie pytanie, czy nasze wybory pozwolą nam przetrwać. Byśmy zapytali: co z nas zostanie?

Kogi do znużenia powtarzają, że Sierra jest lustrem świata. Jeśli zginie, umrze cały świat. Czy nie są przy tym lustrzanym odbiciem nas samych?

Kroją pomidory, jajka, cebulę i całą resztę i wkładają je pomiędzy kromki chleba.

Wrzuceni nagle do dżungli, nie przeżyliby długo.

Pewnie nie wszyscy – część z nich żyje nie dalej niż pięć kilometrów od lasu. Jednak wielu najmłodszych nie widziało krowy, radła i nie słyszało wieczornych gawęd przy piecu.

Zwykle żyją na nizinach, lecz celem ich życia jest wspinaczka.

Najczęściej pracują w jednym miejscu, lecz ciągle się śpieszą.

Coraz częściej opuszczają swoje rodzinne terytoria, porzucając dawne schronienia.

Nieodłącznym elementem ich wyposażenia jest telefon. Trzymają go przy uchu, nawet biegnąc.

Noszą się kolorowo, lecz ich świat jest coraz bardziej jednakowy.

Wymieniają ubrania, kiedy im się znudzą.

Trzymają przy sobie papierki, na których oznaczeni są stosownym numerem.

Handel uważają za dźwignię postępu.

Życzą sobie, by żyć sto lat.

Ich historia to dzieje konfliktów.

Bezustannie mówią, a patrzenie prosto w oczy poczytują za wyraz szczerości.

Za najlepsze wypowiedzi uznają te najdłuższe i najbardziej
zawiłe. Liczą się dla nich tylko słowa.

Robią co innego, niż mówią.

Na pytanie: „jak leci?”, odpowiadają: „leci!”.

Niczego nie uczą się na pamięć, twierdząc, że łatwiej
odszukać zapisaną informację.

Ich świat jest dogłębnie laicki, racjonalny,
indywidualistyczny.

Oczekują zbawienia lub oświecenia.

Pojęcie inteligencji ograniczają do sfery rozumu.

Nazywają się koroną stworzenia.

Innych od siebie nazywają prymitywnymi.

Ich system opiera się wyłącznie na ekspansji.

Przez wieki urządzali wrzawę.

Ostatnio jednak zdecydowali się na wyjątkowy krok.

2011

Kontrapunkt (ulotne)

Mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej w przededniu zagłady zamiast budować łodzie i szukać ratunku, stawiali posągi.

Za pięć miliardów lat Słońce wypali Ziemię.

Jeśli do tej pory nie zginiemy – jak będziemy się ratować? Dokąd uciekniemy? I czym?

Czy wybierając rozwój technologiczny, zwiększamy swoje szanse na przetrwanie? Czy w dłuższej perspektywie stabilizacja oznacza po prostu pewną śmierć?

2011

Afryka

Skóra (ulotne)

W Afryce skóra nie jest dobrem osobistym. Obce osoby lepią się do nie swojej skóry, dotykają jej bez zażenowania, jakby była futryną, gazetą, oparciem. Siedziałem przy stole w Makokou w mętne, tropikalne popołudnie, przepisując dane z GPS-u do notatnika. Dosiadło się dwóch młodych Gabończyków, zaintrygowanych urządzeniem. Jeden z nich chwycił mnie za przedramię i zaczął przyglądać się z bliska mojemu zegarkowi, mówiąc jednocześnie do swojego kolegi. W końcu zauważyli coś na mojej skórze i zaczęli ją skrupulatnie badać. Wodzili po niej palcami jak po nieznannej mapie. Nie oderwałem się od swojej pracy.

W busie z Makokou do Libreville siedziałem na samym końcu przygwożdżony do szyby przez napierający tłum ludzi. Fotel przede mną nie miał oparcia. Wobec tego po kilku minutach dziewczyna, która na nim siedziała, zapytała wprost, czy może się położyć, i nie czekając nawet na odpowiedź, wygodnie ułożyła mi się na kolanach na następne dziesięć godzin.

Arabowie nie podają ręki, by po uścisku od razu ją wycofać. Długiemu powitaniu towarzyszy mocny uścisk, często obydwu dłoni, trwający nawet całą, wcale nie krótką pogawędkę.

Gdzieś przebiega niewidzialna granica, od której na południe trzeba liczyć się z faktem, że skóra i ciało człowieka w ogóle w drodze częstego wyjątku należą się również bliźnim.

2008

Pogranicze

Pogranicze to jest miasteczko Antaquilla na płaskowyżu Ulla Ulla w boliwijskich Andach. Jesteśmy cztery i pół tysiąca metrów nad poziomem morza. Indianki ze swoimi mężczyznami schodzą z najwyższej położonych osad do wiosek w dole. Im wyżej, tym trudniej zejść w ciążę.

Jest późne popołudnie, w zasadzie wieczór. Na głównym ryneczku otoczonym murowanymi budynkami trzaskają okiennice. Gdzieś, dosłownie gdzieś, bo nie umiem podać nawet przybliżonego źródła, chrypi głośnik z muzyką keczua. Na środku placu miota się wir – miniaturowa trąba powietrzna, która ciska nam w oczy drobiny miodowego piasku. Pod murem stoi stary Indianin i żuje kokę. Twarz czerwona, krwista, skóra gruba, wygarbowana. Mówi, że czeka, ale nie wiemy na co. Dopytujemy. Na autobus. Kiedy przyjedzie? Nie wie.

Dalej, tuż za domami, niepokalana biel: Apolobamba, kryształowa *sierra*. Idzie noc. Od lodowców ciągnie ziąb. Wschodzi księżyc, wielki jak druga ziemia. Ciągnie się za nim przez niebo srebrzysta, ale brudna luna.

Pogranicze to jest Mahamid al-Ghizlan na skraju ergu Chigaga. Za wsią zaczyna się Sahara. Wieczorem w Mahamid ulice są pełne, choć jest cicho jak na cmentarzu. Kobiety wychodzą z domów okryte czarnym sukniem, widać tylko oczy, jak węgliki.

Ale teraz jest sierpień, południe i świat odrętwiał. Nawet smarki w koszulkach Barcelony pochowały się po ciemnych izbach. Jest południe i wszyscy tu wiedzą, że o tej porze nie należy się ruszać. Ci, którzy wyruszyli na pustynię, przez wiele godzin leżą pod ciemnym cieniem, przykryci od stóp do głów, by nie wystawał choćby skrawek gołej skóry. Nawet gdybyś chciał, nie będziesz w stanie mówić, jeść ani – w co trudno uwierzyć – pić. Ulga przyjdzie dopiero kilka godzin po południu, wtedy podniosą się pierwsi. Kto? Choćby my – którzy wyruszyliśmy na pustynię z karawaną wielbłądów, na pięć dni, w środku lata, obłąkani, nierozumni. Albo oni – nomadzi, którzy bez ustanku przemierzają Wielką Pustkę. Nie obowiązują ich granice. Wodę niosą w zmoczonych, znakomicie

chłodzących bukłakach ze skóry zwierząt. Ciągłe tam żyją. Mówią w Mahamid, że są tacy, którzy twarze swoich kobiet widzą dopiero po śmierci.

W Mahamid i na pustyni jest też noc. Noc to na Saharze wielka sprawa. Niebo obleczone galaktycznym srebrnym turbanem. Ciepły piasek. Gdzieś daleko przestrzeń rozpruwa zanikający warkot zagubionego motorka. Ktoś przesypuje między palcami piasek. Pod głowami siodła. Pchły. Przez nasze brzuchy wędruje karawana wielkich pustynnych mrówek.

A potem znowu dzień w Mahamid i pod rozpalonym murem leży martwy wielbłąd. Ktoś wypruł mu wnętrzności. W mojej ciemnej izbie gzy krążą nad miskami z baranim ochłapem i przez okno próbuję wypatrzeć je też nad trupem. Ale jest południe, sierpień i to jest Mahamid: nad wybebeszonym wielbłądem nie ma nawet gzów.

Pogranicze to też wioska Bituga. Bituga to jest miejsce. Bitugi nie ma na żadnej mapie świata, jaką znam, nawet na świetnych sowieckich mapach z lat osiemdziesiątych. Bituga znajduje się w Afryce Środkowej, w państwie Gabon, niedaleko miasteczka Minvoul. Bituga leży jednak już za rzeką. W zasadzie nie tyle rzeką, ile rozlewiskiem, wodnym labiryntem pełnym wystających kamieni, krokodyli i węży, skrzeczącym, ponurym uroczyskiem. Kiedy znajdziesz się na samym środku, nieruchomiejesz, napinają się wszystkie mięśnie.

Potem pirogi dopływają do brzegu, pół godziny marszu i jest Bituga. Pierwsze miejsce w tym kraju, gdzie nikt nie mówi po francusku. Wioska Pigmejów Baka. Jest mały placyk pośrodku i chata rady. Wokół okrągłe chaty z trzciny, żyją w nich ci, którzy polują lub wyplatają. Jeśli uprawiają, to jedynie w niewielkim ogrodzie w centrum osady, bo za domami, na zewnątrz – nie sposób. Wielka dżungla zaczyna się właściwie nie za, tylko ponad nimi. Monstrualne liście i gałęzie opierają się na dachach domów i mamy wrażenie, że Bituga stoi tu tylko dlatego, by chronić lichy ogródek przed naporem rozpuchłej dżungli. Dzieci mają wzdęte brzuchy, ale nie – jak chce wielu – z głodu, tylko od robaków, wielkich, białych larw,

którymi żywią się tu wszyscy. Larwy zagnieżdżają się w brzuchu i każdego, kto przyjedzie do Bitugi, czeka w mieście odrobaczenie.

Jest noc w Bitudze i jej mieszkańcy wiedzą, że idziemy na długo do dżungli. Bardzo daleko, tak daleko, że nie dotarł tam żaden bituganin. Więc wychodzą wszyscy przed chatę i rozpoczynają taniec, brzęczenie grzechotek, potrząsanie biodrami, pohukiwania. To przyniesie nam szczęście. A potem wschodzi księżyc i rozedrgani tancerze znikają w popłochu. Tak każą tradycja i prawo. Więc pochodnie, ogarki w dłoń. Mamy spać w chacie, skrzypią drzwi, wchodzimy, czerń. Światło. Sufit: mrowiąca się warstwa wielkich pajaków. Moskitiera. Suwak. Sen. Koszmary. Świt. Zapach, zapach. Zapach! Widno. Rzut oka na ścianę. Kalendarz, zdjęcie polskiego papieża.

2008

XXL (ulotne)

Libreville, Gabon. Błąkam się po bazarze, bo muszę kupić czystą koszulę. Wszystkie w plecaku przepocone i brudne, a dziś ważne spotkanie. Przymierzam. Zdecydowanie za duża. Pytam, czy są mniejsze. Mówi, że nie ma.

– A kiedy będą? – pytam.

– Nigdy.

– Jak to nigdy? Nie masz mniejszych rozmiarów?

– Nie.

– Jak to nie?

Zbliżył się i spojrzał mi głęboko w oczy:

– To jest duża koszula, tak?

– Tak, nawet bardzo duża, za duża.

– No więc w taką koszulę wejdzie i mały, i duży, tak? To po co mi rozmiary?

2008

Mukongo

I

1

Ale teraz już na koniec odsapnijmy, zwolnijmy. Jest piwo Regab, są frytki z majonezem, jest *baguette* z awokado i wszystko mamy, jak się patrzy. Przed nami tłum: czerwone frędzle w murzyńskich włosach, koszule w kwiaty i białe popękane pięty czarnych stóp. Ciepłe powietrze. Za plecami Atlantyk: mokre szkraby robią na piasku gwiazdy, zapadają się rękami w plażę, a przed nami wojsko. Ale co to za wojsko... Ci na przedzie maszerują jeszcze rażno, bo tuż przed nimi on: generał. Na opancerzonym wozie, mundur biały jak śnieg, czarna skóra lśni jak olej i plecy, ważne są te plecy: chłopskie, muskularne. Ci w środku – już rozmemłani, już myślą im się kroki. Ale czekamy na najdalsze rzędy, aż dojdą, aż nadrobiją tę przegwizdaną zwłokę. Na pośmiewisko idą: publika ryczy, błyszczą złote zęby, topnieją w dłoniach lody i kapią na spodnie. Tamci, rozgadani, rozchełstani, wleką się, pocą. Choć ich dowódca wychodzi z siebie – kłapa.

Ale my przejechaliśmy ten kraj wzdłuż i wszerz i mamy czas. Jest 17 sierpnia 2008 roku. Święto gabońskiej niepodległości – najważniejszy dzień roku.

2

Wiemy już, co oznacza słowo klucz „estuarium”: lejkowate ujście rzeki, w którym leży stolica – Libreville – i koncentruje się życie kraju.

Wiemy, że historyczny słownik Gabonu liczy dwieście pięćdziesiąt cztery strony zapisane drobnym makiem.

Wiemy już, że o pewnych rzeczach się tu jednak nie mówi. Podobno spotykają się za miastem, nocą. Fangowie. Kiedyś kanibale. Ci, co z nami siedzą, twierdzą, że wciąż to robią. Widzieli rozgrabione groby. Jedzą to, bo wierzą, że mięso ojców da im moc. To bruka wizerunek chluby Afryki, jednego z najbogatszych państw na kontynencie, którego jedenaście procent powierzchni zajmują parki narodowe. Ta wielka puszcza, której nie sięgnęły lądolody, pamięta dinozaury.

Ale wiemy też, że pełno tu bogactw: uranu, złota, ropy, żelaza, manganu i szlachetnego drewna. Zagubiony Eden? Biznes i polityka lubią ciszę. Wielu to na rękę. Na przykład tym, którzy o poranku spotykają się w libańskiej kawiarni nad croissantami i podwójnym espresso. Albo wieczorem w Le Bacchus. Duszony pyton i pieczony odyniec, krokodyl w sosie własnym i Chateau Franc Pipeau Saint-Emilion. Są *supermarché* i francuskie sery. Są sardynki z Maroka i ciuchy z Chin. Na ulicach – sznyt. Czarne auta lśnią jak ropa, rozmiar ma znaczenie, cena też. Połowa ludności żyje jednak w biedzie.

Wiemy już, że coraz więcej tu Chińczyków. Widzieliśmy ich po drodze z Oyem. Siedzieli w przydrożnych knajpach i jedli ryż. Budowa dróg, fabryki, złoża. Władza traktuje ich jako przeciwwagę dla francuskich wpływów.

Wiemy już, że to państwo o rekordowym spożyciu szampana i paryskich cenach. Dlatego śpimy w domu zakonnym – pięć tysięcy franków za dobę od osoby. Nie wychodzimy po zmroku.

Wiemy już, że to ryzyko. Tak mówią oni, misjonarze. Ukatrupią cię i nikt cię nie znajdzie. Bo Libreville nocą ogarnia mętna czerń, a bieda kryje się w slumsach. Jeden misjonarz jechał kiedyś samochodem przez kongijską prowincję. Potracił dziecko. Zatrzymał się. Posiekali go maczetami. Tam jest zasada: zatrzymujesz się – jesteś winny.

Wiemy już, że w gruncie rzeczy to półtoramilionowa wioska.

Było tak. Tomek wyszedł wcześniej rano fotografować. Budzę się późno. Odczytuję SMS: „Jestem na policji. Napadli mnie”. Dwóch ich było, aparat chcieli, szarpanina, bijatyka. Przechodnie pomagają. Policja. Chłystki w kajdankach. Zaraz będą żałować. Powieszą ich na metalowych prętach, biały będzie patrzył, dostaną w skórę. Afrykańczycy napadli białasa i to jest Gabon, to jest temat: na komendzie już mikrofony, zaraz kamery. Chłystki płaczą i krzyczą: „Biały ich napadł!”. Tomek broni się przed kamerą. Wyjdziemy po tym wszystkim na bazar – znają nas już wszyscy. „*Polonais? Bandits, bandits!*”. Śmiech, żarty. Ale są też groźne spojrzenia.

Czy będą się mścić?

Jutro wyjedziemy.

Wiemy już, że można tu robić biznes, tylko jeśli zna się co najmniej ministra albo kogoś o nazwisku Bongo.

3

Papa Bongo – zwykle złożone dłonie, czarny, gęsty wąs – łypie na nas ze ścian urzędów i knajp, dworców i fryzjerni. Jego imię noszą szkoły, uniwersytet, lotnisko, szpitale, stadion narodowy oraz rodzinne miasteczko: Bongoville (kiedyś Lewai). Jest jednym z najbogatszych ludzi świata i najdłużej rządzącym prezydentem republikańskim: okres jego panowania przypadł na pięć kadencji francuskich prezydentów – od de Gaulle’a do Sarkozy’ego. Telefony od niego odbierają najważniejsi francuscy politycy. Współpracownicy nie wyobrażają sobie jednak, by ślepo wykonywał czyjeś rozkazy. W Paryżu śpi zwykle w hotelu Crillon, wydając kilkaset tysięcy dolarów, choć ma we Francji trzydzieści trzy posiadłości o wartości stu dwudziestu pięciu milionów funtów. Prasa donosi, że na kontach amerykańskich zdeponował osiemdziesiąt sześć milionów funtów (dodają: to czubek góry lodowej). Państwo Gabon to Bongo i jego rodzina (syn – minister obrony, córka – była minister spraw zagranicznych, potem szefowa jego gabinetu). Kiedyś podzielił się z amerykańskim ambasadorem planem przekazania kilku milionów dolarów na rzecz organizacji charytatywnej. „Czy ta suma pochodzić będzie z pana prywatnej kieszeni, czy kasy państwowej?” – zapytał dyplomata. Bongo nie zrozumiał pytania. Mieszka w Palais du Bord de Mer, wynajmuje najlepszych europejskich architektów. Mówi to, co myśli. Ma kompleks. Wzrost. Dlatego często chodzi w butach na koturnie. Pamięta wszystkich, z którymi się spotyka. W jego gabinecie wiszą fotografie wodzów, którym uściśnął dłoń: Mao, Nixon, Mandela. Jest znany z seksualnego apetytu, co niezbyt podoba się jego żonie: plotkuje się, że gania go po pałacu z butem w ręku. Afera wybucha jednak dopiero w 2004 roku, kiedy do Gabonu przyjeżdża na konkurs piękności dwudziestodwuletnia miss Peru. Tuż po przybyciu zostaje zaprowadzona do stylowej sali. Wita ją sam prezydent. Naciska

guzik w ścianie – otwierają się drzwi, w których ukazuje się wielkie łożo. Dziewczyna ucieka. 26 maja 2004 roku prezydent Bush przyjmuje go w Białym Domu. Rok później śledztwo komitetu Kongresu do spraw fundraisingu ujawnia, że znany amerykański lobbysta Jack Abramoff chciał zapłacić Bongo za spotkanie dziewięć milionów dolarów (zarzutu nigdy nie udowodniono). Wielu uważa go za maga dyplomacji: cieszył się przez cztery dekady wpływami zupełnie nieadekwatnymi do wielkości i populacji swojego kraju.

Zaczynał skromniej.

Wigilia sylwestra 1935 roku. Przychodzi na świat jako Albert-Bernard Bongo – najmłodsze z dwanaściorga dzieci wodza wioski. Będzie oczkiem w głowie ojca poligamisty. Mieszkają w chacie z niewypalanej cegły, dach kryty strzechą. Po latach wspomina: „Nikt nie ważył się sprzeciwić głowie rodziny. Upolowaną zwierzyną dzieliliśmy się z innymi w wiosce”. Ojciec umiera, gdy Albert ma siedem lat. Brat zabiera go do Brazzaville (dziś stolica Konga). Jedzie na pakach ciężarówek i autobusami przez wertepy i busz, wioząc w plecaku talizman wodza, który przejął po ojcu i który daje mu w rodzinie nowe prawa: doradzania i godzenia. Brazzaville jest rozpalonym miastem francuskiej kolonii. Albert marzy: wyjazd po nauki do Paryża. Brat mu zabrania. Bongo nie może się z tym pogodzić. Na lekcji wyrywa nauczycielowi bat i chłosta go przy uczniach. Wylatuje ze szkoły, wyjeżdża z miasta.

Rozpadają się zamorskie kolonie europejskich imperiów. Wielka Brytania utraciła już kontrolę nad terytoriami azjatyckimi i uznaje niepodległość kolonii afrykańskich za nieuniknioną. Francuzi mają inną strategię. „Francja chciała wtedy kupić czas” – powie po latach Bongo. Pragnęła uzależnić od siebie swoje kolonie – źródło surowców i rynek zbytu dla francuskich firm. Gdy w tropikach unosi się zapach niepodległości, w Afryce pojawia się ropa.

1958 rok. Francuska Afryka Równikowa dzieli się na kilka autonomicznych republik, w tym położony nad Atlantykiem Gabon. Bongo dorabia na poczcie, znów w Brazzaville. Wpada

mu w ręce telegram z Francji. Nadawca: francuski generał. Treść: instrukcje dotyczące tego, kto ma wygrać wybory. Szok. Posyła sensację do prasy. Zostaje aresztowany pod zarzutem ujawnienia tajemnicy państwowej. Zwalniają go: jako pracownik tymczasowy nie podpisał lojalki. Bongo już od pięciu lat jest wtedy masonem. Wykorzystuje swoje kontakty i dostaje posadę w wywiadzie wojskowym. Czuje, że pierwszym warunkiem kariery w Gabonie jest przejęcie kontroli nad swoją teczką. Pewnego dnia pojawia się w mundurze w komendzie głównej policji. Prosi o wgląd w te czki inwigilowanych. W jednej dostrzega swoje nazwisko. Chowa ją za pasek spodni i wychodzi. Czyta: „element niebezpieczny”, „uważnie mu się przyglądać”. Bezpiekę zainteresowało zaangażowanie polityczne Bongo: odbył kilka podróży do komunistycznych Chin.

1960 rok. Gabon ogłasza niepodległość. Prezydentem zostaje Léon M'Ba z ludu Fang. Jest tak profrancuski, że przed wyborem na głowę państwa oznajmia, iż Gabon powinien pozostać częścią Francji. Jeszcze po proklamowaniu niepodległości w rogu gabońskiej flagi widnieje flaga Francji.

Trzy lata później: z Gabonu wypływa pierwszy statek z ropą. Kierunek: Hawr. Prezydent de Gaulle tworzy spółkę Elf Aquitaine i spółkę córkę: Elf Gabon. Tajemnicą poliszynela jest, że Elf ma być narzędziem kontroli procesu dekolonizacji.

Mniej więcej wtedy w Gabonie pojawia się Pan Afryka.

Ciemne, okrągłe okulary, pokerowa twarz, nieco jajowata głowa, łysina, kremowy, świetnie skrojony garnitur, białe, skórzane mokasyny i przy tym coś, dzięki czemu jest Panem Afryką: zupełnie nie rzuca się w oczy. Zasadą wszelkich jego działań jest ścisła kontrola informacji. Na pytanie, jak to robi, odpowiada: „Kwestia organizacji”. Ma imponującą wiedzę o Afryce, jak z rękawa sypie imionami dzieci afrykańskich władców. O swoich politycznych partnerach mówi niezwykle ciepło (niemal z afektem pisze o Bokassie, okrutnym tyranie Cesarstwa Środkowoafrykańskiego, który pod koniec życia ogłosi się trzynastym apostołem).

Zaczynał we francuskim ruchu oporu, gdzie szkolił się we wszystkim, co supertajne. Szybko zdobył zaufanie de Gaulle'a, wobec którego pozostał lojalny w najtrudniejszych chwilach. Zdawało się, że nie ma ambicji politycznych. Paradoksalnie pomagało mu to piąć się po politycznej drabinie – jakby od niechcienia. Zostaje sekretarzem RPF, partii de Gaulle'a. W 1953 roku towarzyszy mu w podróży przez afrykańskie terytoria. Otrzymuje polecenie utrzymywania kontaktu z wywiadem. Do swojego szefa odnosi się wręcz z religijnym namaszczeniem, co – według niego – usprawiedliwia jego brutalne metody walki. „Jesteś naszym fetyszem” – mówi w 1960 roku prezydent Górnej Wolty Maurice Yaméogo do Jacques'a Foccarta *vel* Pana Afryki – świeżo mianowanego przez de Gaulle'a doradcy do spraw Afryki.

W Gabonie sprawy układają się po myśli Francji, jednak Foccart ma zawsze plan B: Albert-Bernard Bongo, równie profrancuski jak M'Ba i głęboko nieufny wobec Anglosasów. Bo M'Ba staje się, ku zdziwieniu Foccarta, coraz bardziej despotyczny.

1964 rok. Żołnierze z ludu Fang organizują zamach na M'Ba. Kilka godzin później w Libreville lądują francuscy spadochroniarze. Uwalniają aresztowanego przez zamachowców Bongo, przywracają do władzy prezydenta. Za operacją stoi Foccart.

M'Ba, chory i popadły w paranoję, chce ustąpić. Francuzi nie wyrażają zgody. Dzięki niemu mogą otwierać w Gabonie furtki dla kolejnych rodzimych firm.

1965 rok. M'Ba poleca trzydziestoletniemu Bongo pojechać do Paryża na spotkanie z de Gaulle'em. Ten urządza mu quiz:

– Gabon graniczy od północy z...?

– Z Kamerunem, panie prezydencie – odpowiada posłusznie Bongo.

Rok później M'Ba ląduje w Paryżu. Cel: szpital. Powód: rak. Bongo zostaje wiceprezydentem. M'Ba umiera. Bongo zostaje najmłodszym prezydentem świata. Ma trzydzieści dwa lata. Jest 1967 rok.

Papa Bongo będzie rządził przez czterdzieści dwa lata niemal bez opozycji i użycia siły. Wie, że stara prawda, choć naiwna, popłaca: prócz kontroli nad własną teczką problemy rozwiązują pieniądze. Masońska loża francuska mianuje go przewodniczącym loży gabońskiej. By zdobyć jego zaufanie, polityk musi przystąpić do loży, jednak Bongo daje podwładnym polityczny komfort, tworząc w Gabonie dwa masońskie skrzydła: Grande Rite Équatorial – lożę lewicową i Grande Lodge du Gabon – prawicową. Do masonerii wkrótce wstąpi około tysiąca gabońskich polityków.

1973 rok. Bongo zostaje muzułmaninem i przyjmuje imię Omar. Jest zafascynowany krajami arabskimi i pragnie zacieśniać polityczno-ekonomiczne więzi z krajami Maghrebu.

W 1990 roku wprowadza w życie plan pluralizacji politycznej kraju. Wygrywa kolejne wybory, wąż opozycja zarzuca mu fałszerstwa. Mawia: „Afryka bez Francji jest jak samochód bez kierowcy, Francja bez Afryki – jak samochód bez benzyny”. Ten system wzajemnych powiązań nazywany będzie Frankafryką.

4

1 sierpnia 2002 roku. Do pałacu prezydenckiego wpada w pożyczonym garniturze Michael Fay, charyzmatyczny amerykański przyrodnik, który dokonał czynu heroicznego: w półtora roku przeszedł pieszo z grupą Pigmejów trzy tysiące dwieście kilometrów przez kompleks kongijskiej dżungli. Podczas prezentacji Bongo ogląda fotografie i filmy dokumentujące niewiarygodną bioróżnorodność Gabonu. Fay przedstawia makietę z planem trzynastu parków narodowych, zajmujących ponad jedną dziesiątą kraju. „To tak jakby namawiać królową Wielkiej Brytanii do ogrodzenia płotem Walii” – napisze później w „National Geographic” David Quammen. Bongo słucha o korzyściach z ekoturystyki i alternatywnym źródle dochodu – można by zarabiać nie tylko na ropie. Urzędnik podsuwa mu dekret powołujący do życia Park Lopé. Bongo kręci głową. Zapada milczenie. Konsternacja.

– Chcę wszystkie trzynaście!

Do Gabonu przyjeżdża sam Colin Powell, kraj pokazuje mu Fay. Powell wyznaje, że ostatni raz taką puszcę widział w Wietnamie.

5

2009 rok. Sąd francuski postawi Bongo zarzuty korupcji (i zamrozi jego francuskie konta), argumentując, że posiadłości we Francji nie mogły zostać nabyte z prezydenckiej pensji. Bongo nie zrozumie, w czym problem. We Francji pod adresem Chiraca padną oskarżenia, iż jego kampanię prezydencką finansowali afrykańscy politycy, w tym Bongo. Paryski prawnik Robert Bourgi opíše, jak będąc doradcą Chiraca w sprawach afrykańskich, jeszcze zanim związał się z Sarkozyem, przemycał do pałacu prezydenckiego pieniądze w walizkach albo afrykańskich bębnach.

Czerwiec 2009 roku. Agence France-Presse podaje za anonimowym francuskim politykiem: Bongo zmarł właśnie w hiszpańskiej klinice.

BBC: W Libreville spokój.

Wiadomość o zgonie zdementuje rząd hiszpański.

Podobnie gabinet prezydencki: Bongo jest w Hiszpanii na wakacjach.

Minister spraw zagranicznych Hiszpanii: Bongo żyje.

Premier Gabonu Jean Eyeghé Ndong na konferencji prasowej: Gdyby umarł, jego rodzina od razu by mnie o tym poinformowała.

Kilka chwil później o godzinie 12 GMT – Bongo umiera. Jego śmierć potwierdza premier Gabonu.

Jego syn w mowie pożegnalnej: „Przez czterdzieści lat byłeś naszym światłem. My, twoje dzieci, obiecujemy, że ogień nie zgaśnie”. Dotrzyma słowa. Zostanie prezydentem i głową gabońskiej masonerii. Wieść niesie, że ma geny ojca.

Na pogrzebie na liście gości obok władców Beninu, Burkina Faso, Burundi, Kamerunu, Republiki Środkowej Afryki, Czadu, Demokratycznej Republiki Konga, Mali, Senegal, Wysp Świętego Tomasza i Togo znajdują się Nicolas Sarkozy i Jacques Chirac. Gdy wysiądą z limuzyny, zostaną przywitani gwiazdami i okrzykami: „NIE dla Francji!”.

Wiemy jednak, że w Gabonie wszyscy wciąż mówią po francusku. Dzięki niemu komunikuje się tutaj ponad dwadzieścia ludów, używających na co dzień własnych języków. W kraju zamieszkanym przez dziesięć tysięcy francuskich ekspatów nadal stacjonuje tysiąc francuskich żołnierzy.

Wiemy, że pracownicy jednego obozu firmy drzewnej spożywają rocznie do osiemdziesięciu ton dziczyzny.

Najprawdopodobniej w ogóle nie doceniamy roli żywności w historii afrykańskich społeczeństw.

Wiemy już, że jest podział: restauracje to miejsca głównie dla ekspatów, garkuchnie – dla Afrykanów.

Wiemy, że mleko przywozi się z Francji, zapalki z Kamerunu, ropociągów jest tu więcej niż dróg, a gospodarkę określa liczba osiemdziesiąt: tyle procent jedzenia importuje się z zagranicy, tyle procent eksportu stanowi ropa.

Wiemy też najważniejsze: takie proporcje mogą dowodzić istnienia neokolonializmu.

II

1

Na początku był las. Był to las bezkresny i ponury, ale gdy wypełniało go poranne światło, nabierał metalicznego, niebieskiego połysku. Żyło w nim wiele zwierząt: dujker, dzioborożec, gereza, mona, okapi, potto, trogon, żako i bongo, jak i wiele roślin rosnących na innych roślinach.

Ziemia jest pod nim czerwona, gliniasta i płytka: obfite ulewy wypłukują prawie całą próchnicę – życie w buszu tętni, ale trudno w nim cokolwiek uprawiać. Łatwiej zbierać jego płody (owoce atanga, mvut), a gdy się skończą – przenieść się nieco dalej.

Żyją w nim ludzie lasu.

Są niscy, krępi, skóry żółto-brązowe lub czerwone, szerokie nosy pozwalają im oddychać wilgotnym powietrzem. Wierzą w Nzabi – stwórcę lasu i ich samych, jego pierwszych mieszkańców. Po locie ptaków miodowodów poznają, gdzie są pszczele ule. Miód daje im dużo siły: na polowanie (znikają w buszu na kilka tygodni), karczowanie lasu (w buszu nie ma łąk) i czekanie (w buszu wymaga to wiele wysiłku). Znają

tajemnicę przetrwania: odróżniają rośliny trujące od leczniczych. Zmarłych zostawiają w szalasi i przenoszą się na inne miejsce. Nie tworzą państwa ludzi lasu ani nie zniewalają innych ludzi lasu. Nie potrafią ocenić, czy żyje im się ciężko – innego życia nie znają.

2

Mogło to wyglądać tak:

Z lasu unosił się dym – najpewniej z jakiejś chaty, a oni szli od północy.

W wiosce trwało życie: strzelanie gałęzi i ognia, płacz dzieci i ten mężczyzna, który stał na skraju buszu z oszczepem opartym o pierś. Nasłuchiwał, a tamci zbliżali się od północy. Byli inni. Jaśniejsza skóra, wyżsi, dużo wyżsi, dobrze zbudowani. Przybyli z krainy żyznych ziem, gdy jej dla nich zabrakło. Weszli do wioski ludzi lasu. Nieśli żelazo, zboże, pochrzyny, palmy i nasiona. Osiedlali się, karczowali las i rzadko przenosili się dalej. Las rozświetlały odtąd zielone łąki. Mówili o sobie Bantu.

Bantu nigdy nie byli pewni jutra: czy zboże wszędzie?

Ludzie lasu nie znali tego uczucia: las był przewidywalny. Dlatego nigdy go nie opuszczają.

Ludzie lasu służą Bantu jako przewodnicy w lesie.

Mniej więcej wtedy powstaje pierwszy bazar: żelazo i zboże za płody lasu.

Z północy zaczynają napływać żółte, mięsiste i pożywne jak miód owoce. Będziemy nazywać je bananami. Przyjmują się w buszu doskonale i zabijają głód.

3

Do wybrzeża dopływa pierwszy żaglowiec białych ludzi. Bantu dzielą się już wtedy na wiele szczepów, każdy z własnym językiem i tradycjami.

Estuarium zamieszkuje szczep Mpongwe i to oni dostąpią pierwszego kontaktu z obcymi: euforia i strach, wieczorne dyskusje przy ogniu i pytania o niepewną przyszłość. Mpongwe różnią się od innych szczepów znamioną cechą: szybciej się uczą. Żeglarze proponują im wymianę: nad oceanem powstaje wielki bazar. Europejczycy (po Portugalczykach) pojawią się

Holendrzy, Brytyjczycy i Francuzi) wachają mięso małp, węży i odyńców. Mpongwe dotykają broni i wkładają paluchy do strzelniczego prochu. Mpongwe podpisują z Francuzami umowę: Francuzi dostają na własność ziemię w zamian za handlowe pierwszeństwo dla Mpongwe.

Ludzie lasu przyglądają się tym scenom z daleka.

4

Ten dzień zmieni wszystko.

Na bazarze pojawiają się długie, mięsiste pałki, które biali zrzucają ze statków. Pałki pochodzą z Nowego Świata i będziemy nazywać je maniokiem. Maniok zdobędzie serca Afrykanów: można uprawiać go cały rok, bulwy do zbiorów pozostają w ziemi, robi się z niego mąkę i chleb, i najważniejsze: ukraść go o wiele trudniej niż banany. Przybycie manioku rozpoczyna nową erę.

Uprawa manioku wymaga jednak wiele pracy i w Nowym Świecie potrzeba ludzi.

Mpongwe wyjaśniają białym, że ludzi do pracy można szukać w głębi lasu. Ale to wielki las, powtarzają uparcie, pełen zasadzek, kanibali i trujących roślin. Biały zachoruje i umrze. Mpongwe stają się pierwszymi Bantu w regionie, którzy żyją z prowizji: otrzymują od białych towary i wymieniają je w buszu na niewolników. Biali odbierają ich na wybrzeżu.

Mpongwe zatrzymują też jednak niewolników dla siebie. Ludzi dzielimy odtąd na:

asaka – niewolników;

imbamba s'asaka – dzieci niewolników

i ludzi wolnych – Mpongwe, którzy podejrzewają już, że władza opiera się raczej na kontroli nad ludźmi niż ziemią.

Bazar wrze: w pogryzionych przez czerwie skrzyniach przypłynęły do Nowego Świata żółte owoce. Ich smak wykrzywia twarze pierwszych ciekawskich. To cytryny.

Będą wspominali tę chwilę długo, ale przyćmi ją dzień, gdy na bazarze ujrzą biały, kulkowaty pokarm. Będziemy nazywać go ryżem. Nieistotne, skąd pochodzi, istotne – kto go przywiózł. Jest to bowiem okres, kiedy do estuarium dobijają już tylko Francuzi, a szanujący się wódz Mpongwe posiada dwustu

niewolników. Taka liczba poddanych chroni przed pracą w polu – czynnością znojną i niewdzięczną. Mpongwe pozwalają sobie co najwyżej na trzymanie kurczaków. Ryż w Afryce to znak, że Francuzi podbili już Azję.

Ludzie lasu wycofują się głęboko w dżunglę.

5

Handel niewolnikami generuje problem natury ekonomicznej: przewagę konsumpcji nad produkcją.

Tego roku Francuzi przechwytyją na oceanie brazylijski statek L'Elizia z transportem niewolników. Uwalniają ich, a wyzwoleńcy zakładają nad oceanem Libreville – miasto wolnych ludzi, które od razu zaczyna tętnić. Rok później R'Ogouarouwe, wódz Mpongwe, podpisuje z Francuzami traktat poddańczy.

Francuzi zakładają przy forcie pola – z ryżem i warzywami.

Z Afryki Zachodniej ściąga lud Kru. Kru wiedzą już, jak uprawiać ryż.

Jedzenie na bazarze kupuje się za europejskie pieniądze.

Misjonarze, którzy prowadzą działalność edukacyjną, zakładają plantacje bananów. Misje protestanckie walczą z misjami katolickimi o afrykańskie dusze. Protestanci wymagają od swoich podopiecznych opłat za wyżywienie. Katolicy oferują je bezpłatnie. Afrykanie wybierają katolicyzm.

6

Do estuarium przy pływa coraz mniej statków. Francuzi narzekają: nie otrzymują dostaw jedzenia ani papierosów na handel z tubylcami.

Na oceanie nie widać patroli.

Z bazaru zniknęli rybacy Orungu: znów przemycają niewolników na São Tomé.

Misje nie są w stanie wyżywić podopiecznych. Ich liczba spada o połowę. „Jesteśmy najbardziej ubogim w żywność krajem świata” – pisze do Francji przełożony jednej z misji ojciec Pierre-Marie Le Berre.

Właśnie trwa wojna francusko-pruska.

7

Gabon nawiedzają susza i powszechny głód – dotąd nieznany.

Szybko pojawiają się wybawiciele.

O świcie nad wody estuarium nadlatują stada białych mew, lecz po chwili staje się jasne, że to złudzenie: w stronę bazaru płynie rój łodzi pod białymi żaglami. Na pokładzie stoją wysocy Murzyni z koszami ryb i manioku. Parującymi ulicami wędrują rozkołysane Murzynki, niosąc na głowie kiście bananów. Przybywają z północy, gdzie skończył się popyt na kość słoniową i kauczuk. Noszą na sobie niewiele: ubranie z kory, rzadziej ciuchy z Europy, amulety. Fangowie (to też szczep Bantu) zdominują handel żywnością w mieście. Mieszkańcy Libreville znów mają źródło zaopatrzenia.

Jednak ceny jedzenia szybują.

Na bazarze pojawia się coraz mniej kobiet. Jeśli już, to pod ochroną mężczyzn. Ich ciała znajduje się na ścieżkach w dżungli prowadzących na bazar. Trwa wojna między zwaśnionymi klanami Fang. Kobiety są łatwymi ofiarami.

W mieście głód. Jedzenia będzie brakować przez kilka lat.

Miasto, z racji swojego położenia, po ekspedycjach Brazzy w głąb lądu staje się oczkiem w głowie Francuzów – bramą do Afryki Środkowej i głównym węzłem komunikacyjnym. Otacza je jednak nieprzebyta ściana dżungli.

Tego dnia nad brzegiem oceanu ze statku wysiadają ludzie niscy, o żółtawej skórze i skośnych oczach. Pracują szybko i cierpliwie. Wiedzą wszystko o ryżu. To wietnamscy skazańcy przysłani do Gabonu przez Francuzów, którzy narzekali na brak rąk do ciężkiej i marnie płatnej pracy. „Padają na malarię jak muchy” – pisze w liście francuski pastor. W 1909 roku zostanie ich sześciu, ale zdążą nauczyć Afrykańczyków przyrządzać potrawy z ryżu.

8

Ta wiosna była nie do zniesienia. Do maja bazar był pusty. Ludzie jedzą z głodu niedojrzałe papaje.

Nie dopływają statki z Europy, jakby wszystkich wybiła zaraza.

Spustoszenie sieją słonie: trują plantacje manioku i bananów. Napadają na wioski, ludzie uciekają do dżungli. Niesie się wieść o pięciu stadach rozwścieczonych gigantów, które niszczą wszystko, co napotkają na drodze.

Mężczyźni nie strzegą pól. Wyjechali na wielką wojnę walczyć za Francję albo harować za Francję.

Głód trawi miasto i prowincję, głód osłabia wolę walki, cichną wojny klanowe, co otwiera misjonarzom drogę do wnętrza kraju: rozpoczyna się chrystianizacja prowincji. Afrykanie po raz pierwszy słyszą bicie dzwonów: uczą się jeść o wyznaczonych porach.

Mpongwe z wybrzeża nauczyli się tego już sto lat wcześniej. W 1842 roku do estuarium dopływa amerykański pastor John L. Wilson. Składa wizytę Rapontchombo, wodzowi Mpongwe. Na stół wjeżdżają cztery dania podane na talerzach i dwie butelki francuskiego wina. Po posiłku wódz częstuje pastora cygarami. Pierwsze danie zostaje podane punktualnie o jedenastej.

9

Bazar znów odżywa. Pojawiają się na nim pączki: pieką je imigranci z Togo i Dahomeju.

Sprzedające je Murzynki z niepokojem spoglądają na nową piekarnię Réne PéliSSona. O poranku ustawia się pod nią wężyk ludzi, którzy namiętnie dyskutują. Bagietki znikają w mgnieniu oka.

Na horyzoncie kołyszają się statki z Europy, z dalekiej wojny wracają ojcowie i mężowie.

Estuarium wypełnia zapach żętego drewna: *okoume*. W porcie krzątają się już znawcy drewna i robotnicy. Mieszkają w obozach w dżungli. Towarzyszą im agenci handlowi z misją aprowizacyjną.

Z Europy płyną tony ryżu (w latach 1925–1926 import wzrasta z sześciuset tysięcy kilogramów do ponad czterech milionów ton). Ojciec Julien Mace pisze do kolegi we Francji odpowiedzialnego za zaopatrzenie Gabonu w ryż: „Mam do wyżywienia ponad trzysta brzuchów Fang. Myślisz, że dwie tony starczą?”.

By zapewnić lepszy nadzór nad przepływem deficytowej żywności, Francuzi wydają dekret: żywność w drodze na bazar musi przejść przez ręce wodza wioski.

Staje się jasne, że władza należy do tych, którzy mają kontrolę nad żywnością.

Félicien Endame Ndong, wódz Fang z regionu Kango, w trakcie inspekcji wioski każe służącym nosić się w hamaku. Godzi się sądzić poddanych, pod warunkiem że ucałują jego łaskę.

10

Tego dnia na bazarze mówi się tylko o tym. Francuzi zbudowali swój własny bazar – w zamkniętym budynku. Handlują tam jedzeniem w puszkach, które ponoć się nie psuje. Fasola, solona wieprzowina, groch, ryby, biszkopty, beczki mąki. Prawo robienia zakupów na nowym bazarze mają obywatele francuscy: rodowici Francuzi albo dzieci z mieszanych małżeństw – owoce „*l'amour congolaise*”. Obywatelstwo daje dostęp do jedzenia. Odtąd wszyscy chcą być Francuzami. Wykształceni Mpongwe, pozbawieni już monopolu na handel żywnością, zasilają francuskie urzędy, pracują jako tłumacze. Wykluczeni zakładają spółdzielnie. Ale te szybko upadają, nie są w stanie konkurować cenowo z importerami. Puszki z Francji docierają tu szybciej niż płody z krajowych plantacji: droga z północy kraju do stolicy zajmuje dwa tygodnie. Zanim jedzenie dotrze do Libreville, gnije. Francuzi używają już lodówek.

11

Nadszedł jednak czas, gdy opustoszały nawet sklepy.

Do pracy spóźniają się gabońscy urzędnicy: tłumaczą, że szukali jedzenia dla swoich rodzin.

Zdrożały nawet ryby.

Wioski opuścili mężczyźni.

Do Libreville wrócił głód.

Władza wydała rozkaz dostarczania do miasta dziesięciu tysięcy bulw manioku tygodniowo.

W kraju wciąż nie ma dróg. Rolnicy z północy sprzedają zbiory w sąsiedniej Gwinei Równikowej, bo od Libreville dzieli

ich kilka tygodni ciężkiego marszu przez dżunglę.

Do portu znów nie zawijają europejskie statki.

Przez dżunglę wędrują pierwsze karawany. Jedną tworzy zwykle kilkudziesięciu mężczyzn. Grzęzną w błocie, łamią nogi, gubią się w gęstwinie. Niosą ziemniaki. Uprawia się je od niedawna na nowych plantacjach. Zbiory są znakomite: Libreville zalewają kartofle. Tyle że zgniłe. Wreszcie w kraju pojawiają się ciężarówki, ale brakuje benzyny, a leśne trakty zalewa błoto. Kierowcy żądają dwóch franków za przewiezienie do stolicy kilograma ziemniaków. Ich transport z subdywizji Medouneu do Libreville zajmuje dwa tygodnie. Jej szef wysłała do stolicy karawanę tysiąca tragarzy z piętnastoma tonami ziemniaków. Gniją w państwowych magazynach: władza zobowiązuje się skupować je od handlarzy, którzy nie znajdowali dla nich nabywców. Ziemniaki nie zdobywają serca mieszkańców Gabonu i władze wycofują się z rozpoczętego programu subsydiowania.

Mniej więcej w ten sposób w Gabonie kończy się druga wojna światowa.

Zanim kraj ogłosi niepodległość, jego mieszkańcy połowę pensji będą przeznaczać na wyżywienie.

Talerz jest wyznacznikiem statusu. Afrykanie pełnią głównie funkcje służących. W latach pięćdziesiątych modne wśród ekspatów stają się restauracje w hotelach La Résidence i Central. Brytyjski dziennikarz Russell Warren Howe spotyka się z tutejszym konsulem Korony, spożywają obiad złożony z trzydziestu dań.

Lokalny biuletyn Agence France-Press reklamuje knajpy z bretońską i baskijską kuchnią – obiad za siedemset pięćdziesiąt franków afrykańskich.

Miesięczna pensja Gabończyków wynosi około czterech tysięcy franków.

Do władzy dochodzi M’Ba. Wiedział, jak zdobyć przychylność Francuzów: w najcięższych czasach potrafił dostarczać im zapasy jedzenia.

W 1964 roku, tuż po zamachu stanu na M’Ba, żona amerykańskiego ambasadora Arthura Darlingtona notuje:

„Pomyślałam, że zamknięte może tu być wszystko prócz jednego miejsca, bez względu na okoliczności: piekarni PéliSSona”.

III

1

To miasteczko, które nie zwraca na siebie uwagi na mapie świata. Nie jest wyróżnione tłustym drukiem, żadnych podkreśleń, kursyw, symboli miedzi, ropy czy uranu. Wokół wszystkie odcienie zieleni, która rozciąga się od Sahary po Kalahari, od Oceanu Indyjskiego po Atlantyk. Ledwie widoczna, najcieńsza kreska: Minvoul. Trudno ten napis wypatrzyć, cud, że w ogóle jest! Bo mamy jeszcze coś. Gąszcz poziomych kresek, jedna obok drugiej. Legenda i skala nie kłamią: to wielka przestrzeń bagien na pograniczu gabońsko-kameruńskim.

Dwa, trzy dni posiedzisz w Minvoul, dwa, trzy piwa wypijesz z tym i owym, to się dowiesz: przez te bagna wędrują przemytnicy kości słoniowej. Jest to zajęcie mordercze i cholernie ryzykowne, ale dochodowe. Ci-cho-sza.

Są też w Minvoul jedna droga gruntowa i niedziałające lotnisko: po prostu wielki wyboisty plac czerwonej gliny. Zarasta go busz.

W Minvoul jest również zaduch, więc w izbach można skisnąć. Wszyscy na zewnątrz. Ale zaczyna się dopiero po zmierzchu: głośniki na *full*, trzask, akustyczny obłęd, bez litości, smażony makaron i rozgotowany maniok. Pożółkłe firanki w przydrożnych spelunach fruują w powietrzu. Piwo Regab, się żyje.

Posiedzisz dłużej, to ktoś szepnie: *iboga*. Roślina, podobno najsilniejszy narkotyk na ziemi, znajdziesz ją w lesie. Spożywają go na ceremonii *bwiti*, wpadają w trans i łączą się z duchami dżungli. Na *bwiti* zjeżdżają się ludzie z całego kraju.

Jest nas trzech i mamy plan.

Przyjechaliśmy tu parę dni temu z Libreville. Tam spotkaliśmy się z Pauwelem den Wachterem, szefem WWF Gabon i dyrektorem projektu Minkébé, mającego na celu ochronę gabońskiej puszczy przed kłusownikami i zakusami kompanii drzewnych. Wręczył nam GPS i stare sowieckie mapy

gabońskiej puszczy. Na pożegnanie ostrzegł: uważajcie na słonie.

Dzięki konsulowi Andrzejowi Dębskiemu jedziemy z Libreville na północ z plikiem pozwoleń, pism i rekomendacji. Afryka: bez stempli i papierów ani rusz.

Wokół las. Trzy czwarte kraju to dżungla. W Oyem spotkanie z gubernatorem prowincji, prezenty, kolacja: odyniec, węże, małpi łeb i wino. Wszystko nagrywam. Czujemy się jak goście. Teraz chyba nikt nas nie zatrzyma.

O poranku wizyta u dyrektora Parku Minkébé. Siedzimy jak na kazaniu, on – okulary, kwiecista koszula, ręce jak aksamit. Czyta z atencją. Oznajmia: nie wydam zgody na wejście do parku. Panika. Telefon do konsula. Ten dzwoni do jakiegoś ministra. Załatwione.

Bagaż na dach samochodów. Wielka hałda ustrojstwa: worki transportowe, namioty, hamaki, garnki, siekiery, saperki, chaos. Jeszcze zakupy. Ostatni większy sklep. Dopiero potem kierunek: Minvoul. Po drodze checkpointy, kontrole żandarmerii.

2

Jest nas trzech i na tę sprawę jest nas za mało.

Musimy zatrudnić ludzi. Szukamy. Obskakuje nas cała granda doradców. Wszyscy podpici. Pigmeje, tak, Pigmeje, nikt nie zna dżungli lepiej niż oni. Przychodzą pierwsi chętni. A my liczymy: ilu i za ile?

Bo proszę sobie wyobrazić kłopot: jest nas trzech i według wszelkich szacunków spędzimy w buszu dwadzieścia jeden dni. Na cały ten czas musimy zabrać ze sobą zapasy żywności. Nie podołamy. Trzeba nam wsparcia – tragarzy. Ilu? To jest zagwozdka. Możemy zabrać nawet dziesięciu, tylko zaczynamy krążyć po błędnym kole: oni też muszą jeść! To ilu? Siedmiu, a może sześciu? A może czterech starczy? Kalkulacje, ołówki, tabliczka mnożenia, pot na czole i ciągle wątpliwości. A jeśli to za mało?

Staje na sześciu. Nasi doradcy sami wyselekcjonowali dla nas najlepszych: Nestor, Pepe, Augustin, Alex, Beatrox, Mepst.

Razem jest nas dziewiątka.

Spotykamy się w ganku naszej *auberge* (tak nazywa się tu lokalne skromne noclegownie). Pośredniczy prefekt miasta siedzący na sofie przy węższym boku długiego stołu – długie, piękne palce, chyba polakierowane paznokcie, długi pazur wskazującego. Uśmiecha się, podpisuje pisma, które, wygląda na to, potrzebne są tylko jemu. Podpisujemy kontrakt z tragarzami, umowa stoi, wręczamy im zaliczki.

Ostatnie zakupy: ryż, makaron, mąka fu-fu, fasola i sporo manioku.

Noc. Dzień.

Ósma rano, czekamy gotowi pod *auberge*. Nikogo nie ma. Pustka. Tylko chłopiec, który codziennie sprzedaje z wielkiej misy białe, twarde larwy. Ktoś idzie ich szukać, nie wraca, za nim wyrusza następny, przepada. Kolej na mnie. Coś mnie podkuśliło, coś przeczuwam: bar.

Pijani w drobny mak.

(Przestrzegał Pauwel: Pigmeje chodzą swoimi ścieżkami, miejcie się na baczności).

Trzeźwieją. Rzucają wory na plecy, udręka, paski wrzynają im się w gołe ramiona. Zaczynam się martwić. Po pół godzinie marszu – rzeka, rozlewiska, ładujemy bagaże na pirogi. Po trzy osoby na jednej. Ja i Tomek z tyłu, Alex na przedzie. Wodny labirynt, milczymy. Alex zna to uroczyisko jak własną kieszeń. O włos mija korzenie i wystające głązy. Dłubanka ledwo trzyma poziom. Podnoszę kamerę, łódka wpada w wahadłowy przechył, wrzask Alexa. Nie oddycham. Spokój. Nie wywróciliśmy się. Gdyby tak się stało, tracimy ekwipunek, *fin*.

Potem Bituga, o Bitudze już opowiadałem. Spotkanie z wodzem, kupujemy indyka, Pepe go skubie, wspólna kolacja z Pigmejami, bituganie wpadają w trans. Gdy wracamy do chat, jest noc, ale ciche błyski na niebie dają dużo światła. Gdzieś w dżungli, gdzieś w tym lesie słychać dudnienie – jak pogoń olbrzymów. Ktoś pyta szeptem: „To słońce?”. Nie chcemy znać odpowiedzi.

Świt. Stoimy przed chatą. Widzę ją. Widzą ją też inni, dopijają kawę, dogryzają mięso, ale wszyscy łypią na nią znad

misek. Patrzymy na ścieżkę, która do niej prowadzi. Pchamy się tam z własnej, a może już nie własnej woli.

Obcieramy wargi, łypiąc na Minkébé. Nasz plan: spróbujemy dokonać pierwszego pełnego trawersu tej puszczy. Mamy do pokonania dwieście kilometrów. Spójrzmy na inne mapy. Pierwsza przedstawia zagęszczenie ludności (kolor czerwony). Jedna czerwona plamka, w zasadzie kropka, w okolicy Minvoul. Poza tym – pustka. Druga – populację słoni (kolor zielony). Mapa jest cała zielona, im bliżej serca puszczy, tym ciemniejsza. 30 000 sztuk (słownie: trzydzieści tysięcy wolnych, dzikich słoni).

I nasza dziewiątka.

3

Przez pierwsze trzy dni Pigmeje doskonale orientują się w terenie, znają tutaj każdą dziurę, dziuplę, opuszczone chaty łowców. Najwięcej tłumaczy Nestor i Augustin, nasi maczeterzy-łowcy.

Bo w takiej grupie, w takich okolicznościach każdy musi mieć swoją funkcję i za coś odpowiadać. Inaczej – rozpad, katastrofa.

Nawigacja: ja. Na szyi mam GPS. W ręku kompas, na który bezustannie spoglądam. Co kilka metrów wydaję maczeterowi komendy.

Bo maczeter nic nie widzi. Wali na oślepa, pełna dniówka, osiem godzin dziennie, zmieniają go, kiedy padnie. Traci w tym rąbaniu orientację, potrzebuje ciągłego nakierowywania, by nie marnować sił. Maczeter to najbardziej niegodziwa fucha w dżungli. Bywa, że wytnie dla nas w gąszczu w osiem godzin jedynie trzy kilometry tunelu.

Jest też kucharz (Beatrox). To niezwykle odpowiedzialna funkcja. Głód i bałagan w kuchni fatalnie wpływają na morale grupy. Pilnuje co, gdzie, kiedy i co najistotniejsze – ile? Żywności nie może zabraknąć. Na kucharzu skupia się w takich warunkach wiele gniewu i frustracji. Ktoś chce więcej, a kucharz:

– Nie!

Więcej chcą zazwyczaj tragarze. Tragarze to śliska sprawa. Harują jak woły, cierpią. Są najbardziej narażeni na spadki formy, a nawet depresje, z zazdrością spoglądają na cenionego kucharza czy łowców.

Łowcy z kolei znają swoją wartość (Nestor i Augustin). Wiedzą, że dysponują szóstym zmysłem, dzięki któremu wypatrują niedostrzegalne dla nas śmiertelne niebezpieczeństwa – słońce i węże: czarną mambę i żmiję gabońską. Czują się pewnie, bo imponują reszcie swoją wiedzą, sprawnością i umiejętnością zdobywania pożywienia.

Jest trzeci dzień i łapiemy rytm.

Dwie godziny przed zmierzchem – jeśli jest w pobliżu woda – postój. Karczowanie lasu, namioty, hamaki, węzły, palenisko, ogień, wbijamy wysokie słupki w ziemię, na nie poprzeczka, zawieszamy baszę. Bez baszy ani rusz. To nieprzemakalna niebieska (niebieski odstrasza komary) płachta, sześć metrów na cztery. Basza chroni przed tropikalną ulewą najcenniejszą rzecz w obozie: ogień.

Kolacja, mąka fu-fu, fasola, maniok, ryż, puszki, gaworzenie, sen, jednak nie dla wszystkich.

Bo noc w dżungli to pisk, skrzekot, jazgot, organiczne rozwydrzenie. Ten obślizgły, parny organizm poci się, rozpycha, trzeszczy.

Dlatego większość ludzi śpi w dżungli w namiocie. Chroniąca przed owadami i pijawkami moskitiera, dające namiastkę bezpiecznego domu ściany namiotu odcinają człowieka od tego, co na zewnątrz.

Ale namiot to duchota, męka, pot leje się po czole, brzuchu, po chwili wszystko mokre. A dla innych – klaustrofobia. Ci wołają hamaki. Hamak daje chłód, zbawienny przewiew. Ale śpiąc w hamaku, jesteś w środku puszczańskiej orgii, wydaje ci się, że bierzesz w niej udział. Dlatego wielu z tych, którzy umordowani wyskakują z namiotu, po chwili do niego wraca, nie wytrzymawszy grozy równikowej nocy. Słyszać dźwięki suwaków, gasną latarki. Ale namiot to duchota, męka, pot leje się po czole, brzuchu, po chwili wszystko mokre...

Świt, żar, ogień, śniadanie, zeszywniałe trepy, kawa, kręgi światła nanizane na sznury lian, pakowanie, w drogę.

My w pancernych butach, a oni boso. Najbezpieczniej nosić w dżungli wysokie gumowce – skutecznie chronią przed ukąszeniami węży. Ale są dobrym (i koniecznym) rozwiązaniem jedynie na dzień, dwa, góra tydzień. Potem stopy zaczynają gnić, pojawia się grzyb, poza tym – które buty wytrzymają takie tortury: ciągłą wilgoć, błoto i suszenie nad ogniem? Jednak do chodzenia boso w dżungli stopy hartować trzeba od urodzenia.

5

Piąty dzień. Biwak stoi. Nestor i Augustin idą na przechadzkę. Tak będzie do końca. Gdy już rozbijemy obóz, ruszają na rekonesans. To my za nimi.

Są jak dzieci. Wszystkiego dotykają, wachają. Grzebią w ziemi i wykopują robaki. Szukają korzeni i jadalnych grzybów. Oni pierwsi, reszta gęsiego za nimi. Uskok, parów, gąszcz, stromizna. W lewo, w prawo, obrót. Nacinają gałązki. Znaczą w ten sposób drogę powrotną. Stop! Czarna mamba. Gdzie? Wskazują palcem na gałęzie. Słyszą ją. My nic! Trzeba obejść ją bokiem. Czarne paskudztwo, najszybszy wąż świata, agresywny, wbija zęby w szyję. Stop. Słonie. Gdzie? Po prawej. Przecież słyhać. My nic! Powrót. Wystarczy jeden, drugi obrót w tej gmatwaninie, by zupełnie stracić orientację. Oni zawsze bezbłędnie trafiają do obozu.

Alex bez przerwy pali papierosy.

Papierosy to będzie niezły zgryz.

Pigmeje palą jak smoki. Mija dopiero pierwszy tydzień, a zostały już ostatnie paczki. Wzięliśmy tylko trzy kartony – na więcej nie było miejsca.

6

Zaczęło się siódmego dnia.

Wieczór, obóz, ogień.

Nestor i Augustin poszli. Reszta padnięta. Jedni leżą, Beatrox tłucze garami, ktoś poszedł po wodę. Łapiemy za siekiery, żeby narąbać trochę drewna, ktoś struga ławkę.

Nagle skowyt i od razu ludzkie wrzaski.

Wszyscy myślą to samo: pantera. Dopadła ich.

Cisza. Rzucamy siekiery, biegniemy.

Wracają. Błdzi. Pytamy, co się stało. Milczą. Siadamy wokół ognia. Odpalają papierosy. Pokazują nam trzy palce. Trzy.

Zaatakowały ich trzy słonie: rodzice z małym. Gorzej nie można trafić. Ryczą i ruszają prosto na ciebie. Nestor i Augustin żyją, bo w trymiga wspięli się po lianach na drzewo. My nie jesteśmy tak sprawni.

Wchodzimy do królestwa słoni i ustanawiamy zasady: na szpicy idzie maczeter. On pierwszy wypatrzy zagrożenie. Najpierw podnosi rękę – to znak, że coś widzi. Gdy krzyknie, pędzimy za najbliższe, duże drzewo. To jedyny sposób, by uniknąć tragedii. Słoń, gdy zaatakuje i chybi, nie ponawia ataku. Nie jest na tyle zwinny, by krążyć blisko drzewa. Poza tym – oczy bez przerwy dookoła głowy.

Mamy plan.

Do tej pory idziemy na azymut, przebijając się przez równikowe zasieki albo wysokie jak drzewa, duszne trawy. Pokonujemy marne odległości. Trzeba to zmienić. Będziemy trzymać ogólny kurs, ale wykorzystamy *mukongo*.

Mukongo to jest od teraz nowe słowo klucz.

Wypowiadamy je nawet częściej niż „woda”, „ogień” i „jedzenie”. Jeśli nie wykorzystamy *mukongo*, nie pokonamy puszczy w zakładanym czasie. Skończy nam się jedzenie. *Mukongo* w języku Pigmejów Baka to „ścieżka słoni”. W Minkébé jest to prawdziwa sieć, węzeł transportowy, szerokie na kilka metrów tunelowe aleje z legowiskami wyżłobionymi na poboczach. Słonie wędrują w Minkébé siecią *mukongo*, porozumiewając się za pomocą infradźwięków: słyszą się na odległość kilku kilometrów.

Odżywamy. Koordynuję marsz, jest lżej. Trzymamy tempo. Jakbyśmy złapali wiatr w żagle. Nadrabiamy zaległości. Do czasu.

Bagna. Po pas. To *bai* – w języku Baka podmokłe, bagienne łąki. Żyją w nich dochodzące do siedmiu metrów pytony. Cały dzień na bagnie. Smród, ściervo porośle rzesą. Godzinę przez bagno, potem stroma góra, przez chwilę suszej, znów w dół, bagno. Każdy, kto wychodzi z bagna, siada lub kładzie się

na plecach. Bagno to jest w Minkébé wysysacz siły. Dżungla jest brzydka i śmierdzi.

Wieczór. Ja w namiocie. Gorączka, dreszcze, fatalnie. Objawy malarii. Nestor i Augustin znów idą w tango. Za nimi Tomek z aparatem. Drzemię. Na ognisku strzela mokre drewno. Budzą mnie ich pokrzykiwania. Odślaniam moskitierę. Nestor niesie na ramionach węża z uciętym łbem.

Opowiadają.

Idą ścieżką. Nestor pierwszy, Augustin drugi, za nimi Tomek. Nagle stają jak wryci. Augustin się odwraca i odpycha Tomka. Na ścieżce wąż, długi na metr. Nestor podbiega i jednym zamachem odcina mu maczetą głowę.

Żmija gabońska. Ukąszenie: kwadrans i śmierć. Chyba że jest surowica. Ale my nie mamy. Zresztą musi być przechowywana w chłodzie (nie ma takiej możliwości), a jej dozowanie wymaga fachowej wiedzy (nie ma z nami lekarza). Bywa, że równocześnie trzeba podać ofierze adrenalinę. Surowica może wyrządzić człowiekowi większą szkodę niż jad węża.

Metr węża to jest dużo mięsa. Bardzo nam go brakuje. Jemy już tylko ryż, makaron i fasolę. Skończyły się konserwy.

Kocioł na ogień. Alex ściąga ze żmii skórę. Teraz wnętrzności. Wypadają z nich myszy. Podstawiać miski. Jedna koło drugiej, wszystkie srebrzą się w ogniu. Gdy Beatrox nakłada soczyste mięso, przypominam sobie o wirusie Ebola. Epidemie w tym rejonie wybuchają regularnie. Do dziś uczeni spierają się, jak przenosi się to śmiertelne zarastwo. To przez ebolę nie ma w Minkébé goryli. Nie słyhać charakterystycznych dla równikowego lasu Afryki głuchych uderzeń w małpie piersi. Wirus Ebola wykończył całą populację. Zaczyna się dyskusja: jeść czy nie? Nestor tłumaczy, że ostatnimi laty jest czysto. Jeść, bez obaw, potrzebna nam siła. Mięso rozpływa się w ustach.

7

Skończyły się papierosy. Nerwy. Bluzgi. Zniechęcenie. Ktoś ukradł w nocy z plecaka ciastka. Tutaj to wielkie przestępstwo. Nikt nie chce się przyznać. Podle.

Słabniemy z dnia na dzień. Pot, brud i po co to wszystko?
Noc, ogień, iskry.

Obóz na wielkim wzniesieniu, wokół głębokie jary.

Zapada noc, ktoś już chrapie w hamaku. Pigmeje piją kawę.

Dlaczego nie wzbudziło to mojego podejrzenia? Po raz pierwszy pili kawę wieczorem, przed snem. To niedopuszczalne, kawa jest ściśle racjonowana. Dlaczego nie zwróciłem im uwagi? Wcześniej nie miałem problemów z przywoływaniem ich do porządku.

Zasnąłem.

Noc, trzask, światła, krzyki, zrywam się. Co się dzieje? Wybiegam na zewnątrz. Wokół obłądny taniec świateł. W obozie pusto, zostałem sam. Dlatego pytam sam siebie głośno i wyraźnie:

– Co się tutaj, kurwa, dzieje?!

Światło zbliża się do mnie od strony południowego jaru, widzę czarne postacie. Świecą mi prosto w oczy. To nasi. Nestor i Pepe rzucają o ziemię czymś wielkim i ciężkim. Światło. Ogromna dzika świnia.

Opowiadają.

Nabili maczety na długie kije, zrobili prowizoryczne oszczepy. Północ. Wiedzieli, że w jarze buszuje stado świń. (Skąd, u diabła, wiedzieli? Przecież nie było nic słyhać!). Zaczaili się w krzakach. Pojawiły się koło drugiej w nocy. Biegły całym stadem dnem jaru. Nestor trafił w samą szyję dorodnego knura. Nawet nie trzeba było dobijać.

Mięsa mamy na następny tydzień.

Ale od razu awantura.

Bo kto to będzie niósł?

Nieprzespana noc.

Teraz nie ma mądrych.

Świt. Połowę mięsa z żalem zostawiamy. Nie jesteśmy w stanie tyle unieść. Resztę przywiązujemy do plecaków, będzie się suszyć na słońcu. Gdy się zatrzymujemy, odkrawamy sobie po plastrze.

Dziś możemy zapytać: gdyby nie ta dawka mięsa, ilu z nas nie dotarłoby o własnych siłach do celu? Bo po dwóch

tygodniach marszu skończył nam się też cukier. Błąd w szacunkach.

8

Jest, być może, czternasty dzień marszu i idziemy *mukongo*. Raczej płasko. Późne popołudnie i już najwyższy czas karczować las pod obóz (zajmuje nam to około godziny). Ale wokół nie ma wody, nic. Same cuchnące kałuże. Dżungla to kraina mitów, które z rzeczywistością nie mają nic wspólnego. Woda jest jednym z nich. W dżungli jest jej niby pod dostatkiem; może być strasznie i niebezpiecznie, ale na pewno z lian spłyną nam na twarz strumienie chłodnej, krystalicznej wody. Tymczasem o czystą, zdatną do picia wodę w dżungli niezwykle trudno. Bywa, że przez kilka dni filtrujemy ją z płytkich, zamulonych bajor. Pigmeje nabierają ją obszernymi liśćmi, uformowanymi w dziubek, ledwie zanurzając je pod powierzchnię.

Ściemnia się. Dłużej nie możemy iść. To miejsce nie jest złe. Jest jakieś bajorko, przeżyjemy. Nestor trzyma ręce na biodrach. Wyraźnie jest nie w sosie. Wreszcie mówi:

– Nie możemy tu spać. Jesteśmy na *mukongo*. Na *mukongo* nie wolno spać. Po *mukongo* chodzą słonie.

Noc zapada jednak na tej szerokości w mgnieniu oka. Ciemno. Nigdzie dalej nie pójdziemy.

Biwak, kolacja, ogień.

Dziś śpię w namiocie, wczoraj nie mogłem spać w hamaku. Obok Tomek. Zmęczenie. Zasypiam momentalnie. Budzę się. Widzę, że Tomek siedzi niezwykle skupiony. Szepcze:

– On tu jest.

– Gdzie? – pytam.

– Tuż nad nami, za namiotem.

Nasłuchuję. Cisza.

– Zdaje ci się – oznajmiam i od razu zasypiam.

Mija pięć minut. Tomek mnie budzi. Rozsuwam śpiwór, podnoszę się, niepokój. W namiocie obok cmokanie Nestora. To znak do ucieczki. Zgrzyt suwaków. Wybiegamy. Nów. Coś błysnęło tuż przede mną. Śliskie. Skóra. Alex. Pędzimy na bosaka za drzewa. Porozcinane stopy.

Oddech. Oddech.

Cisza. Czarna, organiczna dziura.

9

Błyskają światła, ktoś odpala zapalniczkę. Widzę teraz ledwie muśnięte światłem twarze, wszystkie wyglądają zza drzew.

Czekać.

Mija pół godziny. Chyba już poszedł. Wracamy do obozu. Pepe roznieca ogień. Nikt nie odważy się wrócić do namiotów. Ktoś skitral sobie papierosa, resztę trafia szlag. Wszyscy uszy w szpic. Pół godziny, może mniej: trzask łamanych gałęzi. Słoń przebiegł koło obozu jak pociąg towarowy. Mieliśmy szczęście. W identycznych okolicznościach słoń ranił Michaela Faya. Do świtu czuwamy przy ogniu, przysypiamy na zmianę.

Świt. Światło jest lekkie, świeże, nienasączone jeszcze ciężarem brudnej, tęchnącej wilgoci. To światło rozwiewa największego pietra. Tacy jesteśmy zabawni. W nocy ciarki po plecach, a rano jakby nic się nie stało, jakbyśmy sobie wczoraj żartowali. Uśmiechy, typowanie największego cykora. Przyjdzie noc, ucichniemy.

10

Dziś Nestor wypatrzył gigantyczne drzewo. Dzikie figi. Pyszne. Na ziemi leżą jednak same zgniłe. Na gałęziach, pod niebem, kołyszą się mięsiste, lśniące w słońcu kiście. Pepe zrzuca plecak, zakasuje rękawy. Podskakuje, łapie się lian, obwija je wokół nóg i pnie się w górę, tak, nie bójmy się tego słowa, jak małpa. Lepiej! Drzę, chyba tylko mnie przestaje to bawić.

– Zabije się! – krzyczę.

Oni w śmiech. Gruchnęła w nas kanonada fig. Pepe zszedł, zsunął się raczej. Obżarstwo. Tego nam bardzo brakowało. Znajdujemy też owoce bambu, okrągłe, z kwaśnym, lepkiem miąższem. Żywią się nimi słonie. Jeśli znajdujemy dużo bambu, wokoło na pewno są słonie.

Wkraczamy w dorzecze rzeki Mvoung. Według naszej wiedzy (archiwa Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, wywiad wśród miejscowych) przed nami ziemie

nigdy nieodwiedzane przez człowieka. Minkébé eksplorowała kilka zespołów: w 2000 roku brytyjscy naukowcy prowadzili badania na południowym skraju puszczy, w 2004 roku grupa Holendrów wyruszyła z Minvoul na południe, jednak po kilku dniach obrali azymut na Oyem. W 2000 roku przez południową część Minkébé prowadziła trasa Megatransectu Michaela Faya. W WWF-ie w Libreville nikt nie słyszał, by ktoś pokonał pieszo całą puszcę, od krańca do krańca. By ktoś dotarł do serca dorzecza Mvoung.

Pierwszy biwak przy Mvoung. Strumień: woda – kryształ, las – nie widać czubków drzew, wszystko wydłużone, wyciągnięte, w nadmiarze, przesycie. Gmatwanina lian, mineralność zieleni.

Czy rzeczywiście jesteśmy tu pierwsi?

A jeśli tak, co z tego?

Odpowiadam: nie wiem.

Bo ludzie pytają: i jak to jest być pierwszym?

Więc – czy ktoś tu był?

11

Za chwilę mamy odpowiedź.

Rano wymarsz i od razu raban, wrzaski, coś się święci. Weszliśmy na cmentarzysko słoni. Na ziemi leży nietknięta para kłów. Tu nie było człowieka. W Afryce, w miejscach, gdzie ludzie są, bywają albo pojawiają się choć na chwilę, kość słoniowa nigdy nie leży na ziemi.

Stoimy w kręgu wokół kłów. Wszyscy dotykają je, głaszczą, przykładają do policzków. Z piętnaście kilogramów, każdy koło półtora metra. Piękna, kremowa biel.

Ale czas nas goni, tracimy go coraz częściej. Pigmeje podnoszą kły. Pytam, co robią.

Zabierają.

Dokąd?

Do domu.

To wykluczone.

Kłótnia.

Przed nami tydzień bagien, nie mamy cukru, ledwo żyjemy i będziemy nieść na plecach piętnastokilowe kły? Nie ma

mowy! Poza tym jeśli ktoś nas złapie, pójdziemy siedzieć w gabońskim więzieniu.

Ale oni już nie mają ochoty na rozmowę. Liczą, za ile je sprzedadzą. I ultimatum: albo zabieramy kły, albo się rozdzielamy. Tu i teraz.

To niemożliwe. My mamy GPS i mapy, oni łowią i polują. Oni, choć będą mieli ciężko, bez map i GPS-u wyjdą z tej puszczy o własnych siłach. A my – bez ich ryb i mięsa?

Kompromis.

Zabieramy kły. Niesiemy je na ramionach, na zmianę.

12

Dzień siedemnasty. Głupio się powtarzać, ale jest coraz gorzej. Wszyscy w malignie, oczy utkwione w ziemię, działamy jak automaty. I ciemność, ciemność tej stężałej, oszalałej kniei. Siedemnasty dzień – ciemność!

Marsz. Szerokie *mukongo*, dziś ja ostatni. Zostaję nieco z tyłu, coś uwiera mnie w plecaku. Postój. Straciłem ich z pola widzenia. Ruszam. Nagle wbija mnie w ziemię. Po lewej nieznacznym prześwicie lasu, a za nim – już to widzę, jestem pewien – oślepiająco biały stok, światło, cytrynowa zieleń. Krzyczę. Wracają. Zrzucamy plecaki.

Ruszamy w stronę światła. Wychodzimy z lasu. Zadzieramy głowy. Przed nami wyniosła, masywna góra w kształcie piramidy, której nie ma na naszych mapach. Podejście. Duszno, wszystko płynie. Coraz stromiej, łapiemy się ostrych, lancetowatych traw. Korzenie nie wytrzymują. Zabraliśmy tylko manierkę wody. Jesteśmy na szczycie.

Jasność, jasność, praży nas jasność. Pod nami turkusowy ocean parującej dżungli. Sięgamy wzrokiem na trzydzieści, może czterdzieści kilometrów, w sekundę przemierzając przestrzeń, w której grzęźniemy już trzeci tydzień. Wszyscy milczą, więc myślą. Pora schodzić. Tomek pierwszy, ostrożnie. Nagle podnosi ręce do góry jak rażony prądem. Syk pierzchającego węża. Prawie na niego nadepnął.

Wieczór, ogień, dokładna analiza map. Wynika z nich, że zostało nam około dwóch dni do inselbergów.

Świt, wymarsz i od razu zmiana planów. Nestor wypatrzył pszczoły. Miód. Cukier, o którym marzymy. Ul jest wysoko na drzewie. W ruch idą siekiery. Zgrzyt, łomot, drzewo z hukiem spada na ziemię, pszczoły kotłują się w powietrzu. Każdy dostaje wielki, lepki plaster.

13

Jestem na siebie wściekły. Nawigator od siedmiu boleści. Wybrałem złą drogę. Brniemy przez kamienne gołoborze pełne skrytych szczelin i pułapek. Przepaście. Mordęga. Wielkie ryzyko. W końcu schodzimy na dół, blisko punktu wyjścia. Od razu wpadamy w bagna. Mnie i Beatrox udaje się tym razem przejść nieco szybciej: ścinamy długie, suche bambusowate łodygi, skaczemy z jednej na drugą, unikając brodzenia po pas. Jesteśmy znów na suchym *mukongo*, przyśpieszamy kroku w poszukiwaniu miejsca na obóz. Otepienie, mój wzrok na piętach Beatrox. Wrzask. Rozbijam się o jego plecy. Podnoszę głowę. Tuż przed nami na środku ścieżki – słoń, największy okaz, jaki widziałem w Minkébé. Trąba do nieba, ryczy, Beatrox szarpie mnie za łachy i wciąga w gęsty busz. Leżymy. Chyba pobiegł na wprost, na resztę naszych. Potworny ryk. Patrę na dłoń. Fatalnie rozcięta, do kości, wpadłem na maczetę Beatrox albo nadziałem się na jakiś ostry kolec. Nie mamy wody, apteczkę niesie ktoś inny. Czuję, że miękną mi nogi, blednie skóra – krwawię. Zawroty głowy. Beatrox owija mi rękę skrawkiem mokrej szmaty. Wreszcie idą. Cali.

Opowiadają. Sam strach i nic więcej.

Obóz, wieczór, gwiazdy. Leżę na karimacie blisko ognia, drewno mokre, strzela.

Świt. Nigdzie się nie ruszamy. Cały dzień regeneracji. Pigmeje łowią ryby. Nestor zbudował sidła na krokodyla. Nie pojawił się. Jesteśmy chudzi i bladzi.

14

Inselbergi: kompleks imponujących skalnych monolitów wyrastających ponad baldachim dżungli. Cud natury, objawienie. Pionowe zerwy. Królestwo zwierząt, jak na tych wszystkich filmach. Zostaniemy tu dwa pełne dni. Rozbijemy obóz u podnóża najwyższego z nich – Grand Inselbergu.

Szczyty pokrywają rozległe, jasnozielone kobierce wysokich traw. Popołudnie. Wspinamy się z Nestorem i Alexem na Grand Inselberg. Odbijamy z kursu, wchodzimy na łąkę. Nie wierzę własnym oczom: Pigmeje się gubią. W ciemnej gęstwinie poruszają się niemal z zamkniętymi oczami, na otwartej przestrzeni, na zwykłej łące – tracą głowę!

Szczyt. Pigmeje po raz pierwszy patrzą na swój dom, na dżunglę, z tej perspektywy – z lotu ptaka. Coś w nas wzbiera. Gratulujemy sobie, dziękujemy. Dlaczego na szczycie? Przecież to jeszcze nie koniec.

Decyzja. My – ja, Tomek i Paweł – śpimy na szczycie, Pigmeje zostają w obozie u podnóża góry. Schodzimy, zabieramy część ekwipunku i bukłaki z wodą.

I z powrotem do góry. Pigmeje pomagają nam przenieść tobołki. Znow wchodzimy na podszczytową łąkę.

Ten ruch, te gesty, wyrazy twarzy, chronologię zdarzeń znam już na pamięć. Najpierw ktoś się zatrzymuje i zamiera w bezruchu. Reszta natychmiast to samo. Jednak wzrok poszukuje przyczyny, więc spoglądamy na tego, który zatrzymał się pierwszy. Na co patrzy, w którą stronę? Już wiemy: sto, dwieście metrów przed nami wielkie stado wpatrzonych w nas bawołów afrykańskich. Są nie mniej groźne od słońi. Upuszczamy bukłaki z wodą i dajemy nura w krzaki. Stado odbija w przeciwnym kierunku i znika w ścianie dżungli. Ziemia dudni, jakby biło pod nami serce świata.

15

Rozbijamy namiot, ogień. Paweł uruchamia telefon satelitarny. Dzwonimy do Jurka. Za dwa dni planujemy pojawić się nad rzeką Oua, współrzędne znane. Potwierdza odbiór, zrozumiał, oznajmia, że jutro ruszają w górę rzeki. Kontakt się urywa. Wpływają po nas do dżungli, ale nie będą mieli ze sobą telefonu satelitarnego, na który moglibyśmy zadzwonić.

Zachód. Wielka, równikowa kula słońca osiada w liliowej parze horyzontu. Stąd widać, że jest tylko gwiazdą. Stoimy jeszcze na skalnej półce nad zerwą. Pod naszymi stopami ryczą słońie.

16

Jesteśmy ponad lasem i poranna jasność ogarnia nas wcześniej niż dotychczas. Ziemia paruje i mleczone mgły szarpią ku niebu, by uformować niską, stalową zasłonę. Gdzieś tam w dole, gdzie jeszcze ciemność, ostatnie piski, dorzynania.

Schodzimy, obóz dolny już prawie złożony. Powoli czujemy, że zbliża się koniec, że teraz trzeba szybciej, jak to na finiszu, wstępują w nas nowe siły, choć od tygodnia jesteśmy bez cukru i kończy nam się żywność.

Biwak, wieczór, głód. Nestor złowił ryby, ledwie kilka sztuk. Dyskusja przy ogniu. Okazuje się, że kły nie zmieszczą się w plecakach ani workach. Wystają. Płyną po nas mundurowi, strażnicy parku. Nie mogą ich zobaczyć. Trzeba je schować. Ale jak? Wszystkie pomysły beznadziejne. Trzeba je przeciąć na pół. Ale czym? Siekiera – nie ma mowy. Są twarde jak skała. Sięgam na dno plecaka. Po puszkę, w której na czarną godzinę trzymam małą świeczkę, haczyki, zapalki i drucianą piłkę.

Zaczynamy. Dwójkami, na zmianę. Idzie jak po grudzie, ale idzie. Godzinę, dwie. Wokół białe wióry. Ręce sztywne. Kły przecięte.

Biwak, wieczór, głód.

Nestor wychodzi na chwilę z obozu i wraca z dorodnym krokodylem. Nie ma już o czym opowiadać. Po prostu trachnął go maczetą w łeb. Obżarstwo. Uśmiechy.

Noc.

Świt.

Deszcz. Sążnisty, gruby, ale rzadki. Drzemka. Deszcz. Wali o ziemię. Coraz mocniejszy i ciężki, jakby woda zmieniła stan skupienia. Przebłysk w głowie. Termity. W całym obozie, atak. Wrzaski. Nie ruszać się z namiotu, zasunąć suwaki. Tomek na hamaku. Ucieka. Krzyczy, że pogryziony. Ktoś rozsypuje żar, termity w okamgnieniu zapadają się pod ziemię. Nadżarte plecaki, uszczelki od menażek.

17

Dwudziesty dzień w dżungli. Jesteśmy nad rzeką Oua. Radość, okrzyki, jednak tylko przez chwilę. Oua to mielizna, muł nie rzeka, do tego zawalona ciężkimi pniami. Rozbijamy obóz, nastroje minorowe. Nestor idzie na przechadzkę w dół

rzeki. Wraca po godzinie i drze się z daleka: „*Jamais, jamais!*”. Nigdy, nigdy. Nie ma szans, by ktoś po nas dopłynął.

Do Makokou – najbliższego miasteczka – jest stąd prawie sto kilometrów, to jest tyle, ile pokonaliśmy pieszo w trzy tygodnie. Biwak na grząskiej plaży. Ślady słoni. Są wszędzie. Łowimy ryby. Rozdaję ostatnie puszki sardynek.

Zapada noc. Nic nie widać, ale też nic nie słychać.

Świt. Nadzieja szybko stłamszona brudną ciszą. Nerwowo. Dwójka naszych leży bezwładnie na ziemi: wycieńczenie. A jeśli nie przyjadą? Zaczyna się: tratwy – nie mamy rady po tej rzece. Iść? Żadnych szans. Coś jednak słychać w dali. Motor? Nie, mucha, zwykła natrętna mucha. Mija kolejne kilka godzin. Południe, upał, źle.

Uszy już nabrzmiałe od słuchania. Coś jest na rzeczy. Jak mucha, ale natarczywiej i coraz głośniejsze. Płyną. Płyną po nas!

Wybiegamy. Dwie łódki: mężczyźni w mundurach i Jurek. Wyciągają cukier i papierosy. Dostajemy świra. Alex wypala całego na dwa buchty. Pierwszy raz w życiu widzę coś takiego. Jurek opowiada.

Cud, że są. Obozują dwa dni w dół rzeki. Katastrofa. Powalone, wielkie pnie zagradzają drogę. Dopłynęli z piłami mechanicznymi w dłoniach.

Co chwila schodzimy z łódek, wyrzucamy na brzeg cały bagaż i wspólnie przenosimy łodzie nad przeszkodami. Mielizny. Pchamy, niektórzy nie mają siły, udają. Przeciskamy się przez chaszczki. Woda opada. Strażnik mówi, że w ciągu doby ubyło dziesięć centymetrów. Jutro by już do nas nie dotarli.

Noc, obóz, sen, dobre humory.

Dziś prujemy gładko, dwanaście godzin na łódce. Odpadają plecy. Umieramy z głodu. Dogania nas druga łódka. Mówią, że widzieli na drzewie panterę. Wpływamy na wielką Ivindo. To jest rzeka. Jestem trzeci tydzień w dżungli i łapie mnie to za gardło. Świetlistość, jasność, pełne płuca.

Dopływamy do Makokou. Koniec.

Jurek zabiera nas do domu swoich znajomych. Jemy i pijemy przez trzy dni. Pigmeje nie trzeźwieją w ogóle. Płacimy

im resztę forsy. Połowę przepijają. Nestor kupił sobie okulary przeciwsłoneczne. Chodzi w podkoszulku z napisem „O’Neal”. Któregoś dnia przyjeżdża jakiś gość w wielkiej terenówce. Chyba miejscowy, czarny, w pięknej, fioletowej sukmanie, wypomadowany, ładne perfumy. W bagażniku liczy pieniądze. Zabiera kły. W zasadzie – półtora kła. Wczorajszej nocy, gdy wszyscy spali albo balowali w barze, Mepst ukradł odciętą połowę i zniknął.

18

A potem wracamy do Libreville siedemnaście godzin przez gaboński interior. Upchani jak szprotki, obok mnie facet cały w dreszczach – malaria. Potem zapada noc, a my ciągle jedziemy. Psuje nam się samochód i wylegamy na drogę. Spadają gwiazdy. Wszyscy siadają na pustej szosie. Kładę się na plecach, wyciągam nogi. Dopiero teraz czuję, jak ciepła jest ta ziemia.

Ruszamy. Trakt jest wyboisty i gliniasty. Okna otwarte, zaduch, oblepia nas kryształowy pył. Mamy czerwone twarze.

2008

Południe

1

To był mój pierwszy raz. Wlokłem się główną ulicą malezyjskiego Johor Bahru. Mijały mnie grupy smagłych muzułmańskich uczennic w śnieżnych mundurkach, ale ja gapiłem się na słońce, które wisiało dokładnie nad czubkiem mojej głowy. Było brudne i myślałem, że za chwilę zgaśnie, choć wszystko wskazywało na to, że zbliża się południe. Czułem, że niebo ma tu masę. Powietrze było tłuste i gęste. Przestałem już wierzyć, że występuje w formie lotnej. Czułem woń benzyny. Ledwo szedłem: wypijałem butelkę wody bez gazu i natychmiast ją wypacałem. Miasto było smukłe, budynki mimo naporu nieba – wciąż strzeliste, o metalicznym połysku, i łatwo było sobie wyobrazić podniebne miasto przyszłości. A może po prostu tak chciałem to zapamiętać.

Bo zostają jednak tylko kadry i coraz mniej chce mi się przeciwko temu buntować.

Wieczór był już chłodniejszy, ale z autobusu dalej na południe zapamiętałem tylko pot na twarzach ludzi, które wpadały w głęboki, lśniący brąz. Co chwila na mnie spoglądali. Autobus zatrzymał się w kolejnym miasteczku i poszliśmy szukać jedzenia. Przy stolikach siedziały wysokie, smukłe Murzynki. Mówiły po malezyjsku i wszystkie miały kręcone, gęste włosy do samego pasa. Uśmiechały się i zagadywały. Ich opięte bluzki kończyły się powyżej pępka. Bar przypominał ucieśzną stołówkę francuskiej żandarmerii na jakimś afrykańskim wygonie, ale nie potrafię wyjaśnić, skąd to skojarzenie.

Szukaliśmy noclegu. Taksówkarz wskazał nam mały pensjonat za miastem. Tuż zaraz zaczynała się dżungla. Szedłem boso. Asfalt był gorący i parował. W rowach przemykały tłuste gekony i szczury, które po chwili ginęły w ciemnościach. Uczepione zmurszałych ścian puszki klimatyzacji wydalają przetrawione powietrze i sny niskich ludzi. Czułem zapach smażonego ryżu. Zaprowadzili nas do wieloosobowej sali. Przy suficie tliła się żarówka, o którą rozbijały się oszalałe ćmy wielkości ucha. Na łóżkach siedziały

w milczeniu krępe, grube kobiety. Były z Filipin. Przyjechały do Malezji do pracy. Odległość stąd do Filipin wydała mi się nierzeczywista. Siedzieliśmy wpatrzeni w siebie bez słów. Po ścianie i suficie wspinały się zwinne jaszczurki i jakby onieśmiałone naszym milczeniem, zastygały w bezruchu. To wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że będę tu wracał.

Na przykład tam. Przejechaliśmy dżipem z Marrakeszu przez Tizi n-Tizka – najwyższą przejezdną przełęcz w paśmie Atlasu – i zsuwaliśmy się wzdłuż bujnych oaz w stronę Warzazat. Było późne popołudnie, wieczór. Dzieciaki ze śliną zaschniętą w kącikach ust coś wykrzykiwały, ale przez szyby nie docierał do nas żaden dźwięk. Jechałem z Mohammedem – miał wtedy koło siedemdziesiątki, białą, bujną czuprynę zaczesaną jak Belmondo, kolumbijski kapelusz, rysy Kojaka i nawyki emerytowanego żigolo. Nigdy nim nie był. Nagle zatrzymał się i wskazał palcem na przestrzeń rozpościerającą się zza skalnym wyłomem. Powiedział wpatrzony za okno:

– Właśnie za to je kocham.

Nie dopytywałem. Zobaczyłem świat w najbardziej regularnej formie: był martwy. Przez płonące zerwy chmur przedzierały się promienie purpurowego słońca. Kąśliwe wstęgi światła spływały po szczelinach ochrowych płyt jak elektryczne węże, jakby chciały odnaleźć wodę i tchnąć w tę głuszę życia. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Mohammed ruszył, a ja wyobrażałem sobie, że tak muszą wyglądać te wszystkie nowo odkryte planety: tektoniczna śmierć i ni chu-chu życia, tylko niebieskie opiłki światła obcych gwiazd, bure mgły i zgryzota ziemi w oczekiwaniu na przypadek życia.

Podobnie było w górach Ahaggar w Algierii. Prowadziłem jakąś wycieczkę, jechaliśmy kilka dni jedną z najpiękniejszych dróg na Ziemi: kilkaset kilometrów czarnego, miękkiego żwiru. Nie podobało im się. Dojechaliśmy do pustelni w Asakram. Spaliśmy w górskim schronisku. Leżałem pod kilkoma kocami i wystawiałem stopy, by dotknąć opuszkami palców lodowatych murów. Przed świtem ruszyliśmy na pobliską górę, na której w swojej kamiennej wiacie żyli pustelnicy. Jeden z nich

przedstawił się jako Zbyszek. Miał płową czuprynę, skórę szarą jak listopad i ciągle grzebał przy imadle zainstalowanym nad stokiem, z którego roztaczała się żywa wizja odległych galaktyk. Chciałem z nim o tym pogadać, ale musiałem zajmować się wycieczką. Widok wyniosłych czerwonych turni z Asakram był jedynym punktem na turystycznej trasie, który wzbudził we mnie ożywcze myśli. Tuż przed wschodem było zimno, dygotałem i dobrze wiedziałem, że to ostatnie ostrzeżenie: za chwilę słońce zacznie palić. I znów myślałem o topografii tych nowo odkrytych planet, krajobrazie na PSR 1257+12B i PSR 1257+12C: zastygłych jarach, martwych wulkanach i czarnych tepui. Wzięła mnie ochota, żeby wymyśleć całą tamtejszą geografę, ponazywać i wymierzyć krainy, pobyc w nich choć chwilę, zaspokoić skazaną na porażkę ciekawość i stłumić wieczny lęk przed przestrzenią. Nie starczyło mi już jednak siły, by wyobrazić sobie coś żywego. Ktoś mi przeszkodził, zapytał, czy wiem, co tu widać. Nie miałem większego pojęcia. Chciałem widzieć świat i siebie w perspektywie kosmologicznej, ale to nie jest kwestia chęci.

2

Dokładnie to samo nie dawało mi spokoju w czerwcu 2011 roku w Delhi. Nigdy pewnie nie przyjechałbym tu o tej porze roku – w środku lata, ale właśnie wtedy poszukiwałem w tutejszych slumsach grupy birmańskich rebeliantów. Tydzień wcześniej wypuścili ich po trzynastu latach z więzienia w Kalkucie. Ukrywali się przed szpiegami birmańskiej junty. Człowiek, do którego miałem kontakt, podał mi tylko nazwę dzielnicy. Spojrzałem na mapę: peryferie. Wszedłem do metra, którym jechałem ponad godzinę. Stałem pośrodku wagonu i wpatrywałem się w napisy pod sufitem. Po trzecim przystanku dostrzegłem setki wpatrzonych we mnie diamentowych oczu. Były to oczy kobiet. Wsiadłem do złego wagonu. Mężczyźni mają być w sąsiednim. Wyjechaliśmy wreszcie na powierzchnię. Za oknem na betonie smażyli się ludzie i przybywało slumsów. Wtedy zwizualizowałem sobie świat przyszłości, w którym nie ma ani spłachetka ziemi bez człowieka, ani minuty na samotność. Dziękowałem Bogu za to,

że urodziłem się, zanim wymyślono receptę na nieśmiertelność. Długo nie mogłem ich znaleźć. Przeklinałem, ale bluzgi rozpuszczały się w skowycie ulicy. Wydzwaniałem do człowieka, który miał mi pomóc, ale nie rozumiał zbyt wiele po angielsku. Wsiadłem w motoriksę. Słońce zaczęło palić i wierzyłem, że za chwilę zapłoną śmietniki, a pożar rozszerzy się na dzielnicę i w końcu pochłonie całe miasto. Było czterdzieści osiem w cieniu. Porowata, lekko podziobana skóra Hindusa wpadała teraz w zielonkawę. Gadał coś do mnie po rusku, zdaje się, że jeździł do nich przez Pakistan na handel. Dokładnie w tym momencie odchyliłem gumową plandekę nad głową i pojąłem ten przypadek – jeszcze trochę bliżej tej gwiazdy i szeroki pas Południa byłby spopieloną hałdą. Gdyby proton był cięższy o dwa procent, we Wszechświecie byłoby znacznie więcej neutronów niż protonów i wyglądałby on zupełnie inaczej. Gdyby nie ten kąt, gdyby nie ten moment.

Takie dziwne historie przypominałem sobie, gdy jechaliśmy skróttem wzdłuż kanału. Zwykle nie reaguję na smród. Tam poczułem, że jeszcze chwilę i będę na haju. Przy murach stały kościste krowy i nagle wychodzili zza nich ludzie. Ich skóry były czarne i brudne. Zlewały się z nimi ich oczy i widziałem przed sobą tysiące napierających na mnie bezokich cyborgów w beżowych podkoszulkach na ramiączkach. Mówiło się „wyż demograficzny”, ale nie mieli o tym pojęcia. Żuli betel i pluli na asfalt czerwoną śliną.

Po takim dniu musisz iść do baru. Ten w Delhi od razu mi się spodobał: był zadymiony, w środku siedzieli sami Hindusi i co chwila wypieprzali kogoś za drzwi. Bar to jest miejsce dla człowieka w drodze. Ten, kto w podróży po zmierzchu kładzie się spać, traci: noc odkrywa szczegóły. Spod sufitu nadaje pudło z wypukłym ekranem i możesz udawać, że nie patrzysz na ludzi: faceci plują pod stół, spod którego wystają ciemne stopy oblepione białym pyłem. Siedziałem koło odźwiernego, tyłem do wyjścia. Lubię ten rodzaj bezpiecznej, ciepłej samotności: jestem królem mojego stolika wśród masy rozpalonych ciał. W takim miejscu godzisz się jednak na samotność warunkową – w zawieszeniu na parę godzin. Na drugim końcu knajpy

siedział młody chłopak, też sam. Wyglądał jak tybetański bandyta. Wiedziałem, że nim nie jest. Bardzo długo wpatrywał mi się w oczy, bez skrępowania, wreszcie wstał, zabrał kufel i podszedł. Yanger był z plemienia Naga z Nagalaindu, z najdalszego wschodu Indii, spod granicy z Birmą. Miał prawo nie wyglądać jak Hindus. Jechał do Delhi kilka dni pociągiem, załatwiał jakieś sprawy na uczelni dla swojej siostry. Długo opisywał mi widok z okna swojego domu i chyba dobrze to sobie wyobrażałem. Mieszkał u stóp tej części Himalajów, o której zapomnieli alpiniści i cała reszta. Potem pojawili się Japończyk w japonkach i Anglik z wąsem. Niestety, dosiedli się do nas. Rozmowa zeszła na banały, niewykluczone, że na pogodę. Japończyk któryś tam raz jechał dokoła świata i trudno było nie zauważyć, że jest z tego dumny. Wracaliśmy z Yangerem do domów późną nocą, widziałem, jak w ulicznym śmietniku ryją łbami krowy i jakiś żebrak wyciąga dłoń, by złapać mnie za spodnie. Yanger był pijany i nie widział już nic. Krowy nocą na ulicach Delhi przypominają strażników jakiejś pradawnej normy: człowiek musi żyć z gadziną, żeby pozostać człowiekiem, choćby miała być wolna i jak krowy w Indiach nie stosować się do reguł ruchu drogowego. Gdyby nagle zabrali im te krowy, nie zdziwiłbym się na widok zbiorowej hysterii: miliard ludzi toczy białą pianę z ust, biczuje się, a oczy napełniają się obłędem. Tak, tutaj nie ma to nic wspólnego z realizmem magicznym, tak po prostu może być.

Ale pamiętam też dwa bary, do których nie odważyłem się wejść. Pierwszy w La Paz, drugi w Chile, w Antofagastie. Niedzielnym popołudniem słońce przelewało się przez ulice, pozostawiając oczom jedynie zarysy budynków. Było tak nudno i niedzielnie, że nabrałem ochoty na wizytę w kościele. Usłyszałem jednak muzykę i poszedłem w jej kierunku. Zobaczyłem drzwi jak w westernie i snujący się ponad nimi dym. Zajrzałem do środka. Ciemność, trzask rozbijanych kufli i męskie jęki. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i usiadłem na ławce. Przez drzwi wyleciał z hukiem wąsaty facet. Miał kapelusz o średnicy koła miejskiej dorożki. Siedział na środku ulicy i próbował zorganizować sobie na nowo rzeczywistość.

Gitara grała coraz szybciej. Myślałem, że takie sceny obejrzę tylko na filmach. Czekałem na kolejnych.

Tak naprawdę do barów chodzę, by myśleć, gdzie zaczyna się Południe. Mam na to czas i samotność. Być może dlatego w ogóle podróżuję.

Wtedy w Delhi byłem przekonany, że zaczyna się gdzieś tutaj, na subkontynencie. To samo myślę, gdy lecę tam samolotem. Kiedy zgaszą światło i ludzie zamykają oczy, nie odrywam wzroku od monitora trasy. Samarkanda, Buchara, Biszkek. Wyglądam jednak przez okno i widzę tylko ciemność. Nie mam żadnego widocznego punktu zaczepienia i zaczynam się bać, że unosimy się w nicość ruchem jednostajnie przyspieszonym, i tak już zostanie. Tylko to potrafię sobie wyobrazić nad azjatyckim stepem.

Ale potem samolot wpada w turbulencje, co znaczy, że mijamy Himalaje i wpadamy w obszar gwałtownych skoków temperatur. Gdy przestaje trząść, za oknem widzę gęstniejące wieńce światła. Jestem na Południu. Jest dwudziesta druga pięćdziesiąt i łatwo w swojej próżnej wyobraźni wmówić sobie, że straganiarze w mijanych miastach jednaście kilometrów niżej zwijają już toboły, a w progach seledynowych izb drzemią od dawna brodaci starcy. W domach kończą się ostatnie rozmowy i kłótnie, których treść mogę tylko podejrzewać. Ale w zasadzie jestem przekonany, że niczym się nie różnią. Zawsze idzie o to samo.

3

Jednak wcześniej przez długi czas byłem przekonany, że poznałem prawdę: Południe zaczyna się za granicznym drutem w Ceucie. Stałem wśród tobołków, sponad których wyrastał tłum. Wyglądało to na powtórkę z Holocaustu: morze śniadych ludzi uciekało na południe, by ukryć się za pustynnymi garbami. W rzeczywistości wracali z robót w Europie na wakacje, do domu. Gdy wsunąłem paszport do budki pogranicznika, poddałem się: przestałem ocierać się z potu. Czułem, jak krople wyrastają mi na karku i spływają coraz szybciej po plecach, pośladkach i łydkach. Tak, druty, pamiętam bardzo wyraźnie tę drucianą, rozerwaną siatkę oddzielającą

Maroko od hiszpańskiej eksklawy w Afryce. Górna, obwisała część opadała raz na południe, raz na północ. Potem wyszliśmy na otwartą przestrzeń, słońce było już nisko. Ziemia miała odcień ochry i wystawały z niej lśniące łby białych kamieni. Na rozległej plaży pomiędzy śmieciami ganiała za piłką horda dzieciaków. Wzdłuż stały rzędy błękitnych mercedesów beczek, które robią tu za taksówki. Wsiadliśmy do jednej z nich. Szofer nie miał jedynki, palił bez przerwy czerwone mocne i melodyjnie chrypiał. Dojechaliśmy do Tetuanu. To miasto jest oślepiająco białe. Szliśmy przez medynę w poszukiwaniu noclegu. Wszyscy ostrzegali, żeby nie chodzić po niej nocą. Straganiarze zwijali swoje budy i trzask niósł się przez wąskie ulice, łączył się w echo i wracał wzmożony i groźny. Łatwo się po tym zorientować, że ulice biegną tu po okręgach. Zapadła noc. Pod drzwiami naszej gospody stał marokański policjant. Miał piękny, lekko obcisły mundur. Inny niż te wypłowiałe szmaty służbistów z Trzeciego Świata: nie przypominał drelichu i chyba nawet pachniał. Policjant stał wyprostowany, biła od niego jakaś niedzisiejsza dostojność. Gospodarz pensjonatu snuł się po parterze w džellabie i co chwila ktoś całował go w rękę. Wyjrzałem na pustą medynę. Podszedłem nieco wyżej, cisza. Z przeciwnego końca ulicy wyszedł wielki, barczysty chłop w białej džellabie. Miał brodę do pasa i rozmiar buta pod pięćdziesiąt. Dźwigał olbrzymiego, żółtego melona. W ciemności unosił się za nim powiew aromatycznych olejków. Powietrze nasyciła czystość i świeżość. Ludzie wychodzili z hammanów. Mój pokój śmierdział jednak stęchlizną, po suficie pełził ponury grzyb. Łóżko było twarde jak bukowa deska. Poduszka wielka, obła i równie twarda. Czulem w niej zapach innych ludzi. W powietrzu unosił się kurz. Nie zmieniają pościeli, widać nie ma takiej potrzeby. Cały Maghreb: bzik na punkcie czystości własnego ciała i powszechny syf. Poszedłem kiedyś do hammanu w Fezie. Człowiek z wąsem kazał mi się położyć na wznak na mokrej posadzce i przez godzinę zdierał ze mnie skórę założoną na dłoń szorstką rękawicą. Tarł, jakby szukał w porach mojej skóry złota, a ja zagryzałem wargi. Nagle zatrzymał się, ściągnął z mojej piersi

długi czarny wałek brudu i powiedział: „Spaghetti”. Nie mogłem uwierzyć. Potem przeszedłem do sali, w której czyści i pachnący mężczyźni moczyli stopy w płytkich basenach i rozmawiali. Jeden z nich pił wodę spod nóg z różowego, brudnego wiaderka.

Już zasypiałem, gdy dobiegły mnie z dołu dźwięki bębnow, dzwonków i piszczałek. Słyszałem szloch kobiet, które długo zawodziły. To wszystko zaczynało nabrzmiewać, nabierać pędu. Wpadły w trans. Było ciemno i mój pokój wypełniły jakieś pulsujące, złe fale. Przestrzeń i przedmioty, których obecność zapamiętałem, gdy było jasno, wydały mi się nienaturalne. Czułem, że się kurczę: zaraz siądzie na mnie wielkie, skrzydlate bydlę i okaże się, że to mucha. Leżałem na brzuchu, z głową w poduszce. Dotknąłem uszu: były gorące. Słyszałem przeraźliwe krzyki i piski. Tej nocy wyszeptałem tylko jedno: „Jezu Chryste”. Byłem godzinę drogi samochodem od granicy muzulmańskiego świata.

Nigdy nie dowiedziałem się, co się tam działo. Mam ochotę opowiedzieć, co było dalej, o podróży na południe przez Szafszawan, Atlas, aż do Sidi Ifni, ale teraz nabieram wątpliwości, bo przypominam sobie, że Południe może zaczynać się zupełnie gdzie indziej.

4

Przyszedł 2004 rok i byłem na tyle bezczelny, by wybrać się na Syberię. Jechaliśmy pięć dni koleją transsyberyjską, z której najbardziej zapamiętałem to, że nie chciałem jej opuszczać. W Sludiance wsiedliśmy w UAZ-a, który wiozł nas dwieście kilometrów Doliną Tunkińską aż do Mondów. Skurczone za sprawą odległości Tunkińskie Golce otoczył pierścień nieruchomych, rzadkich mgieł. Zbliżyliśmy się jednak szybko do punktu, w którym wydawały się najpotężniejsze, później już malały, bo wyrosły poza skalę, umożliwiającą jakiekolwiek porównania. To mój ulubiony punkt w przestrzeni górskich wędrówek. W Mondach zastałem kilka rozrzuconych w nieładzie chałup z niebieskimi syberyjskimi okiennicami; drewno ścian było czarne i mokre. Tuż nad nimi o koronę gęstego boru opierało się ciężkie cielsko mgły. Siedzieliśmy nad rzeką, nie widziałem w ogóle ludzi. Wreszcie z przydrożnego

gaju wyjechał konno Buriat. Wyglądał jak Tatar z pierwszego szkolnego podręcznika do historii. Był kompletnie pijany, ale wydawało się, że koń jest do tego przyzwyczajony i wie, co robić. Zatrzymał się, by pozwolić swojemu panu spojrzeć na przybyszy, po czym spokojnie ruszył dalej w dół rzeki. Poszedłem do wsi po chleb. W sklepie nie znalazłem niczego prócz niego, chrupek, puszek z rybą, liczydła i całej ściany gorzały. Wziąłem trzy twarde i ciemne bochenki razowego i jedną butelkę wódki. Pod masyw Munku-Sardyk szliśmy ze trzy dni, rozbiliśmy namioty nad jasnym jeziorem. W nocy zerwał się wichur, pałaki namiotu wyginały się pod jego naporem jak wierzbowe witki. Potem burza ucichła, zasnąłem, ale tylko na chwilę. Usłyszałem huk spadającego głazu, po nim kolejne i zrozumiałem, że to pierwsza kamienna lawina w moim życiu. Ostrzegali nas przed nimi, mówili, żeby rozbijać się jak najdalej od ścian. Było za późno. Leżałem na wznak, moje oczy oswajały ciemność i strach, ale wszystko nadaremnie. O świcie poczułem, że muszę wyjść sprawdzić, czy żyję. Stałem koło zamarznętego potoku, moim ciałem trzęsły dreszcze, ale wyteżyłem wszystkie siły, by nie zamknąć z bólu oczu i zapamiętać do końca życia chabrową barwę nieba. Wstał już dzień, początek sierpnia.

Nie, to nie było Południe. To była Północ, góry – strachliwa ucieczka od życia pod pozorem odwagi i męstwa, próba wspięcia się ponad ludzką skalę i srebrzysta panorama miast i wsi – niemej uludy pod stopami. Miłość na odległość. Południe to męka nad szczegółem codzienności i bezwarunkowa bliskość, bez komfortu wyboru chwilowej ucieczki. Bierzesz wszystko albo się do tego związku nie nadajesz.

Na szczyt szliśmy ze cztery godziny, a może i dłużej. Byliśmy okutani w grube, gumowane ortaliony, w których wyglądaliśmy jak radziecka turystyczna *komanda*. Ale w ogóle nam to nie przeszkadzało. Na wierzchołku byliśmy sami, tak jak przez ostatnie parę dni. Mało mówiliśmy, nerwy: droga była stroma, przepaścista i bardzo śliska. Spojrzałem na południe. Pod stopami, za stożkami sinych piargów, rozpoczynały się zastygłe fale tajgi, z początku ciemne i ponure, dalej niebieskie

i słoneczne. Tuż za nimi majaczyły skrzydła mongolskiego jeziora Chubsuguł. Nie widziałem bryły słońca – była schowana za łajbą zimnych chmur, ale widok wody na jeziorze kazał mi wierzyć, że jest młode, szczodre i rozpustne: jestem pewien, że schodząc na tę stronę, musielibyśmy się szybko rozbierać. W jego blasku za jeziorem dostrzegłem zarys płaskiej krainy, wierzyłem, że to mongolski step. Czekałem na szczegóły. Słońce jednak zamknęło horyzont i pojąłem, że nicość może być równie dobrze biała i oślepiająca. Schodziłem z powrotem z wiarą, że pierwszy raz w życiu stanąłem na granicy Południa.

5

Czy tylko ja?

Kataklizm drugiej wojny światowej oraz rosnąca troska o dobrobyt i prawa człowieka przyśpieszyły potrzebę zmierzenia bogactwa i poziomu rozwoju państw, by racjonalnie wydawać środki na pomoc międzynarodową. W 1971 roku z inicjatywy Banku Światowego powołano tak zwaną komisję Brandta pod przewodnictwem byłego zachodnioniemieckiego kanclerza, która w 1980 roku ogłosiła raport *North-South: A Programme for Survival*. Linia Brandta podzieliła świat na pół – biegła granicą USA i Meksyku, na Atlantyku ponad zwrotnikiem Raka, przez Cieśninę Gibraltarską, zostawiała na północy Sycylię, Kretę, na południu Turcję i połowę Morza Czarnego, Iran, Afganistan, Mongolię, Chiny, obie Koree, po czym opadała gwałtownie, przypisując do świata bogatych, rozwiniętych i cywilizowanych Japonię, Australię i Nową Zelandię. Reszta w swojej różnorodności została wrzucona do jednego worka krajów biednych i zacofanych.

Linia Brandta od początku budziła kontrowersje. Na Południu znalazły się na przykład Izrael i bogate kraje arabskie. Bo jak mierzyć biedę? Za pomocą kryterium zamożności, poziomu opieki zdrowotnej i edukacji – uznali twórcy wskaźnika społecznego rozwoju – Human Development Index (HDI). Nowy miernik wprowadził rozszady w dychotomii Brandta. W nowej odsłonie mapy Północ-Południe w rodzinie krajów cywilizowanych znalazły się jednak państwa ignorujące prawa polityczne i obywatelskie – grono północne pomniejszyło

się więc w powszechnej opinii o państwa reżimowe. Wkrótce jednak nadeszła era globalizacji i społeczeństwa sieci, niewidzialnej transfuzji idei, pieniądza i strachu, słabła siła państw narodowych i rodziło się pytanie o sens jakichkolwiek podziałów i podziałów podziałów. Na obu półkulach pojawiało się coraz więcej archipelagów i enklaw przynależnych do przeciwnego obozu (Kosowo, Chile), rosło rozwarstwienie społeczne – bogate elity na Południu i slumsy na Północy. Podział Północ–Południe zszedł nawet na poziom lokalny: uwidacznia się w obrębie jednego państwa, miasta, ulicy.

A może Południe to całkiem trafna metafora, która nie podda się twardej analizie? Bo jak poradzić sobie z Bhutanem, krajem według wielu kryteriów biednym, w którym żyje jeden z najbardziej szczęśliwych narodów świata? Stan umysłu, moje Południe, beznadziejna i wykolejająca ucieczka w głąb, do serca świata, szukanie wyraźnie odczuwalnego i kojącego strach puls życia?

Powinienem jeszcze wspomnieć i o tym, że termin „Południe” zastąpił nacechowany pejoratywnie „Trzeci Świat”, choć dziś trójpodział wydaje się trafniejszy niż mało aktualna dychotomia. Linia podziału terytorialnego nie straciła zupełnie racji bytu, jednak podlega ciągłym zmianom. Powinienem też opowiedzieć o spornym statusie Rosji, w której żyją dwa światy i która pod wieloma względami jest krajem zacofanym w rozwoju. Warto by jeszcze podać trochę twardych danych, ale teraz nie daje mi spokoju ta fotografia: jest noc i z lotu ptaka patrzymy na mały sklep, który emituje zielonkawę, fosforyczne światło. Dzieje się to gdzieś w tej części Pakistanu, w której rozwydrzone dzieciaki mają uciechę, rzucając kamieniami w białych rowerzystów, sunących na swych kosmicznych pojazdach po Karakorum Highway. Tuż przy progu na niskim taborecie siedzi brodaty starzec, ma przymrużone oczy: uważnie coś obserwuje albo śpi. Poza tym nie ma niczego ani nikogo. Za budą w oddali błyszczą liliowe szczyty Himalajów pod jednolitym, matowym niebem, na którym nie widać ani jednego znaku. Chcę do niego zejść, wkroczyć do tej jaskrawej

zieleni, szturchnąć go, kupić coś do jedzenia i zająć się codziennością.

I tyle, i to jest ważniejsze.

2012

Podziękowania

Ta książka nie powstała tylko moim wysiłkiem i nie jestem w stanie wymienić tu wszystkich, którym należą się ukłony. W szczególności chcę podziękować za wielkie wsparcie tym, którzy byli cierpliwi, gdy wyjeżdżałem: Rodzicom, Dziadkom i Ani.

Kubie Nizińskiemu – za bezinteresowną przysługę.

Tomkowi Goli – za wiele wspólnych wypraw.

Danielowi Jarosowi – za pomoc przed wyjazdem do Kambodży.

Bartkowi Kędziorze, Michałowi Rokoszowi i Darkowi Dąbrowskiemu – za pobyt w Maroku i parę innych spraw.

Basi Błaszkiwicz, Maćkowi Stoczewskiemu i Mateuszowi Hajcie – za wspólne odkrywanie Azji.

Kasi Dyrdzie, Ani Dębowskiej, Danusi Żywczak i Pawłowi Miśkowcowi – za towarzystwo na Syberii.

A także tym, bez których pomocy w obcych sobie krajach byłbym ślepy i bezradny, to jest niezliczonym doradcom, rozmówcom, przewodnikom i tłumaczom, a w szczególności Tomkowi Wodzyńskiemu i Patrycji Satorze z Ambasady RP w Caracas, Kelys i profesorowi Lusbiemu Portillo z Wenezueli, Calixtowi z Kolumbii, Arefowi z Tunezji, Bonie z Kambodży, Jurkowi Flisowi i Andrzejowi Dębskiemu – konsulowi honorowemu RP w Gabonie, braciom Rodrigowi i Davidowi z Chile, Osvaldowi, Raimundowi i Javierowi z Boliwii, a także Pawłowi Wojtyszynowi, Augustinowi, Nestorowi, Alexowi, Pepe, Mepstowi i Beatrox za wspólne chwile w puszczy Minkébé.

Monice Sznajderman i Andrzejowi Stasiukowi – za szansę na debiut oraz, *last but not least*, Magdzie Budzińskiej i Łukaszowi Najderowi – za wnikliwą redakcję książki i cenne wskazówki.

Niektóre teksty lub ich wstępne wersje ukazały się wcześniej drukiem:

Tarzan cierpi na czerwonym śniegu, „Gazeta Wyborcza” – „Duży Format”, 7 kwietnia 2011

Duch Czerwonych Khmerów [Duch], „Gazeta Wyborcza” – „Duży Format”, 29 lipca 2010

Mohamed chciał tylko swoich jabłek, „Gazeta Wyborcza” – „Duży Format”, 17 lutego 2011

Sidi Ifni. Raport z końca świata, „Magazyn Literacki KZO”, nr 20, 2011

Walka ludów rdzennych Wenezueli [Król komuny. Telenovela nocturna], „Le Monde Diplomatique”, marzec 2012

-
- 1 Tradycyjny kambodżański szal.
 - 2 Kambodżański lekarz, odtwórca roli Ditha Prana w filmie *Pola śmierci*, za którą otrzymał Oscara. Uciekinier z obozu pracy Pol Pota.

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

e-mail: mateusz@czarne.com.pl,

tomasz@czarne.com.pl, lukasz.augustyn@czarne.com.pl,

honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

tel. +48 18 351 00 70

e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,

dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: katarzyna@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: irek.gradkowski@czarne.com.pl

tel. 504 564 092, 605 955 550

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl

Wołowiec 2013

Wydanie I